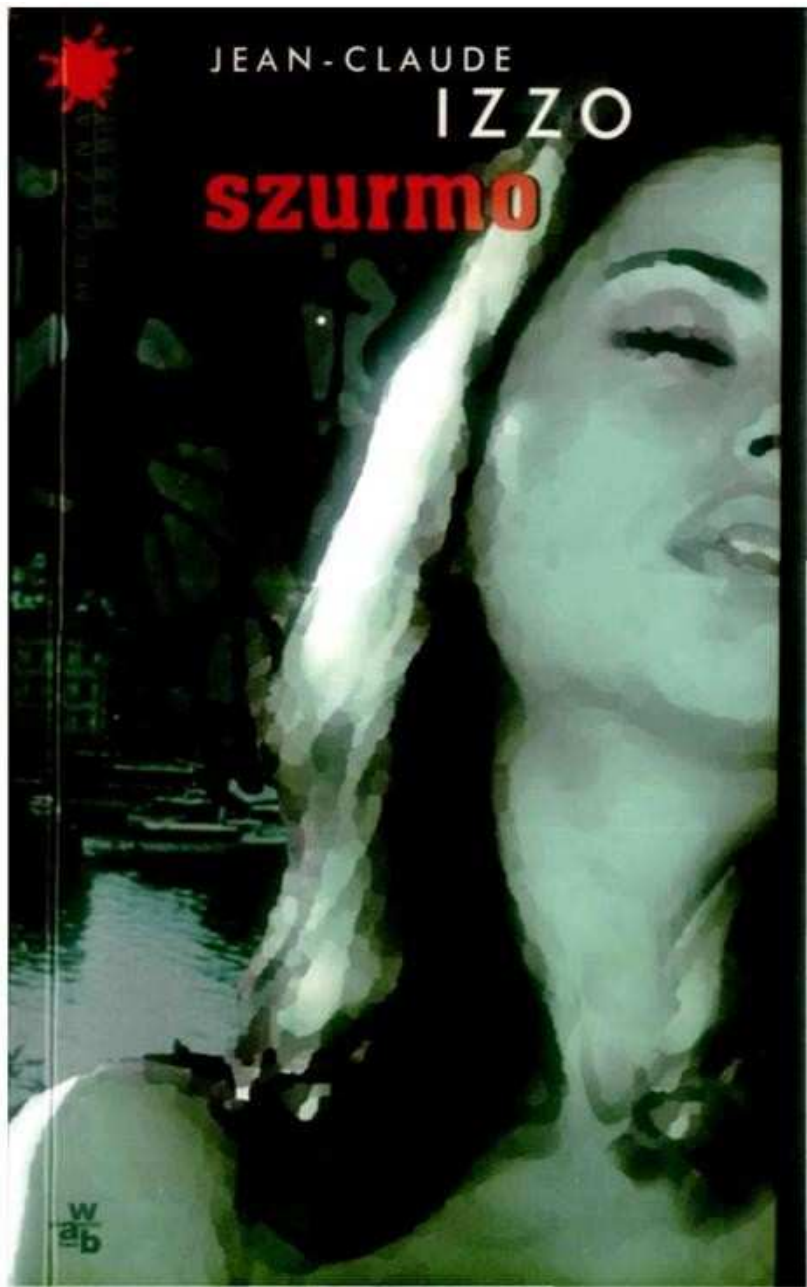




JEAN-CLAUDE  
IZZO

**SZURMO**



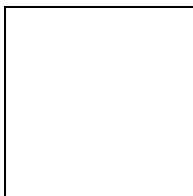
w  
ab



Guitou ucieka z domu, by spędzić noc z Naïmą. Spotykają się w domu kolegi. Rankiem słyszą przeraźliwy krzyk, a potem zbliżające się kroki. Pada strzał... Fabio Montale – zdymisjonowany inspektor policji, wielbiciel śródziemnomorskiej kuchni i pięknych kobiet – na prośbę kuzynki podejmuje śledztwo w sprawie zniknięcia jej syna. Dochodzenie ujawni zaskakującą tajemnicę jego własnej rodziny.

*Szurmo* to druga, po *Total Cheops*, część „trylogii marsylskiej”. Wielokulturowe, targane konfliktami rasowymi miasto jest pełnoprawnym bohaterem powieści. Poznajemy zarówno zabytkowe centrum, jak i blokowiska zamieszkałe przez sfrustrowanych emigrantów. Autor doskonale oddaje koloryt tego zepsutego, mrocznego miejsca. Powieści Izzo zostały przetłumaczone m.in. na angielski, niemiecki, hiszpański, włoski, grecki, portugalski i rosyjski. Na podstawie *Total Cheops* w 2002 roku powstał film w reżyserii Alaina Bévériniego, z Richardem Bohringerem i Marie Trintignant, oraz serial telewizyjny z Alainem Delonem w roli głównej.

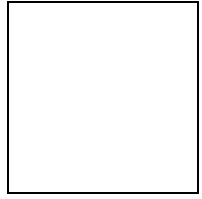
ISBN 83-7414-202-2  
9 788374 420211  
Cena 29,90 zł



JEAN-CLAUDE  
IZZO

# szurmo

przełożyła MARYNA OCHAB



Patronat medialny

**RMF**



**INTERIA.PL**



Ce livre beneficie du soutien  
du Ministere des Affaires Etrangeres francais  
et du Service de Cooperation et d'Action Culturelle  
de l'Ambassade de France en Pologne.

Książka ta została wydana z pomocą francuskiego  
Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Działu kultural-  
nego Ambasady Francji w Polsce.

Tytuł oryginału: *Chourmo*  
Copyright © Editions Gallimard, 1996  
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2006  
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2006  
Wydanie 1  
Warszawa 2006

## Od autora

Nic z tego, co przeczytacie, nie miało miejsca. Z wyjątkiem oczywiście tego, co się zdarzyło naprawdę. Czyli tego, o czym mogliście się dowiedzieć z gazet albo telewizji. W sumie - niewiele. Mam szczerą nadzieję, że historia przez mnie opowiedziana pozostanie tam, gdzie jej miejsce: na stronicach tej książki. Co powiedziawszy, oświadczam, że Marsylia jest jak najbardziej realna. Tak realna, że naprawdę nie chciałbym, abyście się doszukiwali podobieństwa moich postaci do osób, które istniały. Dotyczy to również bohatera. To, co mówię o moim mieście, Marsylii, to po prostu, jak zawsze, tylko echa i reminiscencje. Czyli to, co się da wyczytać między wierszami.

Isabelle i Gennaro, matce i ojcu, najprościej

Paskudne czasy i tyle.  
Rudolph Wurlitzer



Pamięci Ibrahima Mego, zabitego 24 lutego 1995 roku  
w północnych dzielnicach Marsylii  
przez rozlepiaczy plakatów Frontu Narodowego

## Prolog

### Końcowa stacja, Marsylia, dworzec Saint-Charles

Z góry schodów przy dworcu Saint-Charles Guitou - tak go wciąż jeszcze nazywała mama - patrzył na Marsylię. „Wielkie miasto”. Tutaj mama się urodziła, ale nigdy go tu nie przywiozła. Chociaż obiecywała. A teraz przyjechał sam. Jak dorosły.

I za dwie godziny spotka się z Naimą.

Po to przyjechał.

Z rękami w kieszeniach džinsów i camelem w ustach wolno schodził po stopniach. Twarzą do miasta.

„Zejdiesz schodami na boulevard d'Athenes - powiedziała Naima. - Pójdiesz bulwarem aż do Canebiere. Skręcisz w prawo, w stronę Starego Portu. Jak tam dojdiesz, to po prawej, dwieście metrów dalej, zobaczysz duży bar na rogu. Nazywa się Samaritaine. Tam będziemy na ciebie czekać. O szóstej. Nie możesz się zgubić.”

Dobrze, że ma dwie godziny przed sobą. Znajdzie bar. Zdąży na czas. Nie chce, żeby Naima na niego czekała. Bardzo pragnął ją zobaczyć. Wziąć za rękę, objąć, pocałować. Tę noc spędzą razem. Pierwszy raz pójdą do łóżka. Pierwszy dla niej i dla niego. Mathias, kolega Naimy z liceum, zostawia im swoją kawalerkę. Będą tylko we dwoje. Nareszcie.

Uśmiechnął się do swoich myśli. Nieśmiało, tak jak do Naimy, kiedy się poznali.

Potem się skrzywił, matka mu się przypomniała. Na pewno zrobi mu awanturę, gdy wróci do domu. Nie dość, że wyjechał bez pozwolenia, trzy dni przed rozpoczęciem roku szkolnego, to jeszcze przed wyjazdem rąbnął tysiąc franków z kasy w sklepie. Butik z konfekcją w centrum Gap, bardzo elegancki.

Wzruszył ramionami. Tysiąc franków mniej nie nadzarpnie rodzinnego budżetu. Z matką się dogada. Jak zwykle. Tylko tamten go niepokoi. Ten palant, który się uważa za jego ojca. Raz już go sprął z powodu Naimy.

Przechodząc przez skrzyżowanie z alleés de Meilhan, przyuważył kabinę telefoniczną. Pomyślał, że dobrze byłoby jednak zadzwonić do mamy. Żeby się nie martwiła.

Położył plecak na ziemi i sięgnął do tylnej kieszeni dzinśów. A niech to szlag! Po portfelu! Nerwowo obmacał drugą kieszeń, potem kieszenie płóciennej kurtki, choć nigdy tam nie kładł pieniędzy. Niczego. Jak mógł zgubić portfel? Miał go, wychodząc z dworca. Włożył do środka bilet.

Przypomniał sobie. Na schodach jakiś beur\* poprosił go o ogień. Guitou wyjął zapalniczkę Zippo i w tym momencie potrącił go inny beur, wielkimi susami zbiegający w dół. Jak złodziej, pomyślał sobie wtedy. Pchnięty przez tamtego w plecy, omal się nie przewrócił na stopniach i wylądował w ramionach tego pierwszego. Ale się dał obrobić!

Zakręciło mu się w głowie z wściekłości i niepokoju. Nie ma papierów, nie ma karty telefonicznej, nie ma biletu, a przede wszystkim prawie nie ma forsy. Została mu tylko reszta z biletu i paczka cameli. Trzysta dziesięć franków.

\* Beur - potoczna nazwa potomków imigrantów z Maghrebu, z velan, języka przedmieść, polegającego na przestawianiu sylab, np. beur zamiast arabe, meuf zamiast femme itp. (wszystkie przypisy tłumaczkki).

- Psiakrew! - powiedział głośno.  
- Wszystko w porządku? - spytała jakaś starsza pani.  
- Skradziono mi portfel.  
- Nie przejmuj się, biedaku. Nic już nie poradzisz! Kradzieże są tutaj na porządku dziennym. (Patrzyła na niego ze współczuciem.) Tylko nie idź na policję! Nie radzę. Jeszcze sobie biedy napytasz!

I poszła dalej swoją drogą, przyciskając do piersi torebkę. Guitou odprowadził ją wzrokiem. Znikła w pstrokatej masie przechodniów, w większości kolorowych.

Marsylia kiepsko się zaczyna!

Żeby odpędzić pecha, pocałował złoty medalik, wiszący na piersi jeszcze opalanej po spędzonych w górach wakacjach. Prezent od matki na pierwszą komunię. Zdjęła go wtedy z siebie i założyła mu na szyję. „Jest z daleka. Ochroni cię”, powiedziała.

Nie wierzył w Boga, ale był przesądny jak wszystkie włoskie dzieci. A poza tym pocałować Madonnę to tak jakby pocałować mamę. Kiedy był mały, mama kładła go do łóżka, a potem całowała w czoło. Medalik dyndał mu nad ustami, gdy nachylała ku niemu ciężkie piersi.

Odegnął ten zawsze podniecający obraz. Pomyślał o Naimie. Miała tak samo piękne piersi jak mama, tylko mniejsze. Tak samo ciemne. Któregoś dnia, kiedy całowali się za stodołą Reboulów, wsunął rękę pod sweter Naimy. Pozwoliła się pieścić. Powoli podciągnął sweter, żeby się przyjrzeć jej piersiom. Dłonie mu drżały. „Podobają ci się?” - spytała szeptem. Nie odpowiedział, tylko rozchylił wargi, żeby je wziąć w usta, najpierw jedną, potem drugą. Poczul podniecenie. Zaraz zobaczy Naimę, cała reszta nie ma znaczenia.

Da sobie radę.

Naima obudziła się zniecka. Jakiś dźwięk z piętra wyżej. Dziwny. Głuchy. Serce zabiło jej mocniej. Wstrzymując

oddech, nadstawiła uszu. Nic. Cisza. Przez żaluzje sączyło się słabe światło. Która to godzina? Nie miała zegarka. Guitou spokojnie spał na brzuchu. Twarzą zwrócony do niej. Ledwie słyszała jego regularny oddech. Poczowała ulgę. Wyciągnęła się na łóżku i przytuliła do chłopca, z otwartymi oczami. Chętnie by zapaliła, żeby się uspokoić. I znowu zasnąć.

Ostrożnie musnęła dłonią ramiona Guitou i długim, pieszczotliwym gestem przesunęła ręką po jego plecach. Miał jedwabistą skórę. Miękką i delikatną jak jego oczy, uśmiech, głos, słowa, które do niej mówił. Jak jego dłonie na jej ciele. To ta delikatność ją urzekła. Niemal kobieca. Znajomi chłopcy byli bardziej brutalni, nawet Mathias, z którym flirtowała. Gdy Guitou pierwszy raz się do niej uśmiechnął, od razu zapragnęła znaleźć się w jego ramionach i oprzeć głowę na jego piersi.

Chciała go obudzić. Niech ją pieści jak przedtem. Polubiła to, polubiła jego palce na swoim ciele, jego zachwycony spojrzanie, które sprawiało, że czuła się piękna. I zakochana. Seks wydawał mu się czymś najbardziej naturalnym pod słońcem. Jej też się to spodobało. Czy będzie tak samo dobrze, kiedy zaczną od nowa? Czy tak jest zawsze? Przebiegi ją dreszcz na wspomnienie jego pieszczot. Uśmiechnęła się, pocałowała Guitou w ramię, przytuliła się do niego jeszcze mocniej. Był gorący.

Drgnął. Wsunął nogę między jej nogi. Otworzył oczy.

- Obudziłaś się? - spytał, głaszcząc jej włosy.
- Usłyszałam jakiś dźwięk.
- Złękłaś się?

Nie było żadnego powodu do lęku.

Piętro wyżej spał Hosin. Rozmawiali z nim trochę, kiedy przyszli po klucze. Zanim poszli na pizzę. Hosin był algierskim historykiem. Specjalistą od starożytności. Interesował się marsylskimi wykopaliskami archeologicznymi. „Niewiarygodnie bogate”, zaczął im objaśniać. To było na pewno

pasjonujące, ale oni co innego mieli w głowie. Spieszno im było znaleźć się tylko we dwoje. Wyznać sobie miłość. A potem się kochać.

Hosin od przeszło miesiąca gościł u rodziców Mathiasa. Wyjechali na weekend do swojej willi w Sanary, w departamencie Var. No i Mathias mógł im zostawić swoją kawalerkę na parterze.

To był jeden z tych pięknych odrestaurowanych domów w dzielnicy Panier, u zbiegu rue Belles-Ecuelles i rue Puits Saint-Antoine, w pobliżu place Lorette. Ojciec Mathiasa, architekt, zaprojektował nowe wnętrza. Trzy piętra aż po taras na dachu, a l'italienne, skąd roztaczał się widok na całą zatokę, od Estaque po Madrague de Montredon. Cudo.

„Rano pójde po chleb. Zjemy śniadanie na tarasie. Zobaczysz, jak tam pięknie”, powiedziała Naima. Chciała, żeby Guitou pokochał Marsylię. Jej rodzinne miasto. Tyle mu o nim opowiadała. Guitou był trochę zazdrosny o Mathiasa. „Chodziłaś z nim?” Roześmiała się, ale nie odpowiedziała. Później, kiedy mu wyznała: „To był pierwszy raz, naprawdę”, zapomniał o Mathiasie. Obiecali sobie wspólne śniadanie. Taras. Marsylię.

- Czego się boisz?

Zarzuciła na niego nogę, podciągnęła ją w górę, kolanem dotykała jego męskości, poczuła, jak twardnieje. Przywarła policzkiem do piersi chłopca. Guitou przytulił ją do siebie i pogłaskał po plecach. Naima zadrżała.

Zapragnął jej znowu, mocno, mocno, ale nie wiedział, czy to wypada. Czy ona chce. Nie wiedział nic o dziewczynach ani o miłości. Był strasznie podniecony. Naima podniosła na niego oczy. Ich usta się spotkały. Guitou przygarznął ją, położyła się na nim. A potem usłyszeli krzyk Hosina.

Ten krzyk ich zmroził.

- O Boże - szepnęła Naima.

Guitou odepchnął ją i wyskoczył z łóżka. Wciągnął spodenki.

- Dokąd idziesz? - spytała, bojąc się poruszyć.

Nie wiedział. Czuł strach, ale nie mógł przecież nic nie zrobić. Okazać, że się boi. Teraz jest mężczyzną. Naima na niego patrzy.

Usiadła na łóżku.

- Ubieraj się - powiedział.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Co się dzieje?

- Nie wiem.

Usłyszeli tupot nóg po schodach.

Naima pognęła do łazienki, zbierając po drodze rozrzucone ubranie. Guitou nadśluchiwał z uchem przyklejonym do drzwi. Znowu kroki na schodach. Szepty. Otworzył drzwi, nie wiedząc właściwie, dlaczego to robi. Jakby skapitulował przed własnym strachem. Najpierw zobaczył rewolwer. Potem oczy mężczyzny. Okrutne, jakże okrutne. Zadrżał na całym ciele. Nie usłyszał wystrzału. Poczł jedynie przeszywający ból w brzuchu i pomyślał o mamie. Upadł. Grzmotnął głową o kamienny stopień. Rozbił sobie łuk brwiowy. Poczł smak krwi w ustach.

„Wiejmy” - to było ostatnie słowo, jakie usłyszał. Poczł, że ktoś przez niego przeskakuje. Jak przez trupa.

Rozdział pierwszy,  
w którym szczęście to prosta rzecz,  
kiedy się patrzy na morze

Nic przyjemniejszego, kiedy nie ma się nic do roboty, jak przekąsić coś rano, patrząc na morze.

W charakterze przekąski Fonfon przygotował puree z sardeli, prosto z pieca. Rano wypłynąłem na ryby i wróciłem szczęśliwy z pięknym okoniem, czterema doradami i tuzinem tępogłówów. A teraz w dodatku ta zapiekanka. Niewiele mi trzeba do szczęścia.

Otworzyłem butelkę różowego Saint-Canat. Jakość win prowansalskich z roku na rok zachwyca mnie coraz bardziej. Trąciliśmy się kieliszkami i napili po łyku, dla spróbowania. Wino z Commenderie de la Bargemone było wyśmienite. Czulo się na języku cudowne nasłonecznienie wzgórz nad Trevaresse. Fonfon mrugnął do mnie, zaczęliśmy maczać kawałki chleba w puree z sardeli, doprawionymi pieprzem i siekanym czosnkiem. Przy pierwszym kąsie mój żołądek się obudził.

- Ale pycha!
- Rzekłeś.

Nie było nic więcej do dodania. Każde słowo byłoby zbyteczne. Jedliśmy w milczeniu, błędząc wzrokiem po morzu. Pięknym, ciemnoniebieskim, niemal aksamitnym jeziennym morzu. Nie mogłem się nim nasycić. Za każdym



razem dziwię się, że aż tak mnie pociąga. Czuję zew morza, choć nie jestem ani marynarzem, ani podróżnikiem. Kiedyś marzyłem o tym, co jest hen, tam, za linią horyzontu. Chłopięce marzenia. Ale nigdy się nie zapędziłem tak daleko. Wyjąwszy jeden jedyny raz: na Morze Czerwone. Dawno temu.

Mam blisko czterdzieści pięć lat i, jak wielu marsylczyków, wolę czytać o podróżach, niż podróżować naprawdę. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym wsiąść w samolot do Mexico City, Sajgonu czy Buenos Aires. Dla mojego pokolenia podróże miały jeszcze jakiś sens. Kojarzyły się ze statkami, transportem towarów, nawigacją. Z powolnym mijaniem czasu, jakie narzuca morze. Z portami. Z trapez spuszczonym na nadbrzeże, z upojeniem nowymi zapachami i nieznanymi twarzami.

Zadowalałem się moją Tremolino, łódką, w której wypuszczałem się w okolice wyspy Maire i archipelagu Riou, żeby spędzić kilka godzin na rybach, otulony morską ciszą. Nie miałem już nic innego do roboty. Tylko to: wybrać się na ryby, kiedy przyjdzie ochota. Pograć w belotkę między trzecią a czwartą. Zagrać w bule o aperitif.

Dobrze uregulowane życie.

Od czasu do czasu chodziłem na wycieczki do calanques: Sormiou, Morgiou, Sugiton, En-Vau...\* Maszerowałem całymi godzinami, z plecakiem. Pot się ze mnie lał, oddychałem pełną piersią. To mnie utrzymywało w formie. Koilo moje wątpliwości i obawy. Moje lęki. Uroda tych zatoczek godziła mnie ze światem. Zawsze. Prawda, że calanques są przepiękne. Nie wystarczy tego powiedzieć, trzeba je zobaczyć. Ale można tam dotrzeć tylko na piechotę albo łódką. Turyści rzadko się na to decydują, no i całe szczęście.

\* Szereg niewielkich wąskich zatok na wschód od Zatoki Marsylskiej.

Fonfon dobre kilka razy wstał od stołu, żeby obsłużyć klientów. Facetów, którzy, tak jak ja, często tu zaglądali. Starych bywalców, których nie odstraszał jego trudny charakter. Ani to, że nie mogli sobie poczytać „Le Meridional”. W barze Fonfona tylko „Le Provençal” i „La Marseillaise” były dozwolone. Fonfon udzielał się w SFIO\*. Miał otwartą głowę, ale nie na tyle, by tolerować poglądy Frontu Narodowego. Zwłaszcza we własnym barze, gdzie nieraz odbywały się zebrania polityczne. Raz pojawił się nawet Gastounet, jak go poufale nazywano, były mer. Przyszedł razem z Milou, żeby ucisnąć rękę działaczy socjalistycznych. W 1981 roku. Potem nastąpiły czasy rozczarowania. I goryczy także.

Któregoś ranka Fonfon zdjął ze ściany portret prezydenta Republiki, tronujący nad ekspresem do kawy, i cisnął go do plastikowego czerwonego pojemnika na śmieci. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Fonfon przyjrzał nam się uważnie zza kontuaru, ale nikt nie odezwał się słowem.

Fonfon nie zwinął jednak sztandaru. Ani nie zamknął gęby na kłódkę. Fifi Uszatek, jeden z naszych partnerów do belotki, w zeszłym tygodniu próbował mu wytłumaczyć, że dziennik „Le Meridional” ewoluował. Zgoda, nadal jest to gazeta prawicowa, lecz jednak liberalna. Zresztą w całym departamencie stronice poświęcone sprawom lokalnym są w „Provençal” i Meridional” takie same, więc nie ma co wybrzydzać...

O mało się nie pobili.

- Rzygać mi się chce, jak pomyślę, że zdobyli sobie czytelników namawianiem do rżnięcia Arabów. Na sam widok tej gazety czuję się, jakbym miał brudne ręce.

- Rany boskie! Z tobą nie da się gadać!

- To nie gadanie, ciulu, tylko trucie. Nie po to dowaliłem szkopom, żebyśmy teraz musiał wysłuchiwać tych bredni.

\* SFIO - francuska partia socjalistyczna.

- A niech go! Znów zaczyna - odezwał się Momo, kładąc ósemkę karo na asa treflowego Fonfona.

- Nikt cię nie pyta o zdanie! Służyłeś u tej faszystowskiej kanalii, Mussoliniego. Ciesz się, że siedzisz z nami przy stole.

- Belotka - powiedziałem.

Ale już było za późno. Momo rzucił karty na stół.

- A co tam! Mogę grać gdzie indziej!

- No właśnie. Idź do Luciena. On ma karty niebiesko-biało-czerwone. I króla pik w czarnej koszuli.

Momo wstał i wyszedł. Nigdy więcej nie postawił stopy w barze Fonfona. Nie poszedł jednak do Luciena. Po prostu przestał grać z nami w belotkę i tyle. Szkoda, bo bardzośmy go lubili. Ale Fonfon miał rację. To, że się człowiek starzeje, to nie powód, że ma stulić pysk. Mój ojciec tak samo by pyskował. Może gorzej, bo był komunistą, a dzisiaj ze światowego komunizmu została tylko kupka popiołu.

Fonfon wrócił z talerzem chleba natartego czosnkiem i świeżymi pomidorami. Coś na ząb, żeby złagodzić smak sardeli. I nowy powód, żeby rozlać różowe wino do kiełiszków.

W gorących promieniach słońca port budził się powoli do życia. Nie panował tu taki jazgot jak na Canebiere, nie, tylko zwykły szum. Ludzkie głosy, gdzieś tam muzyka. Samochody ruszające z miejsca. Zapuszczane motory łódek. I pierwszy nadjeżdżający autobus, który za chwilę zapełni się licealistami.

Goudes, które leży zaledwie pół godziny od centrum miasta, po sezonie na powrót staje się miastem liczącym raptem sześciuset mieszkańców. Od kiedy wróciłem do Marsylii, dobre dziesięć lat temu, nie mogłem się zdecydować na mieszkanie gdziekolwiek poza Goudes. W domku odziedziczonym po rodzicach - małe dwa pokoje z kuchnią. W wolnych chwilach wyremontowałem go jako tako. Żaden luksus, ale osiem stopni poniżej tarasu kofysała się na wo-

dzie moja łódka. A to z pewnością więcej było warte niż wszelkie obietnice raju.

Ktoś, kto nigdy nie trafił aż tutaj, do tego spalonego słońcem portu, nie uwierzyłby, że znajduje się w jednym z marsylskich okręgów. W drugim co do wielkości mieście Francji. Ma się tu poczucie, że to koniec świata. Droga kończy się niespełna kilometr dalej, w Callelongue, gdzie przechodzi w ścieżkę biegnącą pośród białych skał, porośłych skąpą roślinnością. Tamtędy wyruszałem na wycieczki. Przez parów Mounine. A potem Plan des Cailles, którędy można dojść do przełęczy Cortiou i Sormiou.

Łódź szkoły nurkowania wyszła z zatoczki, sterując ku wyspom Frioul. Fonfon śledził ją wzrokiem, potem spojrzał na mnie i spytał surowym głosem:

- To co o tym myślisz?
- Myślę, że nam dokopią.

Nie wiedziałem, o co mu chodzi. Równie dobrze mógł mieć na myśli ministra spraw wewnętrznych, co FIS\* albo Clintona. Nowego trenera OM.\*\* Albo nawet papieża. Ale moja odpowiedź tak czy owak była dobra. Bo że nam dołożą, to nie ulega wątpliwości. Im więcej głędzenia o społeczeństwie, demokracji, wolności, prawach człowieka itepe, tym bardziej nam dokopią. Pewne jak dwa i dwa to cztery.

- Mhm. Też mi się tak wydaje. To jak gra w ruletkę. Stawiasz i stawiasz, a dziura jest tylko jedna i zawsze przegrywasz. Zawsze wychodzisz na jelenia.

- Ale póki stawiasz, żyjesz.
- A tam! Dzisiaj trzeba stawiać wysoko, żeby się utrzymać przy życiu. A mnie, bracie, skończyły się żetony.

Dopiłem kieliszek i spojrzałem na niego. Przyglądał mi się. Fioletowe worki pod oczami zjadały mu pół twarzy,

\* Front Islamique de Salut - Muzułmański Front Ocalenia.  
\*\* Olympique Marseille, marsylska drużyna piłki nożnej.

przez co wydawała się jeszcze bardziej wychudzona. Nie zauważyłem, kiedy Fonfon się postarzał. Nie wiem nawet, ile ma lat. Siedemdziesiąt pięć, siedemdziesiąt sześć. Nie tak znów dużo.

- Uwaga, bo się rozplączę - zażartowałem.

Ale dobrze wiedziałem, że nie żartuje. Co dzień musiał się naprawdę wysilić, żeby otworzyć rankiem bar. Nie mógł dłużej znieść klientów. Nie mógł dłużej znieść samotności. Może któregoś dnia nie będzie mógł znieść nawet mnie, i to go pewnie niepokoi.

- Wycofuję się, Fabio.

Szerokim gestem wskazał bar. Wielka sala z dwudziestoma stolikami, w rogu baby-foot - zabytek z lat sześćdziesiątych - w głębi drewniany, obity cynkiem kontuar, który Fonfon co rano starannie pucował. I klienci. Dwóch faciów przy barze Pierwszy zagłębiony w lekturze „L'Equipe”. drugi zagładający mu przez ramię, ciekaw wyników sportowych. Dwóch siedzących naprzeciw siebie starszków. Jeden czyta „Le Provençal”, drugi „La Marseillaise”. Trzech licealistów czekających na autobus i opowiadających sobie o wakacjach.

Świat Fonfona.

- Nie pieprz!

- Zawsze stałem za barem. Od kiedy przyjechałem do Marsylii z Luigim, moim biednym bratem. Nie znałeś go. Zaczęliśmy, jak miałem szesnaście lat. Ja w barze Lenche. On w porcie, został dokerem. Pracowałem w Zanzi, potem U Jeannota na Cinq-Avenues i w Wagram w Starym Porcie. Po wojnie, kiedy odłożyłem trochę grosza, zainstalowałem się tutaj, w Goudes. Fajnie tu było. Czterdzieści lat temu.

Kiedyś wszyscyśmy się znali. Raz ja pomagałem Mariusowi odmalować bar. Innym razem on mi pomagał urządzić taras. Razem chodziliśmy na ryby. I jeszcze z mężem Honorine, tym biednym Toinou. Wyłączyliśmy na morze

tartaną\*. Nie powiem, cośmy przywozili! I nie dzieliliśmy się rybami. Wcale. Robiliśmy gigantyczną bouillabaisse, raz u jednego, raz u drugiego. Kobiety, dzieci. Czasem ze dwadzieścia, trzydzieści osób siedziało przy stole. Ale było śmiechu! Twój rodzice, tam, gdzie są, niech ich Bóg ma w opiece, na pewno jeszcze pamiętają.

- I ja pamiętam, Fonfon.

- Ty chciałeś tylko zupę z grzankami. Bez ryby. Aleś urządził cyrk tej twojej biednej matce.

Umilkł, zagubiony we wspomnieniach „dawnych dobrych czasów”. Czarniawy pędrak, którym wtedy byłem, bawił się w porcie z Magali, jego córką. Udawałem, że ją chcę utopić. Byliśmy w tym samym wieku. Wszyscy widzieli w nas przyszłą parę. Magali, moja pierwsza miłość. Pierwsza dziewczyna, z którą spałem. W bunkrze nad Maronnaise. Rano oboje dostaliśmy ochrzan za to, że wróciliśmy do domu po północy.

Mieliśmy po szesnaście lat.

- To było dawno.

- Właśnie. O tym mówię. Widzisz, każdy miał swoje poglądy. Przekrzykiwaliśmy się gorzej niż handlary. Znasz mnie, nie dam sobie napluć w kaszę. Zawsze pyskowałem. No, ale szanowaliśmy się nawzajem. Teraz jak nie nasrasz na biedniejszego od siebie, to ci pluną w twarz.

- Co masz zamiar zrobić?

- Zamykam interes.

- Rozmawiałeś o tym z Magali i Fredem?

- Nie udawaj głupszego, niż jesteś! Jak długo jej tu nie widziałeś? A dzieciaków? Od ilu już lat odstawiają paryżan! Tylko ciuchy się dla nich liczą i odpowiednio dobrany samochód. Wolą latem opalać sobie tyłki u Turków w Benidorm czy na nie wiem jakich wyspach. Goudes to miejsce dobre tylko dla takich zer jak ty i ja. A Fredo może nawet

\* Typ łódki rybackiej, popularnej w basenie Morza Śródziemnego.

nie żyje. Ostatnim razem jak do mnie pisał, miał zamiar otworzyć ristorante w Dakarze. Od tego czasu Murzyni pewnie go zjedli na surowo! Chcesz kawy?

- Chcę.

Wstał. Położył mi rękę na ramieniu i nachylił się, dotykając policzkiem mojego policzka.

- Fabio, połóż franka na stół, a bar jest twój. Cały czas o tym myślę. Nie możesz tak nic nie robić. No, co się gapisz? Forsa raz jest, raz jej nie ma, tak czy siak to nie potrwa długo. Zachowam sobie chałupę, a jak umrę, to tylko przypilnujesz, żeby mnie położyli przy mojej Louise.

- Kurwa! Jeszcze nie umarłeś!

- No nie. Więc masz trochę czasu, żeby się zastanowić.

I odszedł do kontuaru, nim zdążyłem dodać choć słowo. Nie wiem zresztą, co mógłbym powiedzieć. Jego propozycja odebrała mi głos. Jego hojność przede wszystkim. Bo nie widziałem siebie za barem. Nigdzie się nie widziałem. Czekałem, aż zobaczę, co idzie, jak to u nas mówią.

A na razie zobaczyłem, że idzie Honorine, moja sąsiadka. Szła różnym krokiem, z koszykiem na zakupy pod pachą. Zawsze mnie zdumiewa energia tej zwawej siedemdziesięciodwulatki.

Dopijałem drugą kawę, czytając gazetę. Słońce delikatnie grzało mnie w plecy, więc nie mogłem przesadnie rozpaczać nad stanem świata. W byłej Jugosławii nadal trwała wojna. Kolejna wojna wybuchła w Afryce. W Azji, na granicach Kambodży, zanosilo się na następną wojnę. No i nie ma wątpliwości, że niebawem coś pieprznie na Kubie. Albo gdzieś w tamtych stronach, w Ameryce Środkowej.

Bliżej nas też nie było za wesoło.

„Krwawe włamanie w Panier”, głosił tytuł na lokalnej stronie „Le Provençal”. Krótki artykuł, z ostatniej chwili. Dwie osoby zamordowane. Właściciele domu, którzy spę-

dzili weekend w Sanary, wróciwszy wczoraj wieczorem do Marsylii, znaleźli trupy przyjaciół, których u siebie gościli. I dom ogołocony ze wszystkiego, co się da sprzedać: telewizora, magnetoskopu, hi-fi, CD... Według policji, śmierć ofiar nastąpiła w nocy z piątku na sobotę, około trzeciej nad ranem.

Honorine zmierzała prosto ku mnie.

- Tak myślałam, że pana tu zastanę - powiedziała, stawiając koszyk na ziemi.

Fonfon pojawił się natychmiast, z uśmiechem na ustach. Bardzo się lubili oboje.

- Witaj, Honorine.

- Daj mi małą kawę, Fonfon. Tylko nie za mocną, bo już za dużo wypiałam. (Usiadła i przysunęła się z krzesłem do mnie.) Ktoś na pana czeka.

Przyglądała mi się, żeby zobaczyć, jak zareaguję.

- Gdzie? U mnie?

- No tak. Przecież nie u mnie. Kto niby ma mnie odwiedzać? (Nie mogła się doczekać, aż zadam pytanie, odpowiedź cisnęła się jej na usta.) Nie wyobraża pan sobie, kto to!

- No nie.

Nie domyślałem się, kto mógł się zjawić u mnie w poniedziałek, o wpół do dziesiątej rano. Kobieta mego życia przebywała u swojej rodziny, gdzieś między Sewillą, Kordową i Kadyksem, nie wiedziałem, kiedy wróci. Nie wiedziałem nawet, czy kiedykolwiek wróci.

- No, to będzie pan miał niespodziankę (Zerknęła na mnie chytrze. Nie mogła się już powstrzymać.) Pańska kuzynka. Andżela.

Żelu. Moja piękna kuzynka. Rzeczywiście niespodzianka. Z dziesięć lat jej nie widziałem. Od pogrzebu jej męża, Gina. Został zastrzelony pewnej nocy, kiedy zamykał swoją restaurację w Bandol. Ponieważ nie był z niego żaden łobuz, wszyscy przypuszczali, że chodziło o wymuszenie



okupu. Śledztwo ugrzęzło w głębi jakiejś szuflady, jak wiele innych podobnych spraw. Żelu sprzedała restaurację, wzięła troje dzieci pod pachę i wyjechała, by zacząć życie od nowa. Od tamtej pory nie miałem od niej żadnych wiadomości.

Honorine nachyliła się do mnie i powiedziała poufałym tonem:

- Marnie wygląda, biedactwo. Dam sobie rękę uciąć, że ma kłopoty.

- Dlaczego pani tak myśli?

- Nie żeby nie była miła. Pocałowała mnie, uśmiechnęła się. Pogawędziłyśmy trochę przy kawie. Ale widzę przecież, że coś ją gryzie w środku. Smutna jak dzień bez chleba.

- Może po prostu zmęczona.

- Moim zdaniem, ma kłopoty. I dlatego do pana przyjechała.

Fonfon wrócił z trzema kawami. Usiadł przy nas.

- Pomyślałem, że zechcesz jeszcze jedną. Wszystko w porządku? - spytał, przyglądając nam się.

- Żelu przyjechała. Pamiętasz ją?

Kiwnął głową.

- No i co?

- Ma kłopoty, mówię wam.

Honorine nigdy się nie myliła. Wpatrując się w morze, powiedziałem sobie w duchu, że spokój się skończył. W ciągu roku przybyło mi dwa kilo. Bezczywność zaczynała ciążyć. Więc Żelu, z kłopotami lub bez, była mile widziana. Wypiłem kawę i wstałem od stolika.

- Idę.

- To może kupię panu fougasse\*? - powiedziała Honorine. - Żelu pewnie zostanie na obiad, nie?

\* Rodzaj pieczywa, placek z pszennej mąki.

## Rozdział drugi, w którym, kiedy się gada, zawsze się mówi za dużo

Żelu odwróciła się do mnie i jakby cała moja młodość trzepnęła mnie w pysk. Była najładniejszą dziewczyną w dzielnicy. Niejednemu zawróciła w głowie, a już przede wszystkim mnie. Towarzyszyła mi w dzieciństwie, śniłem o niej, dorastając. Kochałem się w niej w sekrecie. Ale Żelu była niedostępna. Za dorosła. Prawie trzy lata starsza ode mnie.

Uśmiechnęła się do mnie i twarz jej pojaśniała. Miała dołeczki jak Claudia Cardinale. Wiedziała o tym. I że jest podobna do włoskiej gwiazdy, też wiedziała. Niemal skóra zdarta z tamtej. Często to wygrywała: ubierała się i czesała jak Claudia. Nie przepuściliśmy ani jednego jej filmu. Na moje szczęście bracia Żelu nie lubili kina. Woleli mecze piłki nożnej. W niedzielne popołudnia Żelu przychodziła do nas do domu, żebym z nią poszedł do kina. U nas siedemnastoletnia dziewczyna nigdy nie wychodziła sama. Nawet do koleżanek. Zawsze musiał ją odprowadzić jakiś chłopak z rodziny. A Żelu bardzo mnie lubiła.

Uwielbiałem z nią wychodzić. Na ulicy brała mnie pod rękę i czułem się jak król. Na Lamparcie Viscontiego o mało nie oszalałem. Żelu nachyliła się ku mnie i szepnęła mi do ucha:

- Ale piękna, co?

Alain Delon wziął ją w ramiona. Położył dłoń na jej dłoni i powiedziałem niemal niedosłyszalnie:

- Jak ty.

Przez cały seans nie wysunęła ręki spod mojej dłoni. Nie rozumiałem nic z tego, co się działo na ekranie, tak byłem podniecony. Miałem czternaście lat. Ani trochę nie przypominałem Delona, a Żelu była moją kuzynką. Więc kiedy zapaliło się światło, życie upomniało się o swoje prawa i zrozumiałem, że będzie dla mnie absolutnie niesprawiedliwe.

To był przelotny uśmiech. Błysk wspomnień. Żelu podeszła do mnie. Zdażyłem dostrzec łzy w jej oczach i już była w moich ramionach.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedziałem i przytuliłem ją do siebie.

- Potrzebuję twojej pomocy, Fabio.

Ten sam gardłowy głos co u aktorki. Ale to nie była replika z filmu. Nie byliśmy w kinie. Claudia Cardinale wyszła za męża, urodziła dzieci i żyła szczęśliwie. Alain Delon utył i zarobił dużo pieniędzy. A myśmy się postarzel. Życie było dla nas niesprawiedliwe, tak jak obiecało. I dalej jest niesprawiedliwe. Żelu ma kłopoty.

- Wszystko mi opowiesz.

Guitou, najmłodszy z trójki chłopców, uciekł z domu. W piątek rano. Nie zostawił listu, niczego. Zwędził tysiąc franków z kasy sklepu. Od tej pory cisza. Miała nadzieję, że zadzwoni, jak dzwonił, kiedy wyjeżdżał na wakacje do kuzynów z Neapolu. Myślała, że wróci w sobotę. Czekala na niego przez cały dzień. Potem przez całą niedzielę. W nocy się załamała.

- Jak myślisz, gdzie pojechał?

- Tu. Do Marsylii - odpowiedziała bez wahania.

Nasze oczy się spotkały. Spojrzenie Żelu zagubiło się w dali, tam, gdzie niełatwo być matką.

- Muszę ci wszystko wyjaśnić.

- Chyba tak.

Zrobiłem nową kawę. Nastawiłem płytę Boba Dylana. Album Nashville Skyline. Mój ulubiony. Z Girl From The North Country, w duecie z Johnnym Cashem.

- Stare dzieje. Całe lata ich nie słyszałam. Wciąż tego słuchasz?

Ostatnie słowa wypowiedziała niemal z niesmakiem.

- Tego i innych rzeczy. Gust mi się nie zmienia. Ale jak wolisz, mogę nastawić Antonia Machina. Dos gardenias per amor... - zanuciłem, robiąc kilka kroków bolera.

Nie uśmiechnęła się. Może woli Julia Iglesiasa? Nie zadałem jej tego pytania, poszedłem do kuchni.

Usiedliśmy na tarasie, twarzą do morza. Żelu zajęła mój ulubiony wiklinowy fotel. Założywszy nogę na nogę, w zamyśleniu paliła papierosa. Obserwowałem ją kątem oka z kuchni, czekając, aż kawa podejdzie w górę. Mam gdzieś w szafce wspaniałą elektryczny ekspres do kawy, ale nadal postępuję się starą włoską maszynką. Kwestia smaku.

Czas okazał się łaskawy dla Żelu. Miała pod pięćdziesiątkę, nadal była piękną, pociągającą kobietą. Delikatne kurze łapki w kącikach oczu, jedyne zmarszczki na gładkiej twarzy, dodawały jej tylko uroku. Ale było w niej coś, co mi przeszkadzało. Przeszkadzało od chwili, gdy wysunęła się z moich objęć. Zdawała się należeć do świata, w którym nigdy nie postawiłem stopy. Do świata ludzi przyzwoitych i godnych szacunku. Gdzie nawet na terenach golfowych czuć zapach Chanel nr 5. Gdzie obchodzi się uroczystością pierwszą komunię, zaręczyny, śluby i chrzty. Gdzie wszystko jest harmonijne, nawet prześcieradła, powłoczki, koszule nocne i kapcie do siebie pasują. Gdzie raz na miesiąc zaprasza się znajomych na kolację, a oni odwiedzają się tym samym. Widziałem czarne auto, saaba, zaparkowane pod moim domem i założyłbym

się, że kostium, który Żelu miała na sobie, nie został zakupiony w domu wysyłkowym.

Od śmierci Gina nie wiedziałem nic o życiu mojej pięknej kuzynki. Strasznie byłem ciekaw, co się z nią działo przez te wszystkie lata, ale nie od tego należało zacząć.

- Podczas wakacji Guitou znalazł sobie dziewczynę. Flirtował z nią. Mieszkała z całą bandą młodych na kempingu nad jeziorem Serre-Poncon. Poznali się na zabawie wiejskiej. Chyba w Manse. Przez całe lato urządzają w wioskach zabawy, tańce i tak dalej. Od tego dnia się nie rozstawali.

- To normalne w tym wieku.

- No tak. Ale on ma tylko szesnaście lat, a ona osiemnaście.

- Pewnie ładny z niego chłopak - zażartowałem.

Ani cienia uśmiechu. Dalej była zasepiona. Lęk trzymał ją za gardło. Nie umiała się rozluźnić. Chwyliła leżącą na ziemi torebkę. Markową. Vuittona. Wyjęła z torebki portfel, otworzyła go, podała mi zdjęcie.

- Tej zimy na nartach. W Serre-Chevalier.

Ona i Guitou. Chudy jak szczapa, o głowę wyższy od matki. Długie, rozwichrzone włosy spadały mu na twarz. Twarz niemal kobiecą, podobną do twarzy Żelu. Mieli ten sam uśmiech. Ale Guitou był inny niż matka. Jeśli od niej była pewność siebie i zdecydowanie, to on wydawał się nie tyle słaby, ile kruchy. Powiedziałem sobie, że to caganis, najmłodsze dziecko w rodzinie, którego rodzice już się nie spodziewali. Żelu na pewno go rozpieszczęła. Zdziwiło mnie, że Guitou uśmiechał się tylko ustami, nie oczyma. Jego utkwione gdzieś w dali spojrzenie było smutne. A sądząc po tym, jak trzymał narty, domyślałem się, że pozowanie do fotografii strasznie go drażni. Nie podzieliłem się tym spostrzeżeniem z Żelu.

- Jestem pewien, że też byś na niego poleciała, gdybyś miała osiemnaście lat.

- Uważasz, że jest podobny do Gina?

- Ma twój uśmiech. Trudno mu się oprzeć. Wiesz o tym...

Nie rozumiała aluzji. Albo nie chciała zrozumieć. Wzruszyła ramionami i schowała zdjęcie do portfela.

- Wiesz, Guitou łatwo się zapala. Marzyciel z niego. Nie wiem, po kim to ma. Czyta całymi godzinami. Nie lubi sportu. Najmniejszy wysiłek z trudem mu przychodzi. Marc i Patrice są inni. Bardziej... przyziemni. Praktyczni.

Wyobrażałem ich sobie. Dziś się mówi: realiści.

- Mieszkają z tobą?

- Patrice ożenił się trzy lata temu. Prowadzi mój sklep w Sisteron. Razem z żoną. Dobrze sobie dają radę. Marc od roku jest w Stanach Zjednoczonych. Studiuje inżynierię turystyczną. Był u mnie na wakacjach. Dziesięć dni temu wyjechał. (Umilkła, zamyśliła się.) Wiesz, to jego pierwsza dziewczyna. W każdym razie pierwsza, o której wiem.

- Powiedział ci o niej?

- Kiedy po piętnastym sierpnia wyjechała, dzwoniли do siebie bez przerwy. Rano i wieczorem. W nocy gadali godzinami. Wpadł na całego. Musiałam z nim porozmawiać.

- Czego się spodziewałaś? Że to się samo skończy? Ostatni raz buzi, buzi, a potem już tylko dzień dobry, do widzenia?

- No nie, ale...

- Sądzisz, że do niej pojechał, tak?

- Nie sądzę, wiem. Najpierw chciał, żebym ją zaprosiła do domu na weekend, ale odmówiłam. Potem poprosił, żebym mu pozwoliła pojechać do niej do Marsylii, ale się nie zgodziłam. Jest za młody. A poza tym nie uważam, żeby to było wskazane tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego.

- Uważasz, że lepiej, że się stało, jak się stało?

Zirytowała mnie. Nie rozumiem tego lęku matki, że jej pędrak odleci do innej kobiety. Zwłaszcza najmłodszy. Włoszki są bardzo wprawne w tej grze. Ale chodziło jeszcze o coś więcej. Czulem, że Żelu nie mówi mi wszystkiego.

- Nie proszę cię o radę, Fabio. tylko o pomoc.
- Jeśli sądzisz, że zwracasz się do gliniarza, to jesteś w błędzie - powiedziałem chłodno.
- Wiem. Zadzwoiłam na komisariat. Od roku nie ma cię na liście pracowników.
- Złożyłem dymisję. To długa historia. Zresztą, tak czy owak, byłem tylko małym gliniarzem z przedmieścia. Z północnych dzielnic.
- Przyjechałam do ciebie, nie do gliniarza. Chcę, żebyś go poszukał. Mam adres tej dziewczyny.
- Przestałem rozumieć.
- Chwileczkę, Żelu. Wytłumacz mi. Skoro masz adres, dlaczego nie pojechałeś prosto tam? Dlaczego chociaż nie zadzwoniłeś?
- Zadzwoiłam. Wczoraj dzwoniłam dwa razy. Trafiałam na jej matkę. Powiedziała, że nie zna Guitou. Nigdy go nie widziała. I że córki nie ma w domu. Że poszła do dziadka, a dziadek nie ma telefonu. Jakies bzdury.
- Może to prawda.
- Zastanawiałem się. Próbowałem uporządkować te nieskładne informacje. Ale byłem pewien, że jakichś części łamigłównki brakuje.
- O czym myślisz?
- Jakie wrażenie zrobiła na tobie ta dziewczyna?
- Tylko raz ją widziałam. W dniu jej wyjazdu. Przyszła do domu po Guitou, żeby ją odprowadził na stację.
- Jaka jest?
- Taka sobie.
- Co to znaczy? Ładna?
- Wzruszyła ramionami.
- Mhm.
- Tak czy nie? Cholera! Co nie gra? Brzydka? Kula-wa?
- No nie. Owszem, ładna...
- Mówisz, jakby ci to przeszkadzało. Wygląda na porządną dziewczynę?

Znów wzruszyła ramionami. Naprawdę zaczynała mnie denerwować.

- Nie wiem, Fabio.

Powiedziała to z lękiem w głosie. Omijała mnie wzrokiem. Zbliżaliśmy się do sedna sprawy.

- Jak to nie wiesz? Nie rozmawiałaś z nią?

- Aleks wyrzucił ją za drzwi.

- Aleks?

- Aleksander. Żyję z nim, od kiedy... Prawie od śmierci Gina.

- Aha. A dlaczego ją wyrzucił?

- Bo to... Arabka. A my... Nie bardzo ich lubimy. Tyle.

Więc o to chodzi. Tu leży pies pogrzebany. Poczulem nagle, że nie mogę patrzeć na Żelu. Odwróciłem się w stronę morza. Jakby to ono było wszystkiemu winne. Czułem wstyd. Najchętniej wyrzuciłbym Żelu za drzwi, ale to przecież moja kuzynka. Jej syn uciekł z domu, może się spóźnić na rozpoczęcie roku szkolnego. Matka się martwi, to jeszcze potrafię zrozumieć. Mimo wszystko.

- Czegoście się przestraszyli? Że arabska dziewczyna to plama na honorze? No nie, jak Boga Kocham! A wiesz, skąd sama przychodzisz? Pamiętasz, kim był twój ojciec? Jak go nazywano? Twojego ojca i mojego? Nabos! Portowe psy! Właśnie tak! Tylko nie opowiadaj, że nic cię nie bolało, że się urodziłaś w Panier, u tych psów dokerów. A teraz mi mówisz o Arabach! Nie wyobrażaj sobie, że dzisiaj jesteś lepsza, bo jeździsz saabem i nosisz kostium głupiej cipy. Gdyby przy wydawaniu dowodu osobistego pobierano krew, przystawiono by ci pieczęć „arabska”.

Oburzona zerwała się z miejsca.

- Mam krew włoską, nie arabską. My, Włosi, nie jesteśmy Arabami.

- Południe to nie Włochy. To kraj mieszańców. Wiesz, jak nas nazywają w Piemencie? Mau-Mau. Jedno słowo na określenie Arabów, Cyganów i wszystkich Włochów uro-



dzonych poniżej Rzymu. Kurwa mać! Nie mów, że wierzysz w te brednie, Żelu!

- Aleks walczył w Algierii. Wycierpiał swoje. Wie, jacy oni są. Podstępni i...

- No tak. Boisz się, że mała zarazi twojego chłopca wirusem HIV, jak mu będzie robić łaskę!

- Jesteś naprawdę wulgarny.

- Owszem, jestem. Nie umiem nic innego powiedzieć na takie brednie. Zabieraj swoją torebkę i spływaj. Poślij twojego Aleksa do Arabów. Może wróci żywy i przyprowadzi ci syna.

- Aleks o niczym nie wie. Nie ma go. Wyjechał w podróż służbową. Wraca jutro wieczór. Musimy wrócić razem z Guitou przed nim, bo inaczej...

- Co inaczej?

Opadła na fotel i rozplakała się głośno Przykucnąłem przy niej.

- Co inaczej, Żelu? - spytałem łagodnie.

- Zbije mnie.

Honorine zjawiała się nareszcie. Na pewno nie straciła ani słowa z mojej kłótni z Żelu, ale nie wysunęła nosa na taras. To nie było w jej stylu. Nie wtrącała się w moje sprawy. Przynajmniej tak długo, jak długo jej do tego nie zachęciłem.

Siedzieliśmy z Żelu w ciężkim milczeniu. Kiedy się gada, zawsze się mówi za dużo. A potem człowiek rozpamiętuje każde swoje słowo. Te parę słów, które Żelu powiedziała mi o sobie i o Aleksie, niekoniecznie rymowało się ze szczęściem bez granic.

Zadowalała się tym, co jest. Ponieważ, dodała, kobieta pięćdziesięcioletnia, nawet pociągająca, nie ma wielkiego wyboru. Najważniejsze to mężczyzna. Życie z mężczyzną liczy się najbardziej, tyle samo co zabezpieczenie material-

ne. A więc jest warte cierpienia i upokorzeń od czasu do czasu. Wymaga także poświęceń. Przyznała bez wstydu, że gdzieś w tym wszystkim zostawiła Guitou samego. Miała po temu powody. Mocne. To znaczy strach. Bała się, że się pokłóci z Alekssem. Bała się, że Aleks ją rzuci i że będzie sarna. Bo w końcu przyjdzie taki dzień, kiedy Guitou opuści dom. Tak jak wcześniej Patrice, a potem Marc.

Prawda, że Żelu i Gino nie chcieli trzeciego dziecka. Guitou urodził się dużo później niż bracia. Przez przypadek. Dwaj starsi chłopcy byli już duzi. Żelu pragnęła wówczas być nie matką, tylko żoną. A potem Gino zmarł. Została z małym dzieckiem. I wielkim smutkiem. Na powrót stała się matką.

Aleks dbał o chłopców. Lubili się. Nie było problemów. Ale Guitou, dorastając, znienawidził przybranego ojca, a własnego, którego nie zdążył poznać, wyposażył we wszelkie cnoty, wszelkie zalety. I Guitou pokochał wszystko, czego Aleks nie znosił, i znienawidził to, co tamten kochał. Po wyjściu obu braci z domu wrogość między Guitou a Alekssem pogłębiła się. Byle co było pretekstem do starcia. Nawet wybór filmu do obejrzenia w telewizji kończył się kłótnią. Guitou zamykał się w swoim pokoju i nastawiał muzykę na fuli. Najpierw rocka i reggae, a od roku rai i rap.

Doszło do rękoczynów. Aleksowi zdarzało się dać mu w twarz. Nic poważnego. Gino też mógłby go tak trzepnąć. Chłopcy czasem zasługują na policzek. A Guitou może częściej niż inni. Ale kiedy Arabka przysłała do domu, rozpętała się burza. Guitou zbuntował się. Aleks był zmuszony go uderzyć. Mocno. Żelu próbowała ich rozdzielić, ale Aleks powiedział, żeby się nie wtrącała. Jego cierpliwość się wyczerpała. Smarkacz robi, co mu się żywnie podoba. Że słucha na okrągło arabskiej muzyki, to jeszcze ujdzie. Ale żeby sprowadzać arabstwo do domu, to nie ma mowy. Są granice. Znamy tę piosenkę. Najpierw dziewczyna, potem jej

bracia, a w końcu cała familia. Żelu w gruncie rzeczy zgadzała się z Alekssem.

A teraz się bała. Bo już nie wiedziała, co myśleć. Nie chciała stracić Aleksa, lecz ucieczka i milczenie Guitou obudziły w niej poczucie winy. To jej dziecko. Jest jego matką.

- Usmarzyłam parę racuchów - powiedziała Honorine do Żelu. - Proszę, jeszcze gorące.

Podawała mi talerz i fougasse, którą trzymała pod pachą.

W lecie zbudowałem przejście z drewnianą furtką między jej tarasem a moim. Nie musiała wychodzić z domu, żeby mnie odwiedzić. Nie umiałem niczego przed nią ukryć. Ani brudnej bielizny, ani romansów. Byłem dla niej jak syn, którego Toinou nie mógł jej dać.

Uśmiechnąłem się, postawiłem na stole wodę i pastis. I przygotowałem żar, żeby upiec dorady na ruszcie. Nie ma się co śpieszyć, skoro kłopoty i tak już człowieka dopadły.

## Rozdział trzeci, w którym gdzie jest wściekłość, tam jest życie

Chłopaki grali wspaniale. Bez szpanu. Dla przyjemności. I ku nauce, żeby byli jeszcze lepsi w przyszłości. Niedawno zagospodarowany teren do gry w koszykówkę zajmował część parkingu przed dwoma wielkimi blokami osiedla Bigotte, na wzgórzach Notre-Dame-Limite, na granicy Marsylii i Septemes-les-Vallons. Osiedle górowało nad dzielnicami północnymi.

Nie gorsze niż gdzie indziej. Ani nie lepsze. Beton w dramatycznym krajobrazie wapiennych skał. Poniżej na lewo - miasto. Daleko. Tutaj człowiek jest daleko od wszystkiego. Tylko nie od nędzy. Świadczy o tym choćby bielizna susząca się w oknach. Łopocze w słońcu na wietrze, a mimo to wydaje się bezbarwna. Pranie bezrobotnych i tyle. Ale w porównaniu z tymi na dole mają tutaj widok. Wspaniały. Najpiękniejszy w Marsylii. Człowiek otwiera okno i ma dla siebie całe morze. Za darmo. Mieć Morze Śródziemne dla siebie, kiedy nie ma się nic, to jak pajda chleba dla głodnego. Nie byle co.

Na pomysł urządzenia boiska do koszykówki wpadł jeden z tutejszych dzieciaków zwany Uba-Uba. Nie dlatego, że był czarnym senegalskim dzikusiem, ale dlatego, że skakał przed koszem zręcznie, a przynajmniej nie gorzej niż kangur.

- Jak widzę te wszystkie samochody, które zabierają tyle miejsca, to mnie cholera bierze - powiedział Lucienowi, sympatycznemu gościowi z wydziału socjalnego.  
- U mnie w domu jest ciasno, niech tam. Ale te parkingi to mnie naprawdę wkurzają.

Zaraził pomysłem innych. Wynikł z tego wyścig między merem i deputowanym pod rozbawionym spojrzeniem radcy regionalnego, który akurat nie startował w wyborach. Dobrze pamiętam, jak to się odbyło. Nie czekając na koniec oficjalnych przemówień, chłopcy zajęli „swoj” teren. Nawet go jeszcze nie ukończono. Zresztą nigdy go nie ukończono i cienka warstwa asfaltu pękała wzdłuż i wszerz.

Pałac papierosa, przyglądałem się rozgrywce. Dziwnie się czułem znów tutaj, w północnych dzielnicach. Mój dawny sektor. Nie zająłem tutaj ani razu, od kiedy złożyłem dymisję. Nie było najmniejszego powodu, żeby tu zaglądać. Ani tu, ani do Bricarde, Solidarite, Savine czy na Paternelle... Osiedla, gdzie nie ma nic. Nic do zobaczenia. Nic do roboty. Nie można nawet kupić sobie coca-coli, jak na osiedlu Plan d'Aou, gdzie przynajmniej przetrwał jeden sklepik.

Żeby się kręcić po tych dzielnicach, trzeba tu mieszkać albo być gliną lub wychowawcą. Dla większości mieszkańców Marsylii dzielnice północne to rzeczywistość abstrakcyjna. Miejsca, które istnieją, ale których się nie zna i nigdy nie pozna. Które się ogląda jedynie „oczami” telewizji. Jak Bronx. I wszystkie urojenia, które się z tymi miejscami łączą. I strach.

Oczywiście dałem się przekonać Żelu, żeby pójść poszukać Guitou. Unikaliśmy tego tematu przy obiedzie. Oboje byliśmy zażenowani. Ona tym, co mi powiedziała. Ja tym, co usłyszałem. Na szczęście Honorine wzięła ciężar rozmowy na siebie.

- No, ja nie wiem, jak tam sobie dajesz radę w górach. Ja tylko raz wyjechałam z Marsylii. Niedaleko. Do Avignonu.

Moja siostra Louise mnie potrzebowała. Ale byłam nie-szczęśliwa... Chociaż zostałam nie dłużej niż dwa miesiące. Najbardziej brakowało mi morza. Tutaj mogę na nie patrzeć godzinami. Nigdy nie jest takie samo. Tam jest oczywiście Rodan. Ale to co innego. Nigdy się nie zmienia. Zawsze szary i nie pachnie.

- Człowiek w życiu nie zawsze wybiera - powiedziała Żelu znużonym głosem.

- Nie musisz mi tłumaczyć. Morze to nie wszystko. Szczęście, dzieci, zdrowie, to się bardziej liczy.

Żelu była na skraju łez. Zapaliła papierosa. Ledwie napoczęła swoją porcję dorady.

- Proszę cię, pojedź tam - szepnęła, kiedy Honorine poszła po kawę.

No i pojechałem. A teraz stoję przed blokiem, w którym mieszka rodzina Hamudi. Żelu na mnie czeka. Na mnie i na Guitou. Niespokojna mimo kojącego towarzystwa Honorine.

- Żelu ma kłopoty, co? - spytała mnie w kuchni.

- Z najmłodszym. Guitou. Uciekł z domu. Przypuszcza, że jest tutaj, w Marsylii. Nie zdręczaj jej zbyt, jak wyjdę.

- Pan idzie go poszukać?

- Ktoś musi.

- Mógłby przecież... No, nie wiem... Ona żyje sama?

- Pogadamy o tym później, dobra?

- No właśnie. Widać, że pańska kuzynka ma kłopoty.

Nie tylko z małym.

Zapaliłem kolejnego papierosa. Uba-Uba wpakował piłkę do kosza tak, że jego kolegom dech zaparło z podziwu. Znakomita drużyna z tych szczeniaków. A ja nie potrafię się zdecydować. Nie mam odwagi. A raczej przekonania. Jak tak można pakować się do czyjegoś domu: „Dzień dobry, nazywam się Fabio Montale. Przychodzę po chłopaka. Dość będzie tej zabawy. A ty się uspokój, szczeniaku, twoja matka i bez tego ma dość zmartwień.” No nie, nie mogę

tego zrobić. Już wiem, zabiorę oboje do siebie do domu, niech się rozmówią z Żelu.

Przyuważyłem z daleka znajomą sylwetkę. Serge. Rozpoznałem go po sposobie chodzenia, niezgrabnych, trochę dzieciennych ruchach. Wszedł ze stojącego na wprost mnie bloku D4. Chyba schudł. Gęsta broda przesłaniała mu pół twarzy. Zmierzał w stronę parkingu. Ręce w kieszeniach płóciennej kurtki. Zgarbione plecy. Smutno wyglądał.

Nie widziałem Serge'a od dwóch lat. Myślałem, że wyjechał z Marsylii. Przez wiele lat pracował jako wychowawca w północnych dzielnicach, wylano go z pracy trochę przez mnie. Ilekroć zatrzymywałem dzieciaki, które narozrabiwały, wzywałem go do komisariatu, wcześniej nawet niż rodziców. Informował mnie o rodzinach, dawał rady. Te dzieciaki to było całe jego życie. Dlatego wybrał ten zawód. Nie mógł znieść, że wyrostki kończą w kryminale. Przede wszystkim ufał im. Miał w sobie wiarę w człowieka, jak niektórzy księża. Zresztą przypominał księdza, nawet trochę za bardzo, jak na mój gust. Sympatyzowaliśmy ze sobą, ale nie zostaliśmy przyjaciółmi. Pewnie z powodu tej jego księżulkowatości. Nigdy nie wierzyłem w to, że ludzie są dobry. Wierzyłem, że zasługują na równość.

Dużo gadano o naszych konszachtach. Glina w sztamie z wychowawcą! Moim szefom bynajmniej się to nie podobało. Zapłaciliśmy za to. Najpierw Serge. Ostro się z nim rozprawili. Ze mną później, trochę bardziej elegancko. Nie jest łatwo pozbyć się gliniarza, którego nominację na stanowisko nadzorującego dzielnice północne tak chętnie nagłośniono w mediach kilka lat wcześniej. Najpierw zredukowano mi personel, później ograniczono moje obowiązki. Bez specjalnego przekonania kontynuowałem swoją robotę, ponieważ nie umiałem nic innego, jak być gliną. Trzeba było śmierci zbyt wielu bliskich mi ludzi, żeby obrzydzenie wzięło górę i uwolniło mnie.

Nie zdążyłem spytać Serge'a, co tu robi. Nie wiedzieć skąd pojawiło się czarne bmw z przydymionymi szybami. Serge nie zwrócił uwagi na nadjeżdżające z wolna auto. Gdy samochód się z nim zrównał, z tylnego okienka wysunęła się ręka. Ze spluwą. Trzy strzały z bliska. Bmw poderwało się i znikło równie nagle, jak się zjawiło.

Serge leżał na asfalcie. Nie było wątpliwości, że nie żyje.

Strzały z rewolweru odbiły się echem wśród bloków. Okna się pootwierały. Chłopcy przerwali grę, piłka potoczyła się na jezdnię. Czas zamarł. Na chwilę zrobiło się bardzo cicho. Potem zewsząd nadbiegli ludzie.

Podbiegłem do Serge'a.

- Cofnąć się! - wrzasnąłem do wszystkich, którzy pochylali się już nad trupem. Jak gdyby Serge mógł jeszcze potrzebować powietrza.

Przyklęknąłem przy nim. Oswoiłem się już z tym ruchem. Nadmiernie się oswoiłem. Tak samo jak ze śmiercią. Lata mijają, a ja nic, tylko przyklękam na ziemi, żeby się pochylić nad trupem. Cholera! Przecież to nie może się zacząć od nowa! Wciąż to samo. Dlaczego moja droga jest usłana trupami? Dlaczego coraz częściej są to trupy ludzi, których znałem albo kochałem? Manu i Ugo, przyjaciele z dzieciństwa, towarzysze wspólnej męki. Leila, taka piękna i młoda, że nie miałem odwagi się z nią związać. A teraz mój kumpel Serge.

Śmierć mnie nie opuszcza, uczepiła się jak jakieś gówno, w które musiałem kiedyś wdepnąć. Ale dlaczego? Dlaczego? Niech to szlag!

Serge zainkasował trzy kule w brzuch. Kaliber 38, na oko. Broń zawodowców. W co się wplątał, idiota? Podniosłem oczy na blok D4. Od kogo wychodził? Po co tam poszedł? To pewne, że ten, komu złożył wizytę, nie pokaże się w oknie.



- Widziałeś go tu kiedy? - spytałem Uby-Uby, który przecisnął się do mnie.

- Nigdy w życiu.

U wjazdu na osiedle rozległa się syrena policyjna. Tym razem wyjątkowo się pośpieszyli. Dzieciaki ulotniły się w try miga. Na placu zostały tylko kobiety, malcy, paru starszków bez wieku, no i ja.

Pojawili się z kowbojskim szpanem. Sądząc po tym, jak zahamowali tuż przy nas, naoglądali się do syta telewizyjnych seriali. Pewnie nawet trenowali tę scenę, bo wykonali ją bezbłędnie. Czworko drzwiczek otworzyło się jednocześnie i wysiedli z samochodu. Wszyscy z wyjątkiem Babara, najstarszego gliniarza w komisariacie sektora. Jego dawno przestało bawić odgrywanie Starsky'ego i Hutch'a. Miał nadzieję, że dociągnie do emerytury tak samo, jak rozpoczął karierę, nie udzielając się przesadnie Najlepiej w dobrym zdrowiu, jeśli się uda.

Pertin, przez wszystkie dzieciaki z osiedli nazywany Dwugłowym z powodu okularów Ray-Ban, których nigdy nie zdejmował, rzucił okiem na zwłoki Serge'a, po czym przyjrzał mi się uważnie.

- Co tu robisz?

Nie byliśmy przyjaciółmi. Chociaż to on był komisarzem, przez siedem lat władzę nad północnymi dzielnicami sprawowałem ja. Komisariat sektora był tylko placówką oddaną do naszej dyspozycji. Naszej, czyli kierowanych przeze mnie brygad bezpieczeństwa.

Od samego początku toczyliśmy ze sobą wojnę. „W arabskich dzielnicach sprawdza się tylko siła”, powtarzał. Takie miał credo. Stosował je dosłownie przez całe lata. „Od czasu do czasu wyławiasz jakiegoś beura i spuszczasz mu manto. Gdzieś na stronie, w kamieniołomach. Na pewno coś kiedyś przeszkrobał, o czym nawet nie wiesz. Dasz gnojowi popalić, a on już będzie wiedział, za co i dlaczego. To lepsze niż kontrola dokumentów. Unikasz w ten

sposób papierkowej roboty w komisariacie. I dobrze robi na nerwy, uspokoisz się."

Dla Pertina na tym polegało „rzetelne wykonywanie swojej roboty”, jak oświadczył dziennikarzom. Dzień wcześniej jego ekipa „przypadkowo” zastrzeliła siedemnastoletniego beura podczas rutynowej kontroli dokumentów. To było w 1988 roku. Cała Marsylia się zatrzęsała po tym wypadku. Tego samego roku zostałem mianowany szefem brygad bezpieczeństwa. Miałem być tym supergliną, który zaprowadzi spokój i porządek w dzielnicach północnych. Prawda, że byliśmy wtedy na skraju wybuchu.

Wszystkie moje działania, dzień po dniu, udowadniały mi, jak bardzo się mylił. Nawet jeśli ja sam z kolei się myliłem, bo chcąc załagodzić sytuację, byłem zbyt pojedynczy, ugodowy. Za bardzo się starałem zrozumieć to, czego zrozumieć się nie da. Nędzę i rozpacz. Za mało jest we mnie policjanta. Tak mi tłumaczyli przełożeni. Już później. Pewnie mieli rację. Z policyjnego punktu widzenia, rzecz jasna.

Po mojej dymisji Pertin na powrót objął władzę nad blokowiskami. Tu panowało jego „prawo”. W opuszczonych kamieniołomach znów robiono łomot gówniarzom. Znów ruszyły gonitwy rodea po ulicach. Nienawiść. Eskalacja nienawiści. Fantazje przemieniały się w rzeczywistość i pierwszy lepszy obywatel, mający broń palną, mógł strzelać bez ostrzeżenia do wszystkiego, co nie jest zdecydowanie białe. Tak zginął Ibrahim Ali, siedemnastoletni Malgasz, który pewnego lutowego wieczoru 1995 roku biegł z kolegami ulicą, żeby złapać nocny autobus.

- Pytam się ciebie. Co tu robisz?

- Turystyka. Stęskniłem się za tymi dzielnicami. Za ludźmi i tak dalej.

Z całej czwórki uśmiechnął się tylko Babar. Pertin pochylał się nad ciałem Serge'a.

- O cholera! To twój koleś, peda! Nie żyje.

- Zauważyłem.
- Spojrzał na mnie spode łba.
- A skąd się tutaj wziął?
- Nie mam pojęcia.
- A ty?
- Powiedziałem ci, Pertin. Przechodziłem obok. Zachciało mi się popatrzeć, jak dzieciaki grają w kosza. Więc się zatrzymałem.
- Boisko było puste.
- Jakie dzieciaki? Przecież nikt tu nie gra.
- Rozgrywka się skończyła, jak tylko padły strzały. Wiesz, jacy oni są. Nie to, że was nie lubią, ale wolą uniknąć spotkania twarzą w twarz.
- Oszczędź sobie komentarzy, Montale. Mam je gdzieś. Opowiadaj.
- Więc opowiedziałem.

Opowiedziałem drugi raz. Na komisariacie. Pertin nie mógł sobie odmówić tej drobnej przyjemności. Żeby posadzić mnie przed sobą i przesłuchać. W komisariacie, gdzie przez długie lata byłem jedynym panem na pokładzie. Mizerny rewanz, ale sycił się nim z satysfakcją, jaką czują tylko gnidy, i chciał się nim cieszyć na maksa. Taka okazja może się nie powtórzyć.

Kombinował w głowie ukryty za swoimi pieprzonymi ray-banami. Serge i ja byliśmy kumplami. Może nadal jesteśmy. Serge został zastrzelony. Zapewne maczał palce w jakiejś ciemnej sprawie. A ja byłem na miejscu. Świadek. A dlaczego nie współnik? Może to jakiś trop? Trop, który może doprowadzić nie do tego, żeby przyskrzynić tych, co zastrzelili Serge'a, lecz żeby przyskrzynić mnie. Wyobrażam sobie, jak go to rajcowało.

Nie widziałem jego oczu, ale na pewno bym to z nich wyczytał. Głupota nie przeszkadza rozumować logicznie.

- Zawód? - spytał pogardliwie.

- Bezrobotny.

Roześmiał się. Carli przestał stukać na maszynie i też się roześmiał.

- No nie. Chodzisz stemplować kartę do urzędu? I tak dalej? Jak te małpy?

Zwróciłem się do Carlego:

- Nie notujesz tego?

- Notuję tylko odpowiedzi.

- O, bo nasz supermen się zezłości! - podjął Pertin. (Nachylił się ku mnie.) - A z czego żyjesz?

- Hola! Pertin! Co ty sobie wyobrazasz? Występujesz w telewizji? W cyrku?

Tylko trochę podniosłem głos. Żeby przypomnieć, że jestem świadkiem. Nie miałem pojęcia, o co chodzi w tej sprawie. Nie miałem nic do ukrycia z wyjątkiem celu mojej wizyty na osiedlu. Mogłem sto razy powtórzyć swoją wersję, nie zmieniając ani słowa. Pertin szybko to zrozumiał i wkurzył się. Miał ochotę dać mi w pysk. Był do tego zdolny. Był zdolny do wszystkiego. W czasach kiedy pozostawał moim podwładnym, dawał cynk dilerom, że szykuje się obława. Albo uprzedzał policjantów z brygady od narkotyków, gdy czuł, że połów może być obfity. Mam jeszcze w pamięci porażkę operacji w Petit-Seminaire, innym osiedlu w dzielnicach północnych. Dealerzy operowali całą rodziną. Bracia, siostry, rodzice - wszyscy byli wprowadzeni. Mieszkali na miejscu, ot, dobrzy sąsiedzi. A dzieciaki płaciły im sprzętem hi-fi, pochodzącym z kradzieży. I ten sprzęt natychmiast sprzedawali trzy razy drożej. A zysk inwestowali w towar. Nam się nie udało, wróciliśmy z niczym. Udało się trzy lata później policjantom z brygady antynarkotykowej, z Pertinem na czele.

Uśmiechnął się. Nieszczery uśmiech. Zyskałem punkty, czuł to. Żeby pokazać, że on tu jest panem, chwycił leżący

na biurku paszport Serge'a i pomachał mi nim przed nosem.

- Wiesz, gdzie mieszkał ten twój kumpel, Montale?

- Nie mam pojęcia.

- Aby na pewno?

- Bo powinienem?

Otworzył paszport i znów się uśmiechnął.

- U Arna.

O cholera! A co to za historia? Pertin obserwował, jak zareaguję. Nie zareagowałem. Czekałem. Z nienawiści do mnie zrobił głupstwo, podał świadkowi informację.

- W tym tego nie przeczytasz - powiedział, wymachując paszportem jak wachlarzem. - Ale mamy swoje źródła. Nawet dość dobrze się orientujemy, od kiedy stąd zniknąłeś. Bo my nie jesteśmy księżulami. Tylko glińiarzami. Widzisz różnicę?

- Widzę.

Nachylił się do mnie.

- Ten Cygan był jednym z waszych podopiecznych, nie tak?

Arno. Arno Gimenez. Nigdy się nie dowiedziałem, czyśmy się nie pomylili w jego wypadku. Osiemnaście lat, szalony, sprytny, nieznośnie uparty. Uwielbiał motory. Jedyne, który potrafił ukraść na ulicy motorower z dziewczyną na siodełku. I to tak, że nie było krzyku o kradzież czy gwałt. Genialny mechanik. Ilekroć wpadał w tarapaty, Serge, a potem ja wkraczaliśmy do akcji, żeby go wyciągnąć.

Któregoś dnia dorwaliśmy go w barze Balto w Estaque.

- Dlaczego nie poszukasz pracy? - spytał Serge.

- O tak, superpomysł. Mógłbym sobie kupić telewizor, magnetoskop, opłacać składki na emeryturę i gapić się na jaguary na ulicach jak krowa na pociąg. O to wam chodzi? Świetne macie pomysły, chłopaki. Super cool!

Drwił sobie z nas. Trzeba przyznać, że nie byliśmy ekspertami, jeśli chodzi o argumenty na rzecz dobrodziejstw

przykładowego życia w społeczeństwie. Owszem, umieliśmy gadać o moralności. Ale potem czarna dziura.

- Mam klientów na motor - podjął Arno - więc im go znajduję, odświeżam i są zadowoleni. Taniej ich to kosztuje niż w sklepie, nawet VAT-u nie muszą płacić, więc o czym tu gadać.

Spuściłem nos do szklanki z piwem i zadumałem się nad bezużytecznością tego rodzaju dyskusji. Serge chciał rzucić jeszcze kilka pięknych zdań, ale Arno uciął krótko:

- Po ciuchy chodzi się do Carrefoura. Wielki wybór. Po żarcie tak samo. Wystarczy zamówić. (Popatrzył na nas kąco.) Chcecie się ze mną wybrać?

Często zastanawiałem się nad dewizą Serge'a: „Gdzie jest bunt, tam jest wściekłość. Gdzie jest wściekłość, tam jest życie.” Skrzydlate słowa. Może zbyt zaufaliśmy Arnowi. A może nie dość. W każdym razie niewystarczająco, żeby przyszedł do nas tej nocy, kiedy postanowił obrabować aptekę na boulevard Liberation, w górze Canebierre. Sam, jak głupek. Nawet bez plastikowej spluwy z bazaru. Nie, z prawdziwym dużym czarnym rewolwerem, strzelającym prawdziwymi kulami. Które zabijają. A wszystko dlatego, że Mira, jego starsza siostra, miała komorników na karku. I potrzebowała pięciu tysięcy gotówką, żeby nie wyładować na ulicy z dwójką dzieciaków.

Arno dostał pięć lat. Mirę wyrzucono z domu. Zabrała dzieciaki i wyjechała do Perpignan, do rodziny. Opiekunka społeczna nie mogła w niczym jej pomóc, komitet dzielnicowy nie był w stanie zapobiec eksmisji. Ani mnie, ani Serge'owi nie udało się nic zrobić dla Arna. Pozbyli się naszych zeznań szybciej niż gówna w sraczu. Społeczeństwo potrzebuje skazanych dla przykładu, aby pokazać obywatelom, że panuje nad sytuacją. I skończyły się marzenia małych Gimenezów.

Postarzeliliśmy się obaj, i ja, i Serge. W pierwszym liście Arno pisał: „Zanudzę się tu na śmierć. Nie mam chłopakom

nic do powiedzenia. Jeden w kółko tylko opowiada o swoich wyczynach. Kretyn! Ma się za Mesrine'a\*. Drugi, beur, myśli wyłącznie o tym, żeby ci zwędzić twoje szlugi, twój cukier, twoją kawę... Noce dłużą się bez końca. Ale nie mogę spać, chociaż jestem skonany. Wykończyłem się nerwowo. Wciąż to przeżywam na nowo..."

Pertin nie spuszczał ze mnie oczu, pękał z radości, że mnie zaskoczył.

- Jak to wytłumaczysz? Mieszkał u tego skurwysyna.

Wolno oderwałem pośladki od krzesła, zbliżyłem twarz do jego twarzy. Złapałem okulary Ray-Ban i ściągnąłem mu je na nos. Miał małe oczy. Paskudne żółte oczka. Hieny mają pewnie takie same. Nieprzyjemnie patrzeć prosto w takie oczy. Ani mrugnął. Na ułamek sekundy zamarliśmy bez ruchu. Palcem wcisnąłem gwałtownie ray-bany na nasadę nosa.

- Dość się widzieliśmy. Mam co innego do roboty. Za pomnij o mnie.

Palce Carlego zawisły nad klawiaturą. Gapił się na mnie z otwartą gębą.

- Jak skończysz pisać raport - powiedziałem - podpiszesz go za mnie i wytrzesz nim sobie tyłek. Zgoda? (Od wróciłem się do Pertina.) Czołem, Dwugłowy!

Wyszedłem. Nikt mnie nie chwycił za ramię.

\* Słynny gangster.

## Rozdział czwarty, w którym najważniejsze, to żeby ludzie się spotykali

Zmierzch już zapadł, gdy wróciłem do Bigotte. Powrót do punktu wyjścia. Przed D4. Na jezdni obrysowane kredą kontury ciała Serge'a już się zacierały. W blokach zapewne aż do wiadomości o dwudziestej gadano o facecie, który dał się sprzątnąć. Potem życie upomniało się o swoje prawa. Jutro na północy będzie jeszcze pochmurno, za to na południu pogodnie. I nawet bezrobotni tym się cieszyli.

Podniosłem oczy na blok, zastanawiając się, z którego mieszkania wyszedł Serge, z kim się tam poszedł zobaczyć i dlaczego. Co takiego mógł zrobić, żeby go zastrzelono jak psa.

Moje spojrzenie zatrzymało się na oknach mieszkania rodziny Hamudi, na dziewiątym. Tam mieszka Naima, dziewczyna, którą pokochał Guitou. Ale nie wierzyłem, żeby ci dwoje mogli tam być. Nie w tych blokach. Nie w jednym z tych pokojów, słuchający muzyki. Ani nawet w salonie, grzecznie oglądający telewizję. Te blokowiska to nie miejsce, gdzie się można kochać. Wiedzą o tym wszystkie dzieciaki, które się tu urodziły i tu dorastały. To nie jest życie, to koniec. A miłość potrzebuje marzeń, potrzebuje przyszłości. Morze bynajmniej nie rozgrzewało im serc, tak jak ich rodzicom, tylko zachęcało do ucieczki.



Wiedziałem o tym. Z Manu i Ugiem uciekaliśmy z Pannier, jak tylko się dało, żeby patrzeć na odjeżdżające statki. Tam, dokąd płynęły, na pewno było lepiej niż w wilgotnych uliczkach naszej nędznej dzielnicy. Mieliśmy po piętnaście lat i tak nam się wydawało. Jak sześćdziesiąt lat wcześniej wydawało się mojemu ojcu w porcie Neapolu. Albo mojej matce. I zapewne tysiącom Hiszpanów i Portugalczyków. Ormian, Wietnamczyków i Murzynów. Algierczyków i Malgaszów.

Tak sobie mówiłem, idąc przez parking. Zresztą rodzina Hamudi nie mogła gościć u siebie Francuza. Podobnie jak Żelu nie mogła się zgodzić na obecność Arabki pod swoim dachem. Rasizm działa w dwie strony, nie da się zaprzeczyć. Dziś bardziej niż kiedykolwiek.

Ale tu przyjechałem. Bez złudzeń, lecz zawsze gotów uwierzyć w cuda. Znaleźć Guitou, przyprowadzić go matce i temu palantowi, którego alfabet ogranicza się do pięciu palców dłoni. Postanowiłem, że jeśli znajdę chłopaka, zachowam się delikatnie. Nie chcę być ostry, nie z tą parą dzieciaków. Wierzę w pierwszą miłość. W „pierwszą dziewczynę, którą wzięłeś w ramiona”, jak śpiewa Brassens.

Przez całe popołudnie myślałem o Magali. Od lat mi się to nie zdarzyło. Wiele czasu minęło od naszej pierwszej nocy w bunkrze. Spotykaliśmy się później wiele razy. Ale nigdy nie wyciągnąłem tej nocy z kartonu z pamiątkami. Wydaje mi się, że bez względu na wiek - piętnaście, szesnaście, siedemnaście nawet osiemnaście lat - pierwsza noc spędzona z dziewczyną, kiedy człowiek raz na zawsze odrywa się od ojca i matki, o wszystkim decyduje. Nie chodzi mi tylko o seks. Lecz i o spojrzenie na innych, na kobiety i mężczyzn. O to, jak się będzie patrzeć na życie. I jaki się będzie miało stosunek, słuszny bądź nie, piękny bądź nie, do miłości. Już zawsze.

Kochałem się w Magali. Powinienem był się z nią ożenić. Całe moje życie inaczej by wyglądało, to pewne. Jej

życie również. Ale za dużo ludzi chciało, by stało się to, czego pragnęliśmy z całego serca. Moi rodzice i jej rodzice, wujkowie, ciotki... Nie życzyliśmy sobie, żeby nasi starzy mieli rację. Oni, co zawsze wszystko wiedzieli lepiej i wszystko narzucali. Więc zadreńczaliśmy się nawzajem. Magali przysłała mi list do Dżibuti, gdzie służyłem w Kolonialnej. „Jestem w trzecim miesiącu. Tatuś się ze mną ożeni. W czerwcu. Całuję.” Magali to pierwsza wpadka w moim życiu. Potem były następne.

Nie wiem, czy Guitou i Naima kochają się tak, jak myśmy się kochali. Ale nie chcę, żeby się skrzywdzili, wzajemnie zniszczyli. Niechaj przeżyją razem choćby weekend, miesiąc, rok. Albo całe życie. Bez tego, żeby dorośli się do nich wtrącali. Żeby ich zamulali. Tyle mogę dla nich zrobić. Winien to jestem Magali, która od dwudziestu lat gryzie sobie palce u boku mężczyzny, którego nigdy naprawdę nie kochała, jak wyznała mi w liście napisanym o wiele, wiele później.

Wziąłem oddech i wspiąłem się po schodach do państwa Hamudi. Bo winda, oczywiście, była „chwilowo w naprawie”.

Za drzwiami rap puszczony na fuli. Rozpoznałem głos MC Solaara. Prose combat. Jeden z jego hitów. Stał się idolem, od kiedy pojawił się kiedyś na 1 Maja, między dwoma koncertami, na warsztatach rapu dla dzieciaków z blokowisk. Krzyk kobiety. Muzyka przycichła. Skorzystałem z tego, żeby zadzwonić drugi raz. „Ktoś dzwoni do drzwi!” - krzyknęła kobieta. Otworzył mi Murad.

Parę godzin wcześniej widziałem tego chłopca na boisku, grającego w koszykówkę. Wpadł mi w oko. Miał wyczuć gry zespołowej.

- O, cześć. - Cofnął się lekko na mój widok.
- Kto to? - spytała kobieta.

- Jakiś pan - powiedział, nie odwracając się. - Pan jest policjantem?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- No bo... (Wpatrywał się we nie uważnie.) Tak mi się zdawało. Jak tego Francuza zabili, gadał pan z glinami. Jakby ich pan znał.

- Bystry jesteś.

- My tam z nimi nie gadamy. Wolimy ich unikać.

- A znałeś tego faceta?

- Przyuważyłem go. Ale chłopaki mówią, że nigdy go tutaj nie widzieli.

- Więc nie masz chyba powodu do niepokoju.

- Nie.

- Ale myślałeś, że jestem gliniarzem. I przestraszyłeś się. Dlaczego?

Na korytarz wyszła kobieta, ubrana po europejsku, ale w arabskich bamboszach z czerwonymi pomponami.

- O co chodzi, Murad?

- Dobry wieczór pani - powiedziałem.

Murad schował się za matkę. Ale nie uciekł.

- O co chodzi? - powtórzyła tym razem pod moim adresem.

Wspaniałe czarne oczy. I równie wspaniała twarz w oprawie gęstych, farbowanych henną włosów. Piękna czterdziestoletnia kobieta, która zaczyna lekko tyć. Wyobraziłem ją sobie dwadzieścia lat wcześniej, żeby mieć obraz Naimy. Guitou ma dobry gust, powiedziałem sobie nie bez zadowolenia.

- Chciałem rozmawiać z Naimą.

Murad wychylił głowę zza matki. Twarz mu się zachmurzyła. Spojrzał na matkę.

- Nie ma jej - powiedziała kobieta.

- Mogę wejść na chwilę?

- Coś przeszkobiła?

- Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć.

Czubkami palców dotknęła serca.

- Wpuść go - powiedział Murad. - To nie gliniarz.

Pijąc miętową herbatę, opowiedziałem im, o co chodzi. Po ósmej wieczór miętowa herbata nie jest moim ulubionym napojem. Marzył mi się kieliszek cassiveta, białego wina o aromacie wanilii, które niedawno odkryłem w czasie wypadów za miasto.

Zwykle o tej porze popijam wino, siedząc na tarasie i gapiąc się na morze. Z zapamiętaniem i przyjemnością. W takich chwilach słucham jazzu, ostatnio głównie Coltrane'a albo Milesa Davisa. Odkryłem ich na nowo. Wyciągnąłem starą płytę Sketches of Spain i wieczorami, kiedy nieobecność Loli za bardzo mi dokucza, puszczałem sobie w kółko dwa kawałki: Saeta i Solea. Muzyka przenosi mnie do Sewilli. Chętnie bym pojechał do Sewilli - teraz, zaraz, natychmiast. Ale jestem na to za dumny. Lola wyjechała. Wróci. Jest wolna, nie mogę się za nią uganiać. Głupio to sobie wymyśliłem, wiem.

Żeby zjednać sobie matkę Naimy, wyraziłem się o Aleksie, że jest nieużyty. Opowiedziałem o spotkaniu Guitou i Naimy, o tym, że Guitou uciekł z domu, że wziął forszę z kasy, że od tamtej pory się nie odezwał, a jego matka, moja kuzynka, bardzo się niepokoi.

- Chyba to pani rozumie - powiedziałem.

Pani Hamudi rozumiała, ale nic nie mówiła. Wydawało się, że jej francuszczyzna ogranicza się do: „tak, nie, może, wiem, nie wiem”. Murad nie spuszczał ze mnie oczu. Czułem jakieś iskrzenie między nami, ale po jego twarzy nic nie było widać. Domyślałem się, że pewnie nie wszystko wygląda tak prosto, jak mi się wydawało.

- Murad, sprawa jest poważna.

Spojrzał na matkę, która siedziała z dłońmi zaciśniętymi na kolanach.

- Porozmawiaj z nim, mamó. On nam nie życzy źle. Odwróciła się do syna, objęła go za ramiona i przytuliła do piersi, jakby ktoś chciał jej odebrać dziecko. Później się dowiedziałem, że tym gestem kobieta algierska daje sobie prawo do mówienia na odpowiedzialność obecnego przy tym mężczyzny.

- Naima już tu nie mieszka - powiedziała ze spuszczo-  
nymi oczyma. - Mieszka u swojego dziadka. Od tygo-  
dnia. Od kiedy Farid wyjechał do Algierii.

- Mój ojciec - wyjaśnił Murad.

- Jakies dziesięć dni temu - podjęła jego matka, nie podnosząc oczu - islamiści napadli na wioskę mojego męża. Chcieli zdobyć strzelby. Brat męża nadal tam mieszka. Niepokoi nas to, co się dzieje w kraju. Więc Farid powiedział: „Jadę po mojego brata”.

Łyknęła herbaty i ciągnęła dalej:

- Tutaj jest dość ciasno, więc nie bardzo wiem, jak się pomieścimy. I dlatego Naima przeniosła się do dziadka. Bardzo się lubią. Nie żeby jej było z nami źle, ale... (Do-  
dała szybko, patrząc mi teraz w oczy.) No cóż... Tu są sami chłopcy. A Reduan, mój najstarszy, on jest... jak to powiedzieć... taki bardziej religijny. I ciągle się jej cze-  
pia. Że nosi spodnie, że pali papierosy, że umawia się z koleżankami...

- I że zadaje się z Francuzami - dopowiedziałem.

- Sprowadzić chłopaka do domu to jest, proszę pana, niemożliwe. Dziewczyna nie może sobie na to pozwolić. Tego się nie robi. Mamy swoją tradycję, mówi Farid. On nie chce, żeby mu powiedziano, jak pojedzie do kraju: „Zachciało ci się Francji i patrz, zjadła ci dzieci.”

- Jak na razie to brodacze zjadają wasze dzieci.

Natychmiast pożałowałem, że tak walnąłem prosto z mostu. Umilkła, rozejrzała się strapiona. Spojrzała na Murada, który słuchał w milczeniu. Chłopiec delikatnie wy dostał się z objęć matki.

- Niech mi pan o tym nie mówi - powiedziała. - My jesteśmy Francuzami. Dziadek walczył za Francję. Wyzwolił Marsylię. Z pułkiem strzelców algierskich. Dostał medal...

- Był ciężko ranny w nogę - uściślił Murad.

Wyzwolenie Marsylii. Mój ojciec też się zasłużył. Też został odznaczony. Ale to było dawno. Pięćdziesiąt lat temu. Stare dzieje. Amerykańcy żołnierze na Canebiere to już tylko wspomnienie. Z puszkami coca-coli i paczkami lucky strike'ów. I te dziewczyny, co im się rzucały w ramiona za parę nylonów. Wyzwoliciele. Bohaterowie. Zapomniano o ich dokonywanych na oślep bombardowaniach miasta. Zapomniano o rozpaczliwym szturmie algierskich strzelców na Notre-Dame de la Garde, by przegonić stamtąd Niemców. Mięso armatnie, którym tak doskonale dowodzili nasi oficerowie.

Marsylia nigdy nie podziękowała za to Algierczykom. Francja też nie. Zresztą w tym samym czasie inni francuscy oficerowie gwałtownie tłumili pierwsze niepodległościowe wystąpienia w Algierii. Zapomniano o masakrze w Sedif. gdzie nie oszczędzono ani kobiet, ani dzieci... Krótką mamy pamięć, kiedy to nas urząda.

- Jesteśmy Francuzami, ale muzułmanami też - podjęła matka. - Farid kiedyś chodził do kawiarni, pił piwo, grał w domino. Teraz przestał. Modli się. Może pójdzie z pielgrzymką do Mekki. Tak u nas jest, każda rzecz ma swój czas. Ale... Nie potrzebujemy, żeby ktoś nam mówił, co robić, a czego nie robić. Boimy się trochę FIS-u. Tak mówi Farid.

Dobra kobieta. Dobra i rozumna. Wyrażała się teraz całkiem poprawną francuszczyzną. Mówiła powoli, opowiadała szczegółowo, ale nie wypowiadając głośno tego, co najważniejsze, jak prawdziwa kobieta Orientu. Miała swoje poglądy, lecz ukrywała je za poglądami męża. Nie chciałem być natrętny, ale musiałem się dowiedzieć.

- Reduan wyrzucił ją z domu, tak?

- Powinien pan już iść - powiedziała, wstając. - Nie ma tu Naimy. I nie znam młodego człowieka, o którym pan mówił.

- Muszę się zobaczyć z pani córką - powiedziałem, sam z kolei wstając.

- To niemożliwe. Dziadek nie ma telefonu.

- Zajdę do niego. To nie potrwa długo. Muszę z nim porozmawiać. I z Guitou, przede wszystkim. Jego matka się niepokoi. Muszę go przekonać, że ma wrócić do domu. Przecież nie życzę im źle. I... (Zawahałem się chwilę.) I niech to zostanie między nami. Reduan nie musi o tym wiedzieć. Porozmawiacie później, kiedy mąż wróci.

- On już z nią nie jest - powiedział Murad.

Matka spojrzała na niego z wyrzutem.

- Widziałeś swoją siostrę?

- Już z nią nie jest. Powiedziała, że wyjechał. Pokłócili się. O cholera! Jeśli to prawda, Guitou pęta się nie wiadomo gdzie i przeżywa fiasko pierwszej miłości.

- I tak muszę się z nią zobaczyć - powiedziałem, zwracając się do matki. - Guitou nie wrócił do domu. Muszę go odnaleźć. Pani mnie rozumie.

W oczach kobiety był strach. A też czułość. I pytania. Jej spojrzenie pobiegło w dal, przeszło mnie na wskroś, szukając odpowiedzi. Albo otuchy. Strasznie trudno zaufać drugiemu człowiekowi, kiedy się jest imigrantem. Na ułamek sekundy przymknęła oczy.

- Pójdę do niej, do dziadka. Jutro. Jutro rano. Proszę do mnie zadzwonić w południe. Jeżeli dziadek się zgodzi, Murad pana do niego zaprowadzi. (Ruszyła w stronę wyjścia.) Powinien pan już iść, Reduan zaraz wróci, to jego pora.

- Dziękuję pani - powiedziałem. (Zwróciłem się do Murada.) - Ile masz lat?

- Prawie szesnaście.

- Graj dalej w koszykówkę. Świetny jesteś.

Wyszedłszy z bloku, zapaliłem papierosa i ruszyłem w stronę samochodu. Z nadzieją, że jest cały. Uba-Uba zapewne obserwował mnie od dłuższego czasu, bo podszedł prosto do mnie, nim dotarłem na parking. Jak cień. Czarny T-shirt, czarne spodnie. I odpowiednia czapeczka Rangersów.

- Cześć - rzucił, nie zatrzymując się. - Mam dla ciebie wiadomość.

- Słucham cię - powiedziałem, idąc za nim.

- Ten Francuz, którego zastrzelili, podobno wszędzie się kręcił. W Savine, w Bricarde, wszędzie. Zwłaszcza w Plan d'Aou. Tutaj wcześniej go nie widziano.

Szliśmy dalej wzdłuż bloków, ramię w ramię, rozmawiając jakby nigdy nic.

- Czego szukał?

- Wypytywał o młodych, o beurów. Wyłącznie.

- Jakiego rodzaju pytania?

- Chodziło o brodaczy.

- Co wiesz?

- To, co mówię.

- A jeszcze?

- Faceta, który prowadził samochód, widywano tutaj z Reduanem.

- Reduanem Hamudim?

- No, przecież u niego byłeś, nie?

Obeszliśmy osiedle dookoła i wracaliśmy na parking do mojego samochodu. Jeśli chodzi o informacje, to by było na tyle.

- Dlaczego mi to wszystko opowiadasz?

- Wiem, kim jesteś. Paru kolegów też wie. I że byłeś kumplem Serge'a. Dawniej, jak robiłeś za szeryfa. (Uśmiechnął się, księżycowy rogalik rozjaśnił mu twarz.) Facet był w porządku. Mówią, że pomagał. O tobie też tak mówią. Kupa szczeniaków powinna ci świeczkę zapalić. Matki też o tym wiedzą. Więc masz kredyt.



- Nie wiem, jak ci na imię.
- Anselme. Nie rozrabiałem aż tak bardzo, żeby trafić na komisariat.
- Mów dalej.
- Mam fajnych starych. Nie wszystkim tak się udało. A koszykówka... (Uśmiechnął się.) Wiesz, co to szurmo?

Wiedziałem. Po prowansalsku szurmo to tyle, co po francusku chiourme, galernik przy wiosłach. W Marsylii ludzie dobrze wiedzą, co to są galery. Nie musisz zabić ojca, matki, żeby tam wylądować, jak dwieście lat temu. Nie, dzisiaj wystarczy być młodym, imigrantem bądź nie. Fanklub kapeli Massilia Sound System, najbardziej wariackiej, na nowo wprowadził to wyrażenie.

Od tego czasu słowo szurmo stało się nazwą tyleż fanów, co grupowych spędów. Było ich ze dwustu pięćdziesięciu, może trzystu, kibicowali teraz wielu zespołom. Massilia, Fabulous, Bouducon, Black Lions, Hypnotik, Wadada... Wydali wspólnie fantastyczny album. Ragga baletti. W soboty wieczór rozgrzewali atmosferę.

Szurmo urządzali sound systems i za zarobione pieniądze wydawali biuletyn, rozprowadzali kasety live i organizowali tanie podróże, żeby fani mogli towarzyszyć kapelom na trasach koncertowych. Tak samo to funkcjonowało, jak na stadionie, wokół OM. Z Ultrasami, Winners czy Fanatics. Ale nie na tym głównie polegała działalność szurmo. Przede wszystkim chodziło o to, żeby ludzie się spotykali. Żeby się „mieszali”, jak mówią w Marsylii. Mieszali w cudze sprawy i vice versa. Istniało coś takiego jak duch szurmo. Człowiek nie był już z jakiejś dzielnicy czy osiedla. Był z szurmo. Wiosłował na tej samej galerze! Żeby się wydobyć z dna. Razem z innymi.

Rastafada, jednym słowem.

- Coś się dzieje na osiedlach? - spytałem, gdy doszliśmy do parkingu.

- Zawsze coś się dzieje, powinieneś wiedzieć. Zastanów się nad tym.

I gdyśmy się znaleźli na wysokości mojego samochodu, poszedł dalej, nie żegnając się.

Wyjąłem ze schowka taśmę Boba Marleya. Zawsze miałem ze sobą przynajmniej, jedną, na takie chwile jak ta. So Much Trouble In The World dobrze będzie pasowało do jazdy w marsylskiej nocy.

## Rozdział piąty, w którym nikomu nie zaszkodzi trochę prawdy

Na place des Baumes w dzielnicy Saint-Antoine podjąłem decyzję. Zamiast wjechać na autostradę biegnącą brzegiem morza i wrócić do domu, zawróciłem i pojechałem drogą z Saint-Antoine do Saint-Joseph. Kierunek: Merlan.

Rozmowa z Anselme'em zaprzętała moje myśli. Musiał być jakiś powód, że uznał za konieczne pogadać ze mną o Serge'u. Ciekawe jaki. Chcę się dowiedzieć. Chcę zrozumieć. To jakaś choroba, słowo daję. Muszę mieć duszę policjanta. Żeby tak się momentalnie wciągnąć. Chyba że i ja jestem teraz szurmo! Mniejsza z tym. Trochę prawdy nikomu nie zaszkodzi. Przynajmniej zmarłym nie zaszkodzi. A Serge to nie był byle kto. W porządku gość, szanowałem go.

Miałem noc przewagi nad policją, żeby pogrzebać w jego rzeczach. Pertin był człowiekiem pełnym pychy i nienawiści. A to nie jest materiał na dobrego gliniarza. Nie wyobrażam sobie, by poświęcił choć godzinę na przeszukanie mieszkania zmarłego. Wolał to zostawić „gryzi-piórkom”, jak nazywał swoich kolegów z komendy policji. On ma ciekawsze rzeczy do roboty. Odgrywać kowboja w dzielnicach północnych. Zwłaszcza w nocy. Mam wszelkie szanse, że nikt mi nie przeszkodzi.

Prawdą jest też to, że chciałem zyskać na czasie. Jak mam wrócić do domu z pustymi rękami i spojrzeć Żelu w oczy? Co jej powiedzieć? Że niechaj Guitou i Naima spędzą jeszcze jedną noc razem? Że to nikomu nie zaszkodzi? Coś w tym stylu. Kłamstwa. Poczują się zraniona w matczynej dumie, ale *co* tam! Znosiła dotkliwsze rany. A mnie brak czasem odwagi. Zwłaszcza wobec kobiet. A już szczególnie wobec tych, które kocham.

W Merlan zatrzymałem się przy pustej kabinie telefonicznej. U mnie nikt nie odpowiadał. Zadzwoiłem do Honorine.

- Nie czekałyśmy na pana. Siadłyśmy do stołu. Zrobiłam spaghetti z sosem z bazylii. Znalazł pan małego?

- Jeszcze nie.

- Ależ ona sobie psuje krew. Niech pan powie, nim jej przekażę słuchawkę, te tępogłowy, co pan złowił rano... Tyle mają ikry, że można by zrobić putargue. Miałby pan ochotę?

Putargue to specjał z Martigues. Smakuje jak kawior. Całe wieki tego nie jadłem.

- Niech pani nie zawraca sobie głowy, Honorine. Tyle z tym roboty.

Bo rzeczywiście, trzeba wyjąć dwa grona jajeczek, nie uszkadzając chroniącej je powłoki, zasolić je, rozgnieść, a potem wysuszyć. Przygotowanie potrawy zajmuje cały tydzień.

- To nic wielkiego. I skoro jest okazja... Może pan zaprosić tego biednego Fonfona na kolację. Mam wrażenie, że jesień mu nie służy.

Uśmiechnąłem się. Prawda, że od strasznie dawna nie zapraszałem Fonfona do siebie. A kiedy ja go nie zapraszałem, to tych dwoje też się nie zapraszało. Jak gdyby było coś nieprzyzwoitego w tym, że dwójka owdowiałych siedemdziesięciolatków ma ochotę się zobaczyć.

- No dobra, oddaję słuchawkę Żelu, umiera z niecierpliwości.

Byłem gotów.

- Halo.

Claudia Cardinale jak żywa. Przez telefon głos Żelu był jeszcze bardziej zmysłowy. Zrobiło mi się ciepło, jakbym wypił kieliszek lagavulina. Ciepło i słodko.

- Halo - powtórzyła.

Muszę przegnać wspomnienia. Również wspomnienia o Żelu. Wzięłam oddech i wygłosiłam przygotowaną śpiewkę.

- Słuchaj, to trochę skomplikowane. Nie ma ich u rodziców. U dziadka też nie. Jesteś pewna, że nie wrócił do domu?

- Nie wrócił. Zostawiłam twój numer w domu. Na jego łóżku. Patrice też wie, że tu jestem.

- A... Aleks?

- Nigdy nie dzwoni, kiedy wyjeżdża służbowo. Całe szczęście. Zawsze tak było, od początku. On ma swoje sprawy. Ja nie zadaję pytań. (Zamilkła na chwilę, potem znów się odezwała.) Może Guitou... Może są u jej kolegi Mathiasa. Mieszkał na kempingu z całą bandą i przyszedł z nią, kiedy chciała się pożegnać z Guitou, i...

- Znasz może jego nazwisko?

- Fabre. Ale nie wiem, gdzie mieszka.

- Fabre'ów w książce telefonicznej Marsylii jest cała kupa.

- Wiem. Sprawdziłam w niedzielę. Zadzwoiłam pod wiele numerów. Czułam się jak idiotka. Przy dwunastym zrezygnowałam. Zmęczyłam się tylko i zdenerwowałam. Czułam się jeszcze głupsza niż przedtem.

- Tak czy owak, początek roku szkolnego ma z głowy. Zobaczą, co się jeszcze dzisiaj da zrobić. Jeśli nic, to jutro spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej o tym Mathiasie. I pójdę do dziadka.

Trochę prawdy, wiele kłamstw. Mam nadzieję, że matka Naimy mnie nie nabrała i że dziadek istnieje. Że Murad mnie do niego zaprowadzi. Że dziadek wpuści mnie do domu. Że Guitou i Naima będą tam u niego albo gdzieś niedaleko...

- Dlaczego nie zaraz?

- Widziałaś, która godzina?

- No tak, ale... Powiedz, Fabio, nic mu się nie stało, jak myślisz?

- Słuchaj, Żelu, on teraz leży pod kołdrą z fajną dziewczynką. Zapomniał, że jesteśmy na świecie. Przypomnij sobie, jak to było, przecież nieźle!

- Miałam dwadzieścia lat i mieliśmy się pobrać z Ginem.

- Ale było dobrze, nie? O to pytam.

Znów zapadła cisza. Potem usłyszałam, że głośno wciąga powietrze. Nie było w tym nic erotycznego. To nie włoska gwiazda filmowa odgrywała komedię. To płakała moja kuzynka, po prostu, jak matka.

- Głupio się zachowałam wobec Guitou, nie uważasz?

- Słuchaj, Żelu, jesteś zmęczona. Zjedz kolację i idź spać. Nie czekaj na mnie. Połóż się do mojego łóżka i spróbuj zasnąć.

- Mhm - mruknęła.

Znów wciągnęła powietrze w nozdrza. Usłyszałam jeszcze kasłanie Honorine, gdzieś z tyłu. W ten sposób chciała mi dać znak, że mam się nie przejmować, już ona się zajmie moją kuzynką. Honorine nigdy nie kasłała.

- Całuję cię. Jutro wszyscy będziemy razem, zobaczysz.

I odłożyłem słuchawkę. Trochę brutalnie, bo od kilku minut para gówniarzy na motorowerze krążyła wokół mego auta. Miałem czterdzieści pięć sekund na uratowanie radia. Z wrzaskiem wyskoczyłem z kabiny. Bardziej żeby sobie ulżyć, niż żeby ich przestraszyć. Ale naprawdę ich wystraszyłem, za to nie uwolniłem się od myśli, które kłębiły mi

się w głowie. Przejeżdżając obok mnie pełnym gazem, ten na tylnym siodełku rzucił mi w twarz: „Ty pieprzony palancie!”, ale wyzwisko nie było warte mojego gównianego radia.

Arno mieszkał w miejscu zwanym Stary Młyn, przy drodze do Merlan, na terenie dziwnym trafem oszczędzonym przez deweloperów. Przed nim i za nim szeregi tanich domków jednorodzinnych. Odmiana HLM-ów, tyle że niskie, przeznaczone dla pracowników bankowych i urzędników niższego szczebla. Byłem tu już wcześniej parę razy z Serge'em. Miejsce raczej ponure. Szczególnie nocą. Po dwudziestej trzydzięci autobusy przestawały kursować, a samochody przejeżdżały tylko z rzadka.

Zaparkowałem za starym młynem, przemienionym na komis meblowy. Przede mną rozciągało się cmentarzysko samochodów Cygana Saadny, dalekiego kuzyna Arna. Arno gnieździł się na tyłach szrotu, w norze z bloków betonu, przykrytych blaszanym dachem. Saadna urządził sobie tutaj mały warsztat.

Okrzyłem młyn i poszedłem wzdłuż kanału z wodą dla Marsylii. Sto metrów dalej, tuż za cmentarzyskiem, kanał skręcał. Po górze żelastwa i śmieci wspiąłem się do mety Arna. Rozległo się szczekanie psów, ale niegroźne. Psy spały w domach i zdychały ze strachu jak ich właściciele. Saadna nie lubił psów. Nikogo nie lubił.

Wokół mnie walały się na ziemi kadłuby motocykli. Zapewne skradzionych. W nocy Arno, z nagim torsem, w kapturach, ze skrzętem w gębie, przerabiał je na nowe.

- Możesz za to beknąć - powiedziałem mu któregoś wieczoru, kiedy do niego wpadłem.

Chciałem się wtedy upewnić, że jest w domu, a nie na osiedlu Bellevue, gdzie szykowała się obława. Za godzinę mieliśmy przetrząsnąć piwnice i zgarnąć wszystko, co się da: dragi, dilerów i inne ludzkie szmaty.

- Odpieprz się, Montale! Nie zawracaj gitary. Wkurzacie mnie obaj, i ty, i Serge. Przecież ja pracuję. Okej, nie mam ubezpieczenia, ale to moje życie. Daję sobie radę, rozumiesz? Wiesz, co to znaczy? (Zaciągnął się jointem, rzucił go ze złością i zmierzył mnie wzrokiem. W rękę trzymał klucz francuski.) Nie będę tutaj tkwił całe życie. Więc zasuwam i tyle. Co sobie wyobrażasz?

Nic sobie nie wyobrażałem. Niepokoiło mnie, że dla Arna „forsa skradziona to forsa zarobiona”. Tak rozumując, weszliśmy w życie - ja, Ugo i Manu - kiedy mieliśmy po dwadzieścia lat. Można sobie powtarzać, że wystarczy odłożyć pięćdziesiąt kawałków i wtedy zastopować, prędzej czy później. Zawsze ktoś posunie się dalej, niż od niego oczekiwano. Manu strzelił. Ugo pękał z radości, bo to był nasz najlepszy skok. Ja się porzygałem i zaciągnąłem się do Kolonialnej. Zamknął się pewien rozdział życia. Brutalnie. Skończyły się nasze chłopięce lata, nasze marzenia o podróżach i przygodach. Skończyło się szczęście, że nie pracujemy, że jesteśmy wolni. Żadnych chlebodawców, żadnych szefów. Ani Boga, ani pana.

W innych czasach mógłbym wsiąść na statek. Kierunek Argentyna. Buenos Aires. „Zniżki. Bilety w jedną stronę” - stało napisane na starych afiszach przedsiębiorstwa transportu morskiego. Ale w 1970 roku statki się skończyły. Świat stał się taki jak my - bez portu docelowego. Bez przyszłości. Wyjechałem. Za friko. Na pięć lat. Do Dżibuti. Parę lat wcześniej odbywałem tam służbę wojskową. Nie było gorzej niż w więzieniu. Albo w fabryce. Z Wagnaniem Saint-Johna Perse'a w kieszeni, żeby to wytrzymać i nie zwariować. Egzemplarz, który Lola czytała nam na głos na Digue du Large, twarzą do otwartego morza.

Zasmakowałem, o tak, zasmakowałem życia pomiędzy ludźmi, a już ziemia oddaje w ostatnim tchnieniu swą cudzoziemską duszę..\*

\* Przekład Adama Wodnickiego.



Splakać się można.

A potem zostałem gliniarzem, sam nie wiem jak i dlaczego. Straciłem przyjaciół. Ugo i Manu nie żyją. Lola jest gdzieś, gdzie pewnie można żyć bez wspomnień. Bez wyrzutów sumienia. Bez żalu. Pogodzić się z życiem to pogodzić się ze wspomnieniami. To mi powiedziała któregoś wieczoru. W przeddzień swojego wyjazdu. Tu się z nią zgadzam. Rozpamiętywanie przeszłości do niczego nie prowadzi. Pytania trzeba zadawać przyszłości. Jeśli nie ma przyszłości, to terażniejszość jest tylko chaosem. To jasne. Problem w tym, że ja nie umiałem sobie poradzić z własną przeszłością.

A dziś jestem nikim. Nie wierzę w złodziei. Nie wierzę w policjantów. Przedstawiciele prawa zatracili jakiekolwiek poczucie wartości moralnych, a prawdziwi złodzieje nigdy nie wrywali kobietom torebek na ulicy, żeby mieć co jeść na kolację. Owszem, ministrowie również trafiają za kratki, ale to tylko perypetie życia politycznego, a nie niesprawiedliwość. Pewnego dnia pojawiają się na nowo. W społeczeństwie aferzystów polityka wybiela najbardziej. Najlepszym przykładem mafia. Tymczasem dla tysięcy dzieciaków z blokowisk więzienie to skok w otchłań. Po wyjściu z pierdła jest jeszcze gorzej. „Lepiej” mają za sobą. Zżarli owo „lepiej”, a już to był czarny chleb.

Pchnąłem drzwi. Nigdy nie było zamka. Zimą Arno zastawiał je krzesłem, żeby się nie otwierały. Latem spał na zewnątrz w kubańskim hamaku. W środku wszystko wyglądało tak, jak zapamiętałem. W rogu żelazne łóżko z demobilu. Stół, dwa krzesła, szafka. Grzejnik na gaz. Elektryczny piecyk. Przy zlewie pozmywane po jedzeniu naczynia. Talerz, szklanka, widelec i nóż. Serge mieszkał sam. Nie wyobrażam sobie zresztą, by mógł tu zaprosić jakąś pannę. Żeby tu mieszkać, trzeba było naprawdę chcieć. Tak czy owak, nigdy go nie widziałem z dziewczyną. Może rzeczywiście był pedałem.

Nie wiedziałem dokładnie, czego szukam. Może coś pozwoli mi się zorientować, czym się zajmował, i wyjaśnić, dlaczego go zastrzelili. Nie bardzo w to wierzyłem, ale nie wadziło spróbować. Zacząłem od szafy. Najpierw góra, potem dół. W środku marynarka, kurtka, dwie pary dżinsów. Kieszenie puste. W stole nie było szuflady. Wziąłem leżącą na wierzchu kopertę, włożyłem ją do kieszeni. Niczego pod łóżkiem. Niczego pod materacem. Usiadłem, żeby pomyśleć. Nie było żadnego schowka.

Przy łóżku na stercie gazet dwie książki w kieszonkowym wydaniu. Fragmenty raju Jeana Giono i Rażony piorunem Cendrarsa. Znam je, mam te książki u siebie. Przejrzałem obie. Żadnych papierów, żadnych notatek na marginesach. Odłożyłem książki na miejsce. Trzecia, w twardej oprawie, nie należała do moich klasyków. Dozwolone i niedozwolone w islamie Yusefa Karadhawiego. Wycinek z gazety z informacją, że sprzedaż i rozpowszechnianie tej publikacji są zabronione „z uwagi na jej wyraźnie antyzachodnią wymowę oraz zawarte w niej tezy, sprzeczne z prawem i podstawowymi wartościami republikańskimi”. Tu też żadnych uwag na marginesach.

Otworzyłem na rozdziale zatytułowanym: „Jak postępować z kobietą dumną i nieposłuszną”. Uśmiechnąłem się - może się dowiem, jak postępować z Lolą, jeśli kiedyś do mnie wróci. Ale czy prawo może regulować współżycie małżeńskie? Trzeba być religijnym fanatykiem - muzułmańskim, chrześcijańskim czy żydowskim - żeby na to wpaść. Ja wierzę jedynie w wolność i zaufanie w miłości. Co bynajmniej nie ułatwia stosunków. Wiedziałem to od zawsze. A dziś doświadczałem tego na własnej skórze.

Gazety były wczorajsze. „Le Provençal”, „Le Meridional”, „Liberation”, „Le Monde”, „Le Canard enchainé” z tego tygodnia. Wiele dzienników algierskich świeżej daty, „Liberte” i „El Watam”. Oraz, co dziwniejsze, cała sarta „Al Ansar”, nielegalnego biuletynu Islamskiej Grupy Zbrojnej.

Pod gazetami, w plastikowych koszulkach, masa wycinków z prasy; „Proces w Marakeszu: rozprawa z francuskim przedmieściem w tle”, „Bezprecedensowa obława w środowisku islamistów”, „Terroryzm: jak przeprowadzają rekrutację islamisci we Francji”, „Muzułmańska pajęczyna snuje swoją sieć w Europie”, „Islam: opór wobec integrystów”.

Książka Karadhawiego, egzemplarze algierskich gazet i „Al Ansar” to może jakiś trop. Czym mógł się zajmować Serge, od kiedy straciłem go z oczu? Dziennikarstwem? Badaniem działalności islamistów w Marsylii? Sześć koszulek pełnych wycinków z prasy. Wyciągnąłem spod zlewu reklamówkę, włożyłem do środka książkę i papierzyska.

- Nie ruszać się! - krzyknął ktoś za moimi plecami.

- Nie wygłupiaj się Saadna, to ja, Montale!

Rozpoznałem jego głos. Nie miałem ochoty na to spotkanie. Dlatego przyszedłem drogą wzdłuż kanału.

W pokoju zabłysło światło. Jedyna żarówka wisząca pod sufitem. Białe, oślepiające, ostre światło. Wnętrze wydało mi się jeszcze bardziej przynębiające. Odwróciłem się powoli, mrugając oczami. Nie wypuszczałem reklamówki z rąk. Saadna mierzył do mnie z dubeltówki. Zrobił krok do przodu, ciągnąc za sobą krótszą nogę. Źle zaleczona choroba Heinego-Medina.

- Przyszedłeś drogą od kanału, co? - powiedział ze złym uśmiechem. - Jak złodziej. Przystawiłeś się na kradzieże, Fabio?

- Tutaj się nie obłowię, nie ma obawy - odparłem z ironią.

Serdecznie się nie znosiliśmy z Saadna. Archetyp Cygana. Wszyscy gadziowie\* to skurwiele. Ilekroć jakiś młody Cygan narozrabiał, winni byliśmy oczywiście my, gadziowie. Od zawsze mieliśmy ich na oku. Istnieliśmy na ich nieszczęście. Diabelski wynalazek. Żeby dokuczyć Panu Bogu, który w swej nieskończonej dobroci stworzył Cygana na swoje

\* Nie-Cyganie dla Cyganów.

podobieństwo. Roma. Człowieka. Od tego czasu diabeł zrobił jednak coś gorszego. Rozsiał po Francji miliony Arabów tylko po to, żeby jeszcze bardziej dopieprzyć Cyganom.

Saadna stylizował się na starego mędrca z brodą i długimi siwiejącymi włosami. Młodzi często przychodzili do niego po radę. Dawał im zawsze jak najgorszą. Podyktowaną nienawiścią i pogardą. Cynizmem. Za ich pośrednictwem mścił się za tę krótszą nogę, którą ciągnął za sobą od dwunastego roku życia. Gdyby Arno nie był do niego przywiązany, pewnie by nie rozrabiał. Nie znalazłby się w więzieniu. I jeszcze by żył.

Kiedy umarł Chano, ojciec Arna, postaraliśmy się, ja i Serge, żeby Arno wyszedł na przepustkę. Był wstrząśnięty. Zależało mu, żeby być na pogrzebie. Podrywałem nawet opiekunkę społeczną - „bardziej jebliwą niż wychowawczyni”, jak powiedział Arno - żeby osobiście interweniowała. Przepustka została przyznana, a potem na żądanie dyrektora więzienia odebrana pod pretekstem, że Arno jest knąbny. Pozwolono mu jedynie ostatni raz zobaczyć ojca w kostnicy. W asyście dwóch żandarmów. Na miejscu nie chcieli mu zdjąć kajdanków. Więc Arno zrezygnował ze spotkania z ojcem. „Nie chciałem, żeby mnie widział z tym żelastwem na rękach”, napisał do nas później.

Po powrocie do celi dostał szału, narozrabiał, wsadzono go do karceru. „Mam potąd tego gówna, tego tykania, wszystkiego. Mury, pogarda, wyzwiska... Smród! Dość się napatrzyłem w sufit, będzie tego, nie mogę dłużej.”

Po wyjściu z karceru podciął sobie żyły.

Saadna spuścił oczy. Dubeltówkę też.

- Uczciwi ludzie wchodzi głównym wejściem. Nie chciałeś się przywitać? (Rozejrzał się po pokoju. Zatrzymał wzrok na reklamówce.) Co tam zabierasz?

- Papiery. Serge'owi już się nie przydadzą. Zastrzelili go. Na moich oczach. Dziś po południu. Jutro będziesz tu miał gliniarzy.

- Zastrzelili, powiadasz?
- Orientujesz się, co Serge kombinował?
- Muszę się napić. Chodź ze mną.

Nawet gdyby Saadna coś wiedział, nie puściłby pary z ust. A przecież nie kazał się zachęcać do gadania i nie zaczął mętnie nawijać, jak zawsze, kiedy kłamał. Powinno mnie to zastanowić. Ale spieszno mi było opuścić tę szczyrzą norę.

Napełnił dwie brudne szklanki obrzydliwie śmierdzącym płynem, który nazwał whisky. Nie tknąłem tego. Nawet się z Saadną nie stuknąłem. Należał do tych ludzi, z którymi nie trącam się kieliszkiem.

Serge zjawił się u niego zeszłej jesieni, zaproponował, że zamieszka w pokoiku Arna. „Będzie mi na jakiś czas potrzebny. Potrzebuję mety”, powiedział. Saadna próbował coś z niego wyciągnąć, ale bezskutecznie. „Nic nie ryzykujesz, ale im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie.” Rzadko się widywali, czasem zmienili parę słów. Dwa tygodnie temu Serge poprosił Saadnę, żeby się upewnił, czy nikt go nie śledzi, gdy wraca wieczorem do domu. Dał mu za to tysiąc franków.

Saadna nie żywił najmniejszej sympatii do Serge'a. Wychowawca czy gliniarz - to samo diabelskie nasienie. Ale Serge opiekował się Arnem. Pisał do niego, wysyłał mu paczki, chodził na widzenia. Saadna powiedział mi o tym z wrodzoną złośliwością, żeby zaznaczyć, że widzi różnicę między Serge'em a mną. Nie odpowiedziałem. Nie miałem najmniejszej ochoty udawać, że z nas kumple. Moje postępowanie to sprawa wyłącznie moja i mojego sumienia.

Prawda, że rzadko pisywałem do Arna. Listy to nie moja specjalność. Jedyne do Magali pisałem tony listów. Kiedy była na stażu w Caen, nim została nauczycielką. Pisałem jej, co się dzieje w Marsylii, w Goudes. Strasznie tęskniła. Ale słowa nie są moją mocną stroną. Płaczę się. Nawet

gadać nie umiem. Znaczący, gadać o tym, co w środku. Bo poza tym potrafię nawijać, jak wszyscy marsylczycy.

Ale raz na dwa tygodnie chodziłem na widzenie. Najpierw do więzienia dla nieletnich w Luynes koło Aix-en-Provence. Potem do Baumettes. Miesiąc później wsadzili go do szpitala, bo odmawia! jedzenia. I cały czas latał do ustępu. Wypróżniał się. Zaniósłem mu herbatniki Petitos, uwielbiał je.

- Powiem ci, jak to było z tymi Petitos - powiedział.

- Jak miałem osiem czy dziewięć lat, włóczyłem się ze starszymi braćmi. Zabrali faję jednemu payo i palili ją, gadając o dupach. Rozumiesz, że mnie to pasjonowało. I Pacho mówi nagle: „Marco, wiesz, ile jogurt ma kalorii?” Marco oczywiście nie miał pojęcia. Jak się ma piętnaście lat, to się nie myśli o jogurcie. „A jajko na twardo?” - pyta dalej Pacho. „No już, wal!” - dopytywali się inni, bo nie wiedzieli, o co tamtemu chodzi.

Pacho gdzieś słyszał, że jak człowiek pierdoli, to spala dziewięćdziesiąt kalorii. Tyle, co ma jajko na twardo albo jogurt Danone. Poważnie. „Jak je zjesz, to normalnie możesz od nowa.” Ale jaja! Marco na to, żeby nie pozostać w tyle: „A ja słyszałem, że jak nie masz tego pod ręką, to zeżresz piętnaście petitów i też możesz zacząć od nowa!”

- Od tego czasu żrę petitów! Nigdy nic nie wiadomo! Powiesz, że tutaj raczej na nic się to nie zda. Zgoda. Widziałeś gębę pielęgniarki?

I ryknęliśmy śmiechem.

Poczułem nagle, że natychmiast muszę wyjść na powietrze. Nie chcę rozmawiać z Saadną o Arnem. Ani o Serge'u. Saadna kała wszystko, o czym mówi. Brudzi wszystko, czego dotknie, wszystko, co go otacza. A także tych, do których się zwraca. Zgodził się, żeby Serge tu zamieszkał nie ze względu na jego przyjaźń z Arnem, ale dlatego, że facet siedział w gównie po uszy i przez to był mu bliższy.

- Nie tknąłeś kielicha - powiedział, gdy wstałem od stołu.

- Nie piję z takimi jak ty. Wiesz o tym.

- Kiedyś pożałujesz.

I jednym haustem wypił moją szklanke.

W samochodzie zapaliłem górne światło i obejrzałem kopertę, którą wziąłem ze stołu. Wysłana w sobotę z poczty przy ulicy Colbert w centrum miasta. Na odwrocie nadawca, zamiast podać nazwisko i adres, napisał nieudolnym pismem: „Ponieważ karty zostały źle rozdane, osiągnęliśmy taki stopień bałaganu, że nie da się dłużej żyć.” Zadrzałem. W środku wyrwana z zeszytu kartka. Dwa krótkie zdania, tym samym pismem. Przeczytałem je jak w gorączce, poruszony tym wołaniem o ratunek. „Nie wytrzymam tego. Przyjdź do mnie. Pawia.”

Rany boskie! Pawia! Tej tylko brakowało.

## Rozdział szósty, w którym życiowe wybory nie o wszystkim przesądzają

Kiedy wrzuciłem kierunkowskaz, aby skręcić na prawo w rue La Belle-de-Mai, zorientowałem się, że jestem śledzony. W pewnej odległości, lecz nie gubiąc tropu, sunęła za mną czarna safrane. Na boulevard Fleming pozwoliła sobie nawet zrównać się ze mną na czerwonych światłach. Poczulem na sobie czyjś wzrok. Zerknąłem w stronę stojącego obok samochodu, ale przydymione szyby chroniły kierowcę przed niedyskretnymi spojrzeniami. Ujrzałem tylko odbicie własnej twarzy.

Potem safrane mnie wyprzedziła, nie przekraczając jednak obowiązującego w mieście ograniczenia szybkości. Powinno mnie to zaintrygować. W nocy nikt nie przestrzega nakazu ograniczenia szybkości. Nawet ja, w mojej starej R 5. Ale za bardzo byłem pogrążony w myślach, żeby się troszczyć o ewentualnego szpicla. Zresztą do głowy by mi nie przyszło, że ktoś może mnie śledzić.

Zastanawiałem się nad tym, co ludzie nazywają zbiegiem okoliczności. Jak to jest, że rano budzisz się spokojny, a wieczorem masz na głowie syna kuzynki, który dał nogę z domu, kumpla, którego zamordowano na twoich oczach, chłopaczka, którego ledwie znasz i który chce się z tobą zaprzyjaźnić, oraz faceta, którego nie możesz ścierpieć,



a z którym musisz uciąć sobie pogawędkę? W dodatku chwytają cię za gardło wspomnienia. Magali. Manu, Ugo. I Arno, który stanął mi przed oczyma z powodu jego byłej dziewczyny, permanentnie naćpanej Pawii. Za dużo sobie wyobrażała, bidula, i szybko się przekonała, że życie to zły film, a technicolor nic w gruncie rzeczy nie zmienia. Pawia woła na ratunek, Serge przeniósł się na tamten świat.

Życie składa się ze skrzyżowań. Wszystko zależy od wyboru drogi, czy skęcimy na prawo, czy na lewo, żeby znaleźć się tam, gdzie pragniemy. Czy temu powiem tak, a tamtemu nie. Nie pierwszy raz znalazłem się w takiej sytuacji. Czasem mam wrażenie, że zawsze wybieram zły kierunek. Ale czy inny byłby lepszy?

Śmiem wątpić, choć pewny nie jestem. Czytałem gdzieś w jakiejś kiepskiej powieści, że „ludzie dają się prowadzić ślepemu, który w nich siedzi”. To prawda, tak się posuwamy przed siebie. Na oślep. Wybór to złudzenie, perspektywa, którą życie proponuje, żeby łatwiej było przełknąć gorzką pigułkę. To nie wybór o wszystkim decyduje, tylko nasza gotowość do dokonywania innych wyborów.

Kiedy Żelu zjawiła się dziś rano, byłem człowiekiem wolnym, bez zajęcia. Niczym iskra wywołała reakcję łańcuchową. Świat wokół mnie został wprawiony w ruch. I zaczął strzelać, jak to ma w zwyczaju.

Rzut oka w lusterko upewnił mnie, że nadal jestem śledzony. Kto? Dlaczego? Od jak dawna? Pytania bez znaczenia, bo nie dysponuję niczym, co by podsunęło odpowiedź. Mogę co najwyżej przypuszczać, że zaczęto mnie śledzić od chwili, gdy wyjechałem od Saadny. Ale równie dobrze, od kiedy zostawiłem Anselme'a. Albo od wyjścia z komisariatu. Albo od wyjścia z domu. No nie, bzdura, nie od wyjścia z domu, to nie ma sensu. Zapewne „gdzieś” po śmierci Serge'a, no tak, to prawdopodobne.

Żeby sobie dodać animuszu, puściłem taśmę Boba Marleya z Slave Driover i na rue Honorat, jadąc wzdłuż torów

kolejowych, nieco przyśpieszyłem. Safrane zareagowała na moje siedemdziesiąt na godzinę. Wróciłem do normalnej prędkości.

Pawia. Była na rozprawie Arna. Bez protestów, bez płaczów, bez słowa. Dumna jak on. A potem znów dała nura w narkotyki i małe wykroczenia, żeby je zdobyć. Związek z Arnem to w sumie mały szczęśliwy epizod w jej życiu. Był dla niej deską ratunku. Ale deską umazaną tym samym gównem. Arno pośliznął się i Pawia poszła na dno.

Na place d'Aix safrane przejechała na pomarańczowym świetle. No dobra, powiedziałem sobie, dochodzi jedenasta, chętnie bym coś zjadł. I wypił. Skręciłem w rue Sainte-Barbe, nie wrzucając kierunkowskazu, lecz i nie przyśpieszając. Potem rue Colbert, rue Mery i rue Caisserie, w stronę starej dzielnicy, na teren mojego dzieciństwa. Tam, gdzie się urodziła Żelu, gdzie poznałem Manu i Uga. I Lolę, której obecność wciąż czuję w tych uliczkach.

Zaparkowałem na place de Lenche, tak jak to się u nas robi, to znaczy w niedozwolonym miejscu, przed wejściem do małej kamienicy, prawym kołem na styk przy bramie. Po drugiej stronie placu było wolne miejsce, ale chciałem, żeby ten gość, który mnie śledzi, miał poczucie, że zatrzymuję się na krótko, skoro nie manewruję, żeby zaparkować, jak należy. Tak się u nas robi. Czasem nawet staje się na kwadrans w drugiej linii, mimo klaksonów.

Safrane wysunęła czubek nosa, kiedy zamykałem wóz. Nie zwracałem na nią uwagi. Zapaliłem papierosa i zdecydowanym krokiem ruszyłem w górę placu, potem w prawo, na rue des Accoules, i jeszcze raz w prawo, na rue Fondrie-Vieille. Pędem po schodkach w dół i oto znów jestem na rue Caisserie, skąd pozostaje tylko wrócić na place de Lenche i sprawdzić, co też robi mój prześladowca.

Śmiało zajął wolne miejsce, które mu zostawiłem - między dwoma zaparkowanymi samochodami. Wpasował się idealnie. Szyba przy kierowcy była opuszczona, wydobywał

się z niej dym z papierosa. Spokojny facet. Mogę się o niego nie martwić. Te samochody mają nawet stereo. Safrane była zarejestrowana w Var. Zanotowałem numer. Na razie nic mi to nie daje. Ale jutro jest nowy dzień. Do stołu, powiedziałem sobie.

U Feliksa dwie pary kończyły kolację. Feliks siedział w głębi restauracji. Przed nim na stoliku z jednej strony paczka gitane'ów z filtrem, z drugiej kieliszek pastisu. Czytał komiks, Les Pieds Nickeles a Deauville. Ulubiona lektura. Nic innego nie czytał, nawet gazet. Kolekcjonował Pieds Nickeles i Bibi Fricotin. Raczył się nimi, ilekroć miał wolne pięć minut.

- Celesto, mamy gościa! - zawołał na mój widok.

Z kuchni wyszła jego żona, wycierając ręce w czarny fartuch, który zdejmowała dopiero po zamknięciu zakładu. Znów jej przybyło dobre trzy kilo. I to w miejscach, gdzie najbardziej widać. Piersi i pośladki. Na sam jej widok człowiek miał ochotę zasiąść do stołu.

Bouillabaisse Celesty należała do najlepszych w Marsylii. Cała masa rozmaitych ryb, wyłącznie tych, co żyją w skałach. Do tego kilka krabów i od wielkiego dzwonu langusta. Nie tak jak gdzie indziej. No, a jej rouille! Miała wyjątkowy talent do ukręcania czosnku i papryki z kartoflem i jeżem morskim. Ale bouillabaisse Celesty nie figurowała w menu. Trzeba było regularnie dzwonić do restauracji, żeby się dowiedzieć, kiedy będzie bouillabaisse. Bo do tej zupy trzeba co najmniej siedmiu, ośmiu osób. Żeby jej było dużo i żeby wrzucić do środka możliwie najwięcej gatunków ryb. Toteż jadło się ją zawsze w gronie przyjaciół i znawców. Nawet Honorine przyznawała wyższość Celeście. „No cóż, to nie jest mój zawód...”

- Przychodzi pan w samą porę - powiedziała Celesta, cmokając mnie w policzek. - Właśnie pichcę resztki.

Potrąwka z mięczaków. I chciałam usmażyć trochę figatelli.  
Chce pan na początek parę sardynek w sosie escabeche?

- Niech pani robi jak dla siebie.

- Celesto, co się pytasz? Podawaj! - powiedział Feliks.

Dopił pastis i przeszedł za kontuar. Nie pytając mnie o zdanie, nalał mi jednego. Przeciętnie wypijał dziesięć-dwanaście pastisów w południe, i dziesięć-dwanaście wieczorem. Dziś pił pastis w zwykłej szklance z odrobiną wody. Dawniej pijał chętnie mominettes, z małego kieliszka po brzegi wypełnionego alkoholem. Kolejek mominettes się nie liczyło. Zależnie od liczby kolegów, którzy wpadli na aperitif, mogło to być osiem, dziesięć kieliszeków. Nigdy mniej. Kiedy Feliks oświadczał: „Teraz moja kolej”, piło się od nowa. Podobnie zresztą było w Peano i w Unie, zanim ta pierwsza knajpa nie zmieniła się w modny bar, a ta druga w przystań rockersów. Pastis i kemia - czarne i zielone oliwki, korniszony i wszelkiego rodzaju warzywa gotowane w occie - stanowiły część marsylskiej sztuki życia. W czasach, kiedy ludzie jeszcze umieli ze sobą rozmawiać, kiedy jeszcze mieli coś sobie do powiedzenia. Oczywiście chciało się od tego pić. I to zajmowało czas. Ale czas się nie liczył. Nie było pośpiechu. Wszystko mogło poczekać jeszcze pięć minut. Czasy nie gorsze ani nie lepsze niż nasze. Tyle że ludzie dzielili się swoimi radościami i zmartwieniami, po prostu, bez fałszywego wstydu. Nawet o nędzy można było opowiadać. Człowiek nigdy nie był sam. Wystarczyło zajść do Feliksa. Albo do Mariusa. Albo do Luciena. I dramaty zrodzone w niespokojnym śnie gasły w oparach anyżku. Celesta często zagadywała klienta.

- Ej! Ty! Nakryć dla ciebie?

- Nie. Wracam na obiad do domu.

- A twoja żona wie, że masz jeść w domu?

- No pewnie! Powiedziałem jej rano.

- Pewnie już na ciebie nie czeka. Wiesz, która godzina?

- O, cholera!

I klient zasiadał przed talerzem spaghetti z clouisses, które czym prędzej wsuwał, żeby się nie spóźnić do pracy.

Feliks postawił przede mną kieliszek i stuknął się ze mną, wbijając we mnie zaczerwienione oczy. Był szczęśliwy. Zналиśmy się od dwudziestu pięciu lat. A cztery lata temu przelał na mnie swoje ojcowskie uczucia.

Jego jedyny syn, Dominik, pasjonat wraków spoczywających na dnie morza między wyspami Riou a Maire, nie wypłynął po którymś tam nurkowaniu. Podobno rybacy z Sanary regularnie rozciągali sieci na dnie plateau de Blauquieres, dwadzieścia kilometrów od brzegu, między Tulonem a Marsylią. A może to była jakaś stercząca skała. Może co innego. Dominik nigdy nie przyszedł opowiedzieć, co mu się przytrafiło.

Ale miał nosa. Kilka miesięcy temu, całkiem przypadkowo, dwaj nurkowie z morskiej spółki rzeczoznawców, Henri Delauze i Popof, wydobyli w tym miejscu ze studwudziesiętometrowej głębiny nietknięty wrak Proteusza. Francuskiej łodzi podwodnej, która w 1943 roku zaginęła gdzieś między Algierem a Marsylią. Lokalna prasa wyczerpująco donosiła o tym odkryciu i w kilku linijkach wspomniała o Dominiku. W południe zjawiłem się u Feliksa. Odkrycie Proteusza nie przywróciło życia jego synowi, lecz go wskrzesiło, uczyniło zeń pioniera. Wszedł do legendy. Trzeba to było oblać. Płakaliśmy ze szczęścia.

- Na zdrowie!

- Jednak przyjemnie się robi człowiekowi na sercu.

Nie byłem od tej pory u Feliksa. Cztery miesiące. Kiedy człowiek się nie rusza, czas leci jak szalony. Nagle zdałem sobie z tego sprawę. Od wyjazdu Loli nie wychodziłem z chałupy. I zaniedbałem nielicznych przyjaciół, którzy mi jeszcze zostali.

- Możesz mi zrobić przysługę?

- No pewnie. - Feliks skinął głową.

Mogłem go prosić o wszystko z wyjątkiem tego, żeby pił wodę.

- Zadzwoń do Jo, do Bar de la Place. Tuż przed barem stoi zaparkowana czarna safrane. Niechaj zanieś jego kierowcy kawę od faceta z R 5. (Chwycił słuchawkę.) I poproś, żeby się przyjrzeni, co to za gość. Od godziny siedzi mi na ogonie, uczeplił się jak wesz.

- Mało to palantów chodzi po świecie? Przyprawileś mu rogi?

- Nie przypominam sobie.

Jo nie miał nic przeciwko temu, żeby się trochę powygłupiać pod koniec dnia. Nic dziwnego. To było w stylu jego zakładu. Nawiasem mówiąc, unikałem tego baru. Za bardzo mia\*, jak na mój gust. Szpanerski. Woląłem inne miejsca. Feliksa, rzecz jasna. Etienne'a, w górze dzielnicy Panier, na rue de Lorette. No i Ange'a na placu Treize-Coins, tuż za komendą.

- A po kawie? - zapytał Jo. - Wziąć go na stronę? Jest nas ośmiu w barze.

Feliks spojrział na mnie. Słyszałem, co tamten mówił. Pokręciłem przecząco głową.

- Nie warto - odpowiedział Feliks. - Wystarczy kawa. To tylko gość ze świeżo przyprawionymi rogami.

Kwadranś później oddzwonił Jo. Zdążyliśmy tymczasem opróżnić butelkę czerwonego côteaux d'Aix, z winnicy Domaine des Beates, rocznik 1988.

- Hej, Feliks! Jeśli to ty przyprawileś gościowi rogi, powinienes mieć się na baczności.

- Bo co? - spytał Feliks.

- Nazywa się Antoine Balducci.

Feliks spojrział na mnie pytająco. Nie znałem nikogo o tym nazwisku. A tym bardziej jego żony.

- Nie znam - powiedział Feliks.

\* Buc - gwarowe, od nazwy włoskiego modelu samochodu.

- Bywalec Riversalte w Tulonie. Bardzo aktywny w tamtejszym środowisku. Jeannot mi mówił. Poszedł ze mną zanieść facetowi kawę. Chciał się rozweselić. Pracował kiedyś w tamtym barze i stąd go zna. Tego Balducciego. Całe szczęście, że było ciemno! Gdyby tamten go rozpoznał, mogłoby być kiepsko. Tym bardziej że ich było dwóch.

- Dwóch? - powtórzył Feliks, patrząc na mnie pytającym wzrokiem.

- Nie wiedziałeś?

- Nie.

- Jak ten drugi wygląda, to nawet ci nie powiem - ciągnął Jo. - Nie ruszył się. Nie otworzył gęby. Nawet nie oddychał. Moim zdaniem, to ktoś first class w porównaniu z Balduccim... Powiedz no, Feliks, masz kłopoty?

- Ja? A skąd! Chodzi o... dobrego klienta.

- To powiedz mu, żeby się zmył. Jeśli chcesz znać moje zdanie, ci dwaj są uzbrojeni po zęby.

- Przekażę twoją radę, Jo. Pewien jesteś, że ci to nie zaszkodziło?

- No nie, Balducci się roześmiał. Sztucznie, ale jednak. Ci faceci umieją inkasować ciosy.

- Dalej tam stoją?

- Odjechali. „To prezent?” - spytał, pokazując kawę. „Tak, proszę pana”, powiedziałem. Wrzucił dziesięć franków do filiżanki. Całą łapę miałem w kawie. „Za obsługę.” Widzisz, jaki styl.

- Widzę. Dzięki, Jo. Wpadnij któregoś dnia na kieli cha. Ciao.

Celesta przyniosła dobrze wypieczone figatelli, a do tego kartofle suto posypane natką. Feliks zasiadł do stołu i otworzył kolejną butelkę. Istne arcydzieło z tego wina pachnącego tymiankiem, rozmarynem i eukaliptusem. Nie można się nim znużyć.

Przy jedzeniu mówiliśmy o konkursie na połowy tuńczyka, organizowanym tradycyjnie pod koniec września

przez klub żeglarski ze Starego Portu. W Marsylii, w Port-de-Bouc i w Port-Saint-Louis mamy teraz sezon na tuńczyka. Trzy lata temu w okolicach Saintes-Maries-de-la-Mer wyłowilem trzystukilogramowego olbrzyma. Siedział na głębokości osiemdziesięciu pięciu metrów. Walczyłem z nim trzy godziny i kwadrans. Ufotowano mnie fotografią w „Le Provençal”, w lokalnym wydaniu z Arles. Od tej pory jestem członkiem honorowym La Rascasse, klubu żeglarskiego z Goudes.

Jak co roku, przygotowywałem się do tego konkursu. Od niedawna zezwolono na połowy na broume. Tradycyjna metoda marsylska. Zatrzymuje się łódź, wrzuca się do wody na przynętę sardynki utarte z chlebem. Wygląda to jak unoszona prądem oleista plama. Kiedy ryba pływająca pod prąd czuje ten zapach, podpływa w stronę łodzi. A potem zaczyna się zabawa. Sport, prawdziwy sport!

- No to co? Nie jesteś mądrzejszy niż przedtem - powiedział Feliks cokolwiek zaniepokojony, kiedy Celesta poszła po sery.

- Mhm - mruknąłem lakonicznie.

Już zapomniałem o facetach z safrane. Prawda, że nie byłem mądrzejszy niż przedtem. W co też takiego wdepnąłem, że dwóch tulońskich bandziorów depcze mi po piętach? Nikogo nie znam w Tulonie. Blisko trzydzieści lat tam nie byłem. Ostatnio, jak służyłem w wojsku, na samym początku. Dali mi wycisk. Skreśliłem Tulon z mojej geografii raz na zawsze. I nie miałem zamiaru zmienić zdania. W ostatnich wyborach do władz miejskich miasto „podało się” Frontowi Narodowemu. Może wcale nie jest tam teraz gorzej niż za poprzedniej ekipy. Ale to kwestia pryncypiów. Jak z Saadną. Nigdy nie piję z ludźmi, którzy zioną nie-nawiścią.

- Nie zrobiłeś aby jakiegoś głupstwa? - spytał po ojcowsku.

Wzruszyłem ramionami.



- Za stary jestem.
- Też mi się tak zdaje... Nie żebym chciał się wtrącać do nie swoich spraw, ale... Wyobrażałem sobie, że żyjesz po bożemu w swojej chałupie. Z Lolą, która o ciebie dba.
- Żyję po bożemu, ale bez Loli. Wyjechała.
- Przepraszam. Ostatnim razem, jak was widziałem we dwoje, zdawało mi się...
- Lola kochała Uga. Kochała Manu. I mnie też kochała. W ciągu dwudziestu lat. Ja byłem ostatni.
- Zawsze ciebie kochała.
- Manu mi to powiedział. Parę dni przed tym, jak go zastrzelono, tu, na twoim chodniku. Jedliśmy wtedy aioli, pamiętasz?
- Cały czas się bał, że mu ją odbierzesz. Uważał, że się zejdziecie ze sobą.
- Loli się nie odbiera. Ugo potrzebował jej do życia Manu też. Ja nie. Nie wtedy. Dzisiaj tak.
- Zapadła cisza. Feliks nappełnił kieliszki.
- Trzeba skończyć butelkę - powiedział odrobinę zażenowany.
- No tak... Mogłem być pierwszy i wszystko potoczyłoby się inaczej. Dla niej i dla mnie. Dla Uga i Manu również. Ale nie, jestem ostatni. Inna sprawa, że się kochamy. Ale nie da się żyć w muzeum, wśród wspomnień. Ci, których kochaliśmy, nigdy nie umierają. Żyjemy z nimi. Zawsze... Widzisz, to tak jak z tym miastem. Marsylia żyje tymi wszystkimi, którzy tu kiedyś mieszkali. Którzy tu tyrali, wypruwali sobie żyły, żywili nadzieję. Moja matka i ojciec nadal żyją w tych ulicach.
- To dlatego, że jesteśmy dziećmi wygnania.
- Marsylia też jest częścią wygnania. To miasto nigdy nie będzie czymś innym, to ostatni przystanek, ostatni port. Jego przyszłość należy do tych, którzy tu przyjeżdżają. Nie do tych, co wyjeżdżają.
- A co powiesz o tych, którzy zostają?

- Tacy sami jak ci, co na morzu. Nigdy nie wiadomo, czy są żywi, czy umarli.

Jak my, pomyślałem, dopijając kieliszek. Żeby Feliks znów go napęłnił.

Czego, rzecz jasna, nie omieszkał zrobić.

## Rozdział siódmy, w którym proponuje się oddzielić nić czarną od białej

Wróciłem późno, niemało wypilem, za dużo wypaliłem papierosów, noc miałem paskudną. Toteż dzień zapowiadał się okropnie.

Ale pogoda była wspaniała, taka, jaka we wrześniu bywa tylko tutaj. Po drugiej stronie Luberon czy Alpilles już jest jesień. Ale w Marsylii jesień zachowuje posmak lata niekiedy nawet do końca października. Wystarczy powiew wiatru, by znów zapachniało tymiankiem, miętą i bazylią.

Tak właśnie pachniało o poranku. Mięta i bazylia. Zapachy Loli. Zapach jej ciała, kiedy się kochała. Poczułem się nagle stary i zmęczony. No i smutny. Ale zawsze się tak czuję, kiedy za dużo wypiję, za dużo wypalę i źle śpię. Nie czułem się na siłach wyciągnąć łódki. Zły znak. Dawno mi się to nie zdarzyło. Nawet po wyjeździe Loli nie zaprzestałem wypuszczać się na morze.

Codziennie zdystansować się wobec ludzi to dla mnie podstawa. Nakarmić się ciszą. I wcale niekoniecznie łowić ryby. To był po prostu hołd należny tej niezmierzonej przestrzeni. Z dala od lądu, na szerokim morzu, człowiek uczy się na nowo pokory. Wracalem na ląd przyjaźnie nastawiony do reszty ludzkości.

Lola wiedziała o tym, tak jak wiedziała wiele innych rzeczy, o których nigdy nie mówiłem. Czekwała na mnie z obiadem na tarasie. Potem nastawialiśmy muzykę i kochaliśmy się. Z taką samą rozkoszą, jak za pierwszym razem. I z taką samą pasją. Nasze ciała jakby przy urodzeniu obiecały sobie to święto. Ostatnim razem rozpoczęliśmy pieszczoty od *Yo no puedo vivir sin ti*. Płyta Cyganów z Perpignan. Kuzynów Loli. Potem mi powiedziała, że zamierza wyjechać. Potrzebowała znaleźć się „gdzie indziej”, tak jak ja potrzebowałem morza.

Z gorącą kawą w ręku stałem twarzą do morza, błędząc wzrokiem daleko, tam, gdzie nawet wspomnienia przestają się liczyć. Gdzie wszystko raptownie się zmienia. Dwadzieścia mil od brzegu, przy latarni morskiej Planier.

Dlaczego nigdy nie wyjechałem na zawsze? Dlaczego się starzeję w tej nędznej chałupie, wpatrując się w odpływające statki? Na pewno Marsylia ma w tym swój udział. Niezależnie od tego, czy człowiek się w tym mieście urodził, czy pewnego dnia tu przyjechał, szybko czuje na nogach ołowiane podeszwy. Tutejsi ludzie wolą oglądać podróże w cudzym spojrzeniu. W oczach tego, kto wrócił po spotkaniu z „najgorszym”. Na przykład Ulissesa. Tutaj ludzie lubią Ulissesa. Przez całe wieki marsylczycy tkali i pruli swoją historię niczym nieszczęsna Penelopa. Dzisiaj dramat polega na tym, że Marsylia nie patrzy już nawet na Orient, lecz na odbicie tego, czym sama się staje.

A ja byłem jak Marsylia. Stawałem się nikim albo prawie nikim. Minus złudzenia, plus uśmiech, jakoś tak. Pewne było jedno: nic nie rozumiem ze swego życia. Zresztą latarnia Planier przestała wskazywać drogę statkom. Stała opuszczona. A ja miałem wiarę jedynie w morskie zaświaty.

Wróć na wieczny spoczynek pośród okrętów

Przypomniał mi się ten wiersz Louisa Brauquiera, mojego ulubionego marsylskiego poety. Tak, powiedziałem sobie w duchu, kiedy umrę, wsiądę na statek wyruszający w stronę moich dziecięcych marzeń. Nareszcie spokojny, nareszcie pogodzony. Dopilem kawę i wyszedłem zobaczyć się z Fonfonem.

Nikt na mnie nie czekał przy samochodzie, kiedy o pierwszej w nocy rozstałem się z Feliksem. Nikt też za mną nie jechał. Nie jestem bojaźliwy, ale trzeba powiedzieć, że za Madrague de Montredon, na południowo-wschodnim krańcu Marsylii, droga wiodąca do Goudes jest w nocy dość nieprzyjemna. Księżycowy krajobraz, istna pustynia. Zbudowania kończą się w okolicy calanque Samena. Potem już nic. Wąska i kręta szosa biegnie brzegiem morza, kilka metrów nad skałami. Nigdy jeszcze te trzy kilometry tak mi się nie dłużyły. Spieszno mi było do domu.

Żelu spała, lampka na stoliku nocnym była zapalona. Pewnie na mnie czekała. Leżała zwinięta w kłębek, prawą ręką kurczowo ściskając poduszkę, jak kamizelkę ratunkową. Chyba jej się śniło, że tonie. Zgasilem lampkę. Niczego więcej nie mogłem na razie dla niej zrobić.

Nalałem sobie kieliszek lagavulina i położyłem się na kanapie ze Zwierciadłem morza Conrada. Co wieczór od nowa czytam tę książkę. Uspakaja mnie, pomaga zasnąć. Tak jak wiersze Brauquiera pomagają mi żyć. Ale duchem byłem gdzie indziej. Na twardej ziemi. Muszę przyprowadzić matce syna. To proste. Potem z nią porozmawiam, nawet jeśli już zrozumiała - byłem tego pewien - co jest najważniejsze. Dziecko zasługuje na to, żeby iść za nim do końca. Żadna kobieta nie dała mi okazji zostania ojcem, ale byłem o tym przekonany. Nie jest łatwo wychować dziecko, to jasne. Nie obywa się to bez bólu. Ale przecież warto. Jeśli miłość ma mieć jakąś przyszłość.

Zasnąłem, ale zaraz się obudziłem. Dręczyły mnie najważniejsze sprawy. Śmierć Serge'a. I wszystko, co ta śmierć we mnie rozbudziła. Arno stanął przede mną jak żywy. I Pawia, zagubiona gdzieś w nocy. Ta śmierć wprowadziła wszystko w ruch. Przecież z tego powodu śledzili mnie dwaj bandyci. Z powodu tego, co Serge kombinował. Nie widziałem, co prawda, związku między brodatymi fundamentalistami a tulońską mafią, ale między Niceą a Marsylią wszystko jest możliwe. Niejedno tu ludzie widzieli. I zawsze można sobie wyobrazić coś jeszcze gorszego.

Wydawało mi się nienormalne, że nie znalazłem u Serge'a notesu z adresami ani notatek, niczego. Choćby skrawka papieru. Może Balducci i jego kumpel zajrzeli tam przede mną. Wypredzili mnie. Ale nie przypominam sobie, żeby po drodze do Vieux-Moulin mijala mnie czarna safrana. Dokumentacja na temat islamskich integrystów musi coś znaczyć.

Nalałem sobie drugi kieliszek lagavulina i zagłębiłem się w lekturze gazet i wycinków prasowych, zabranych od Serge'a. Wynikało z nich, że dziś przed islamem ścielą się dwie drogi, jeśli chodzi o stosunek do Europy. Pierwsza - Dar el-Suhl, dosłownie „ziemia kontraktu”: należy podporządkować się obowiązującym w kraju prawom. Druga - Dar el-Islam: ziemia, gdzie islam nieuchronnie ma się stać większościowy. Taką ewentualność rozważał Habib Mokni, działacz tunezyjskiego ruchu islamskiego, imigrant we Francji. Tak było w roku 1988.

Od tego czasu brodacze odrzucili Dar el-Suhl. Europa, a szczególnie Francja, stała się stawką w grze o panowanie islamu i wygodną bazą na tyłach, gdzie przygotowywano akcje mające na celu destabilizację krajów, skąd pochodzili imigranci. Zamach w hotelu Atlas Asni w Marakeszu w Maroku w sierpniu 1994 roku miał swój początek na przedmieściu La Coumeuve. Taki układ pchał nas, Europejczy-

ków, i ich, fundamentalistów, na trzecią drogę - Dar el-Harb: „ziemię wojny”, zgodnie z koraniczną wykładnią.

Od fali zamachów w lecie 1995 roku w Paryżu już nie można było chować głowy w piasek. Na naszej ziemi zaczęła się wojna. Brudna wojna. A jej „bohaterowie”, jak Chaled Kelkal, wyrosli na paryskich czy lionńskich przedmieściach. Czy północne dzielnice Marsylii też się stają wyłęgarnią „bożych szaleńców”? Czy na to pytanie próbował odpowiedzieć Serge? Ale dlaczego? Dla kogo?

Na ostatniej szpalcie artykułu Habiba Mokniego Serge napisał na marginesie: „Najbardziej widoczne są ofiary zamachów. Inni giną również, bez widocznego związku.” Podkreślił też żółtym markerem cytaty z Koranu: „Aż ktoś was nauczy odróżniać białą nić od czarnej.” To wszystko.

Zamknąłem oczy ze znużenia. Natychmiast zapadłem się w sobie i ugrzęzłem w olbrzymiej płataninie czarnych i białych nici. Żeby zaraz potem zagubić się w szalonym labiryncie. Istnym pałacu lustrzanym. Ale nie widziałem w lustrach własnego odbicia, tylko utraconych przyjaciół, ukochane kobiety. Odpychali mnie jedni od drugich. Na tablicy widniały twarze i nazwiska. Toczyłem się przed siebie jak kulka we flipperze. Znajdowałem się w środku flippera. Obudziłem się złany potem. Ktoś energicznie mną potrząsał.

Bingo!

Nade mną stała Żelu. Zaspiane oczy.

- Co się dzieje? - spytała z niepokojem. - Krzyczałeś przez sen.

- Wszystko w porządku. Śnił mi się jakiś koszmar. To się zdarza, kiedy śpię na tej cholernej kanapie.

Zerknęła na butelkę whisky i pusty kieliszek.

- I kiedy przesadzasz z alkoholem.

Wzruszyłem ramionami. Usiadłem. Głowę miałem ciężką. Powrót na ziemię. Była czwarta rano.

- Przepraszam.

- Połóż się przy mnie. Będzie ci wygodniej.

Pociągnęła mnie za rękę. Tak samo łagodnie i namiętnie, jak gdy miała osiemnaście lat. Zmysłowa i matczyzna Żelu. Guitou musiał się nauczyć delikatności od tych rąk. Które biorą cię za policzki, żeby cię pocałować w czoło. Jak to się stało, że nie było między nimi zgody? Dlaczego, psia-krew, stali się sobie obcy?

W łóżku Żelu odwróciła się do mnie tyłem i natychmiast zasnęła. Nie śmiałem się poruszyć, żeby jej znów nie zbudzić.

Ostatni raz spaliśmy ze sobą, kiedy miałem ze dwanaście lat. Kiedy byliśmy mali, często się to zdarzało. W lecie prawie w każdą sobotę cała rodzina spotykała się tutaj, w Goudes. Nas, dzieci, kładziono spać na materacach, na ziemi. Żelu i ja pierwsi zaczęliśmy spać w łóżku. Zasy-pialiśmy, trzymając się za ręce, słuchając śmiechu i śpiewu naszych rodziców. Ukołysani Maruzellą, Guggalione i innymi neapolitańskimi piosenkami, które spopularyzował Renato Carosone.

Później, kiedy zachorowała mama, Żelu zaczęła przychodzić do nas na noc dwa, trzy razy w tygodniu. Robiła pranie, prasowanie i gotowała. Miała blisko szesnaście lat. Gdy tylko kładliśmy się do łóżka, przytulała się do mnie i opowiadała mi sobie przerażające historie. Żeby napędzić strachu. Wtedy wsuwała nogę między moje nogi i przytula-liśmy się jeszcze mocniej. Czułem jej już uformowane piersi. Dotyk twardych sutków niesamowicie mnie podniecał. Wiedziała o tym. Ale, rzecz jasna, nie mówiliśmy na te tematy, bo to były sprawy dorosłych. I tak zasypialiśmy, przepel-nieni czułością i spokojem.

Obróciłem się ostrożnie, żeby odłożyć na miejsce te wspomnienia, kruche jak kryształ. Żeby stłumić pragnienie położenia ręki na jej ramieniu i przytulenia się do niej. Jak kiedyś. Żeby odegnąć strach.

Powinienem był.

Fonfon orzekł, że marnie wyglądam.



- Nie zawsze się wygląda tak, jak się chce.
- No tak. W dodatku się nie wyspałeś. Uśmiechnąłem się, usiadłem na tarasie, na moim stałym miejscu. Twarzą do morza. Fonfon wrócił z kawą i gazetą.
- Zrobiłem ci skróconą. Nie wiem, czy cię obudzi, ale może przynajmniej się rozczmuchasz.

Otworzyłem „Le Provencal” i zacząłem szukać artykułu na temat zabójstwa Serge'a. Miał prawo tylko do małej wzmianki. Żadnego komentarza, żadnych szczegółów. Nie przypomniano nawet, że przez wiele lat był społecznym wychowawcą w trudnych dzielnicach. Określony został jako „bez zawodu”, a notka kończyła się lakonicznym stwierdzeniem: „Policja skłania się do hipotezy porachunku między bandytami.” Pertin zapewne sporządził maksymalnie zwięzły raport. W wypadku bandyckich porachunków nie będzie śledztwa. Tyle to znaczyło. Oraz to, że Pertin zachowuje sprawę dla siebie. Jak kość do gryzienia. A tą kością mogą być ja, proste jak drut.

Machinalnie przewróciłem stronicę, wstając, żeby iść po „La Marseillaise”. Wielki nagłówek u góry piątej strony wmurował mnie w ziemię: „Podwójne morderstwo w dzielnicy Panien niezidentyfikowane zwłoki na wpół nagiego młodzieńca”. W środku artykułu, w ramce: „Właściciel domu, architekt Adrien Fabre, jest wstrząśnięty”.

Aż przysiadłem. Może to tylko zbieg okoliczności, powtarzałem sobie, by móc przeczytać artykuł bez drżenia. Oddałbym życie, żeby nie widzieć linijek, które skakały przed moimi oczyma. Bo wiedziałem, co w nich wyczytam. Dreszcz przebiegł mi po plecach. Znany architekt Adrien Fabre od trzech miesięcy gościł u siebie algierskiego historyka Hosina Drauiego, specjalistę od kultury starożytnej regionu Morza Śródziemnego. Ponieważ FIS, Islamski Front Ocalenia, groził mu śmiercią, Hosin Draui, podobnie jak wielu innych intelektualistów algierskich, uciekł z kraju. Starał się o status uchodźcy politycznego.

Rzecz jasna, myśl o akcji FIS-u sama się nasuwała. Ale zdaniem śledczych, było to raczej nieprawdopodobne. Jak dotąd tylko raz - oficjalnie, co prawda - FIS przyznał się do egzekucji mułły Sahrauięgo w Paryżu, 11 lipca 1995 roku. Dziesiątki Hosinów Drauich żyło we Francji. Dlaczego miałby zginąć akurat ten, a nie inny? Poza tym, jak zeznał Adrien Fabre, Hosin Draui nigdy mu nie mówił, jakoby grożono mu śmiercią. Niepokoił się jedynie o los swojej żony, która została w Algierii i miała do niego przyjechać, gdy tylko jego sytuacja zostanie uregulowana.

Adrien Fabre opowiadał o swojej przyjaźni z Hosinem, którego spotkał pierwszy raz w 1990 roku z okazji wielkiego sympozjum na temat „greckiej Marsylii i Galii”. Badania Hosina dotyczące sytuacji portu - fenickiego, później rzymskiego - powinny, jego zdaniem, odnowić historię naszego miasta i pomóc mu odzyskać wreszcie pamięć. Pod tytułem „Na początku było morze” gazeta zamieściła fragmenty wystąpienia Hosina Drauięgo na sympozjum.

Policja jak na razie przyjęła tezę włamania w celu rabunkowym, które źle się skończyło. W Panier włamania nie były rzadkością. Co zresztą przyhamowało renowację dzielnicy. Nowi przybysze, w większości ludzie zamożni, byli celem włamywaczy. Na ogół młodych Arabów. Do niektórych domów włamywano się nawet trzy, cztery razy w odstępie kilku miesięcy, zmuszając w ten sposób skutecznie odstraszonych nowych właścicieli do opuszczenia dzielnicy.

Dom Fabre'ów został ograbiony po raz pierwszy. Czy się wyprowadzą? Żona i syn Fabre'a byli zbyt wstrząśnięci, żeby się nad tym zastanawiać.

Pozostawała zagadka drugiej ofiary.

Fabre'owie nie znali chłopca w wieku około szesnastu lat, znalezionego w samych tylko spodenkach na parterze, przed wejściem do kawalerki, którą zajmował syn gospodarzy. Śledczy przeszukali cały dom. Znaleźli jedynie ubranie

chłopca - dzinsy, T-shirt, kurtkę - oraz plecak z przyborami toaletowymi i zmianą bielizny, ale żadnego portfela ani dokumentów. Łańcuszek, który chłopak nosił na szyi, został brutalnie zerwany. Widać było tego ślady.

Zdaniem Adriana Fabre'a, Hosin Draui nigdy by nikogo nie przyjął pod jego dach bez uprzedniego porozumienia. Nawet krewnego czy przyjaciela. Gdyby z jakiegoś powodu musiał to zrobić, z pewnością zadzwoniłby wcześniej do Sanary. Bardzo szanował swoich gospodarzy.

Kim był ten młody człowiek? Skąd się wziął? Co robił w tym domu? Prowadzącemu śledztwo komisarzowi Loubetowi odpowiedzi na te pytania rozświetliłyby dramatyczną sprawę.

Znałem odpowiedzi.

- Fonfon!

Przyszedł z dwiema kawami na tacy.

- Nie wydzieraj się, jest kawa! Pomyślałem sobie, że nie zaszkodzi ci jeszcze jedna. Mocna. Masz - powiedział, stawiając filiżanki na stole, po czym spojrzał na mnie. - Niedobrze ci? Jesteś blady jak ściana!

- Czytałeś gazetę?

Podsunałem mu stronicę „Le Provençal”.

- Czytaj.

Czytał niespiesznie. Nie tknąłem kawy, byłem niezdolny do wykonania najmniejszego gestu. Czulem dreszcze w całym ciele, po czubki palców.

- No i co? - spytał, podnosząc głowę.

Opowiedziałem mu. O Żelu, Guitou i Naimie.

- Kurwa mać!

Popatrzył na mnie i znów zagłębił się w artykule. Jak gdyby powtórna lektura mogła zmienić smutną prawdę.

- Daj mi koniak.

- Fabre'owie... - zaczął.

- W książce telefonicznej Fabre'ów są całe tłumy, wiem.

Idź, przynieś mi koniak.

Musiałem rozgrzać sobie krew w żyłach.

Wrócił z butelką. Wypiłem dwa kieliszki, do dna. Z zamkniętymi oczami, trzymając się ręką stolika. Draństwo świata zawsze nas dogoni. Możesz o nim zapomnieć, możesz mu zaprzeczać, ale i tak cię dopadnie na rogu ulicy.

Wypiłem trzeci koniak. Niedobrze mi się zrobiło. Podbiegłem na skraj tarasu i wyrzygałem się na skały. Fala rozbiła się o nie i połknęła moje rzygi. Usunęła ze świata jego niełudzkość i niepotrzebną gwałtowność. Patrzyłem na białą pianę, liżącą załomy skały, nim się cofnęła. Brzuch mnie bolał. Moje ciało szukało zółci. Ale nie miałem już czym rzygać. Chyba że tylko bezbrzeżnym smutkiem.

Fonfon zrobił mi kolejną kawę. Przełknąłem jeszcze jeden koniak, jeszcze jedną kawę, potem usiadłem.

- Co masz zamiar zrobić?

- Nic. Nic jej nie powiem. Na razie. On nie żyje, tego nie da się zmienić. A czy ona będzie cierpieć teraz zaraz, czy jutro, to też bez różnicy. Pojadę to wszystko sprawdzić. Muszę odnaleźć dziewczynę. No i tego chłopaka, Mathiasa.

- No tak... - Pokiwał sceptycznie głową. - Nie wydaje ci się, że...

- Wiesz, Fonfon, coś tu nie kapuje. Ten chłopak spędził wakacje z Guitou, codziennie albo prawie codziennie bawili się razem. Dlaczego mówi, że go nie zna? Moim zdaniem, Guitou i Naima mieli spędzić weekend w jego kawalerce. Guitou pewnie tam spał w piątek, czekając na małą, która miała przyjść nazajutrz. Musiał mieć klucz, żeby wejść, albo ktoś go wpuścił.

- Hosin Draui.

- No tak. To jasne. A Fabre'owie wiedzą, kim jest Guitou. Dałbym sobie głowę uciąć.

- Może policja chce to zachować w tajemnicy.

- Nie sądzę. Ktoś inny niż Loubet może by i chciał. Ale on nie jest taki przewrotny. Gdyby znał tożsamość Guitou,

toby jej nie ukrywał. Sam mówi, że zidentyfikowanie ofiary pozwoli wyjaśnić sprawę.

Dobrze znałem Loubeta. Pracował w brygadzie do walki z przestępczością. Napatrzył się na trupy. Brał się do spraw najbardziej pogmatwanych i potrafił wyjaśnić to, co miało na zawsze pozostać niewyjaśnione. Dobry był z niego gliniarz. Uczciwy i prawy. Jeden z tych, dla których policja stoi na straży porządku republikańskiego. Chroni obywatela. Każdego obywatela. Loubet nie miał wielkiej wiary w skuteczność swoich działań, ale twardo trzymał się zasad. A kiedy prowadził śledztwo, nikomu się nie opłacało wchodzić mu w drogę. Zawsze szedł aż do końca. Nieraz zastanawiałem się, jakim cudem pozostaje jeszcze przy życiu. I na tym stanowisku.

- Więc?
- Coś mi tu nie pasuje.
- Nie wierzysz we włamanie?
- W nic nie wierzę.

Owszem, wierzyłem, że to będzie paskudny dzień. A okazał się jeszcze gorszy, niż myślałem.

## Rozdział ósmy, w którym historia nie jest jedyną formą przeznaczenia

Drzwi się otworzyły i zaniemówiłem. Przede mną stała młoda Azjatka. Chyba Wietnamka. Ale mogłem się mylić. Bosa, w tradycyjnym stroju. Sięgająca do pól uda szkarłatna, jedwabna tunika, zapinana na ramieniu, krótkie ciemnoniebieskie spodnie. Długie czarne włosy, szczesane na bok, przesłaniały prawe oko. Poważna twarz patrzyła z wyrzutem, że śmiem dzwonić do jej drzwi. Należała zapewne do kategorii kobiet, którym się zawsze przeszkadza, bez względu na porę. A przecież było już po jedenastej.

- Chciałbym rozmawiać z panem i panią Fabre.

- Pani Fabre to ja. Mąż jest w biurze. Zaniemówiłem po raz drugi. Do głowy mi nie przyszło, że żona Adriana Fabre'a jest Wietnamka. I to taką młodą. Miała pewnie nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Ciekawe, w jakim wieku urodziła Mathiasa. A może wcale nie jest jego matką.

- Dzień doby pani - wykrztusiłem wreszcie, pożerając ją oczyma.

To było dość bezczelne z mojej strony. Ale byłem pod wrażeniem nie tylko urody, ale i czaru tej kobiety. Czułem to w ciele. Jakby mnie prąd przebiegł. To się czasem zdarza na ulicy. Człowiek napotyka spojrzenie jakiejś kobiety

i odwraca się za nią w nadziei, że znów się spotka z jej wzrokiem. Nie zastanawia się nawet, czy ta kobieta jest piękna, jakie ma ciało, ile ma lat. Ważne jest tylko, co ma w tym momencie w oczach: marzenie, oczekiwanie, pożądanie. Może całe życie.

- Pan w jakiej sprawie?

Ledwie otwierała usta, a jej głos brzmiał jak drzwi, które ci zatrząskują przed nosem. Ale drzwi pozostały otwarte. Nieco nerwowym ruchem odrzuciła włosy w tył, odsłaniając twarz.

Zlustrowała mnie od stóp do głów. Płócienne granatowe spodnie, niebieska koszula w białe kropki - prezent od Loli - białe espadryle. Stałem wyprostowany, prezentując w całej okazałości moje metr siedemdziesiąt pięć, z rękami w kieszeniach szarej bluzy. Honorine uznała, że wyglądam nader elegancko. Nie powiedziałem jej, co wyczytałem w gazecie. Dla niej i dla Żelu wyszedłem szukać Guitou.

Nasze oczy spotkały się. Stałem bez słowa, wpatrując się w nią. Twarz jej stężała.

- Słucham pana - powiedziała cierpkim tonem.

- Równie dobrze moglibyśmy porozmawiać w środku.

- O co chodzi?

Była w defensywie, mimo że, jak przypuszczam, zwykle cechowała ją pewność siebie. Odkrycie dwóch trupów w domu po powrocie z weekendu nie skłania do gościnności. I chociaż się wysiliłem, żeby ubrać się przyzwoicie, to przecież z moimi czarnymi, falującymi włosami i smagłą cerą musiałem wyglądać na meteka\*. Zresztą byłem metekiem.

- O Mathiasa - powiedziałem możliwie najłagodniej. - I o jego kolegę, z którym spędził wakacje. O Guitou, które go zwłoki znaleziono u państwa w domu.

\* Obrażliwy rasistowski termin, używany w stosunku do imigrantów, zwłaszcza z rejonu Morza Śródziemnego.

Zesztywniała.

- Kim pan jest? - wybąkała z trudem, jakby słowa raniły jej gardło.

- Krewnym tego chłopca.

- Proszę wejść.

Wskazała mi schody w głębi holu i cofnęła się, przepuszczając mnie przodem. Zrobiłem kilka kroków naprzód i zatrzymałem się przed pierwszym stopniem. Kamień - piaskowiec z Lacoste - nasiąkł krwią Guitou. Ciemna plama znaczyła schodek jak czarna krepa. Kamień też był w żałobie.

- To się stało tutaj? - spytałem.

- Tak - szepnęła.

Wypaliłem mnóstwo papierosów, wpatrując się w morze, nim zdecydowałem się ruszyć z miejsca. Wiedziałem, co mam robić i w jakiej kolejności, ale czułem się ociężały. Jakbym był z ołowiu. Ołowiany żołnierz. Który czeka, aż czyjaś ręka wprawi go w ruch. Tą ręką było przeznaczenie. Życie i śmierć. Nie ma ratunku przed tym palcem, który człowieka dotyka. Kimkolwiek się jest. Na dobre i na złe.

To złe poznałem najlepiej.

Zdążyłem już zadzwonić do Loubeta. Znałem jego zwyczaje, wiedziałem, że to pracuś i ranny ptaszek. Była ósma trzydzieści, od razu podniósł słuchawkę.

- Mówi Montale.

- O, duch! Miło cię słyszeć.

Był jednym z nielicznych, którzy się ze mną napili, kiedy rzuciłem służbę. Wzruszył mnie tym. Obalewanie mojej dymisji nie mniej niż wybory związkowe ujawniło podziały w policji. Tyle że obyło się bez tajnego głosowania.

- Mam odpowiedź na twoje pytania. W sprawie tego chłopaka w Panier.

- Co? O czym ty mówisz, Montale?

- O twoim śledztwie. Wiem, kim jest ten dzieciak. Skąd się wziął i tak dalej.



- Jak to wiesz?
- To syn mojej kuzynki W piątek uciekł z domu.
- Co tu robił?
- Powiem ci. Zobaczymy się?
- Jeszcze jak! Za ile tu będziesz?
- Wolę, żebyśmy się spotkali u Ange'a. W Treize-Coins, zgoda?
- Okej.
- Dwunasta, dwunasta trzydzieści.
- Dwunasta trzydzieści? A co masz wcześniej do roboty?
- Idę na ryby.
- Łziesz, Montale.
- Co prawda, to prawda. Do szybkiego, Loubet.

Owszem, miałem zamiar łowić, ale nie ryby, tylko informacje. Okonie i dorady mogą na mnie zaczekać. Przyzwyczały się. Nie jestem przecież prawdziwym rybakiem, tylko amatorem.

Cúc - tak miała na imię i rzeczywiście była Wietnamką, z Dalatu na Południu, „jedyne chłodne miasto w kraju”. Zwróciła ku mnie twarz i jej oczy znów znikły pod spadającą grzywą włosów. Nie odrzuciła ich do tyłu. Podwinąwszy nogi pod siebie, usiadła na kanapie.

- Kto jeszcze wie?
- Nikt - skłamałem.

Siedziałem pod światło, w fotelu, który mi wskazała. Z tego miejsca mogłem dostrzec jej czarne jak węgiel oczy - błyszczące i twarde szparki. Odzyskała pewność siebie. A przynajmniej dość siły, żeby mnie trzymać na dystans. Domyślałem się, że pod pozornym spokojem kryje się energia. Ruszała się jak sportsmenka. Była nie tylko czujna, ale i gotowa skoczyć na mnie z wyciągniętymi pazurami. Pewnie musiała ostro się bronić, od kiedy przyjechała do Francji. Bronić swoich wspomnień i marzeń. Życia. Swojego życia jako żony Adriena Fabre'a i jako matki Mathiasa. Jej syna. „To mój syn”, uznała za stosowne podkreślić.

Mało brakowało, a byłbym ją zarzucił niedyskretnymi pytaniami. Ale ograniczyłem się do rzeczy najważniejszych. Powiedziałem, kim jestem. O moim pokrewieństwie z Żelu O Guitou i Naimie. O ucieczce chłopca do Marsylii. O tym, co wyczytałem w gazecie i jak skojarzyłem jedno z drugim.

- Dlaczego pani nie powiedziała policji?

- Czego?

- Kim jest Guitou.

- Właśnie się dowiedziałam od pana. Nie mieliśmy pojęcia.

Nie wierzyłem w to.

- Przecież Mathias go znał...

- Nie było z nami Mathiasa, kiedy wróciliśmy w niedzielę wieczór. Zostawiliśmy go w Aix, u moich teściów. Zaczyna studia w tym roku, ma jeszcze jakieś formalności do załatwienia.

To brzmiało prawdopodobnie, lecz nieprzekonująco.

- I, rzecz jasna, nie zadzwoniliście do niego - nie mogłem się powstrzymać od ironii. - Nic nie wie o dramacie, jaki się tu rozegrał, ani o tym, że jeden z jego kolegów został zabity?

- Mąż do niego dzwonił. Mathias przysiągł, że nikomu nie dawał klucza.

- I uwierzyła mu pani?

Odrzuciła pasmo włosów. Gestem, który miał wyrażać szczerość. Wystudiowanym gestem. Zrozumiałem tę grę od początku.

- Dlaczego mielibyśmy mu nie wierzyć, panie Montale? - spytała, lekko podnosząc ku mnie twarz.

Byłem pod coraz większym urokiem tej kobiety, zdenerwowałem się tym.

- Bo gdyby ktoś u was był, Hosin by was poinformował - odpowiedziałem ostrzej, niż chciałem. - Tak oświadczył pani mąż w gazecie.

- Hosin nie żyje - powiedziała cicho.

- Guitou też nie! - krzyknąłem

Wstałem z fotela zirytowany. Była dwunasta. Muszę do-  
wiedzieć się czegoś więcej przed spotkaniem z Loubetem.

- Skąd mogę zadzwonić?

- Do kogo?

Zerwała się na równe nogi. Zastygła przed mną wypros-  
towana jak struna. Wydawała się teraz większa, szersza w  
ramionach. Czułem na piersi jej oddech.

- Do komisarza Loubeta. Najwyższy czas, żeby się do-  
wiedział, kim jest Guitou. Nie wiem, czy przełknie pani wer-  
sję. Pewne jest za to, że to mu pomoże ruszyć sprawę z  
miejsca.

- Niech pan zaczeka.

Obiema rękami odrzuciła włosy do tyłu. Oceniała mnie  
wzrokiem. Była gotowa na wszystko. Nawet paść mi w ra-  
miona. A nie zależało mi na tym. naprawdę.

- Ma pani piękne uszy - usłyszałem swój szept.

Uśmiechnęła się niemal niedostrzegalnie. Dotknęła mo-  
jego ramienia i prąd mnie przeszedł. Gwałtowny. Jej dłoń  
była rozpalona.

- Proszę pana.

Do Treize-Coins dotarłem ze spóźnieniem. Loubet, stojąc  
przy kontuarze, pił maurasque ze szklanki. Ange na mój  
widok nalał mi pastisu. Trudno człowiekowi zmienić przyz-  
wyczajenia. Przez całe lata ten bar z tyłu za komendą głów-  
ną policji służył mi jako stołówka. Wolałem jeść z dala od  
innych gliniarzy, którzy chodzili na obiad na rue L'Eveche  
albo na place des Cantons. Tam, gdzie kelnerki czule gru-  
chają w nadziei na napiwek.

Ange nie był facetem gadatliwym. Nie podlizywał się  
klientom. Kiedy zespół IAM postanowił nagrać teledysk no-  
wego albumu w jego lokalu, spytał po prostu: „Dlaczego  
akurat mój bar wpadł wam w oko?” Z niejaką dumą, trzeba  
powiedzieć.

Pasjonował się historią. Historią przez duże h. Czytał wszystko, co mu wpadło w ręce. Decaux, Castellota. Ale też książki kupione na chybił trafił u bukinistów: Zevaesa, Ferro, Rousseta. Między dwoma kielichami udzielał mi ko-repetycji ze znajomości naszych dziejów. Ostatnim razem, kiedy do niego zaszedłem, opowiedział mi ze szczegółami o triumfalnym wkroczeniu Garibaldiego do portu Marsylii 7 października 1870 roku. „Dokładnie o dziesiątej.” Przy trzecim kieliszku pastisu powiedziałem mu, że nie zgadzam się z tym, by historia była jedyną formą przeznaczenia. Nie bardzo wiedziałem, co przez to rozumiem, i nadal tego nie wiem, ale wydaje mi się, że mam rację. Spojrzał na mnie oszołomiony i więcej się na ten temat nie odezwał.

- Czekaliśmy na ciebie - powiedział Ange, podsuwając mi kieliszek.

- Udany polów, Montale?

- Niezły.

- Zjecie tu? - spytał Ange.

Loubet spojrział na mnie.

- Później - odparłem ze znużeniem.

Naprawdę nie zależało mi na wizycie w kostnicy. Ale z Loubetem to było nie do uniknięcia. Tylko Mathias, Cûc i ja wiedzieliśmy, że to Guitou jest tym chłopakiem, którego zabito w domu Fabre'ów. Nie chciałem opowiadać Loubetowi o moim spotkaniu z Cûc. Nie spodobałoby mu się to, a przede wszystkim ruszyłyby na nią jak taran. A ja obiecałem Cûc, że dam jej trochę czasu. Tyle, ile trwa obiad. Niechaj w czasie obiadu ustalą z mężem i Mathiasem wiarogodną wersję kłamstwa. Obiecałem. To nic nie kosztuje, powiedziałem sobie. Jednak trochę mi było wstyd, że tak łatwo uległem. Ale już się nie zmienię, jestem czuły na kobiece wdzięki.

Wypiłem do dna, jakby to był ostatni kieliszek skazańca.

Tylko trzy razy w ciągu całej mojej kariery w policji postawiłem stopę w kostnicy. Lodowate powietrze przejęło mnie dreszczem. Wzdrygnąłem się, gdy otworzyły się drzwi do chłodni. Ze słońca przeszliśmy w neonowe światło. Białe, blade, wilgotne. Piekło to właśnie to. Zimna śmierć. Nie tylko tutaj. W grobie, na dnie dziury, jest tak samo, nawet w lecie.

Staralem się nie myśleć o tych, których kochałem i pogrzebałem. Kiedy rzuciłem pierwszą garść ziemi na trumnę ojca, powiedziałem sobie: „Teraz jesteś sam.” Ciężko mi było później z innymi ludźmi. Nawet z Carmen, z którą wtedy żyłem. Milczek się ze mnie zrobił. Nie umiałem jej wytłumaczyć, że nieobecny ojciec stał się nagle dla mnie ważniejszy niż ona. Niż jej miłość. Głupia sprawa. Trzeba powiedzieć, że mój ojciec był prawdziwym ojcem. Ale też wcale nie wyjątkowym. Takim jak Fonfon czy Feliks. Jak wielu innych. Jakim mógłbym być i ja, po prostu.

W gruncie rzeczy dręczyła mnie sama śmierć. Byłem za młody, kiedy nas opuściła mama. Gdy umarł ojciec, śmierć po raz pierwszy wżarła się we mnie jak robak. W głowę, w kości, w serce. Wredny robak nie dawał mi spokoju. Od okrutnej śmierci Leili moje serce było żywą, niezagojoną raną.

Skupiłem uwagę na sprzątacze, która myła szmatą posadzkę. Gruba Murzynka. Podniosła głowę, i uśmiechnąłem się do niej. Trzeba mieć odwagę, żeby pracować w takim miejscu.

- Numer 747 - powiedział Loubet, pokazując legitymację policyjną.

Szczyk metalu i drzwi się otworzyły. Kostnica znajdowała się w podziemiach. Charakterystyczny szpitalny odór uderzył mnie w nozdrza. Sączące się dzieńne światło było żółte jak woda w wiadrze, w którym sprzątaczką zanurzała szmatę.

- Wszystko w porządku? - spytał Loubet.

- W porządku.

Guitou wjechał na chromowanym wózku, pchanym przez niskiego łysego gościa z papierosem przyklejonym w kąciu ust.

- To do pana?

Loubet skinął głową. Gość zatrzymał wózek przed nami i odszedł bez słowa. Loubet wolno uniósł prześcieradło, ściągnął je na szyję. Zamknąłem oczy. Wziąłem oddech i spojrzałem wreszcie na zwłoki Guitou. Ukochanego syna Zelu.

Taki sam jak na zdjęciu. Tyle że umyty, biały i zimny przypominał anioła. Z raju na ziemię, skok bez spadochronu. Czy zdążyli się kochać z Naimą? Cûc powiedziała mi, że zjawili się w piątek wieczór. Około ósmej dzwoniła do Hosina. W głowie kłębiły mi się pytania: gdzie mogła być Naima, kiedy zabito Guitou? Czy już wyszła? Czy była z nim? Co widziała? Muszę poczekać do piątej, może wtedy się dowiem. O piątej Murad ma mnie zaprowadzić do dziadka.

Pierwsze, co zrobiłem po telefonie do Loubeta, to poszedłem do matki Naimy. Nie spodobało jej się, że ją nachodzę, i to o tak wczesnej porze. Mogłem być zastać w domu Reduana, a zależało jej, żeby go nie mieszać w tę sprawę. „Życie i tak jest wystarczająco skomplikowane”, powiedziała. Zaryzykowałem, bo miałem mało czasu. To głupie, ale chciałem zachować przewagę nad Loubetem, wyprzedzać go o jedną długość. Wiedzieć przed nim.

To była dobra kobieta. Martwiła się o swoje dzieci. I dlatego postanowiłem ją nastraszyć.

- Naima może mieć poważne kłopoty z powodu tego chłopca.

- Francuza?

- Syna mojej kuzynki.

Usiadła ociężale na brzegu kanapy, wzięła się za głowę.

- Co zrobiła?

- Nic. To znaczy, nie wiem. Ona widziała go ostatnia.
- Dlaczego pan nas nie zostawi w spokoju? I bez tego mam dość kłopotów z dziećmi. (Spojrzała mi w twarz.) Może ten chłopiec już wrócił do domu. Albo wkrótce wróci. Reduan też kiedyś znikł. Przez trzy miesiące się nie odzywał. A potem wrócił. Teraz już nie ucieka. Spoważniał.
- Kucnąłem przy niej.
- Wierzę pani. Ale Guitou nie wróci. Nie żyje. Został zabity. A Naima była razem z nim tamtej nocy.
- Ujrzałem paniczny lęk w jej oczach.
- Nie żyje? I Naima...
- Byli razem. Oboje w tym samym... domu. Ona musi mi powiedzieć, co i jak... Jeżeli była tam jeszcze wtedy, kiedy to się stało, to pewnie widziała.
- Moje biedactwo.
- Ja jeden o tym wiem. Jeżeli jej tam nie było, nikt nigdy się nie dowie. Nie ma najmniejszej szansy na to, by policja do niej dotarła. Policja nie wie o jej istnieniu. Rozumie pani. Właśnie dlatego nie mogę dłużej czekać.
- Dziadek nie ma telefonu. Naprawdę, niech mi pan wierzy. Mówi, że telefon to dobry pretekst, żeby się nie widywać. Miałam zamiar do niego pójść, jak panu obiecałam. Ale to daleko, w Saint-Henri. Trzeba tam jechać autobusem, z przesiadkami. To nie jest proste.
- Zawiozę panią, jeśli pani chce.
- To niemożliwe, proszę pana. Ja w pańskim samochodzie? Wszyscy by się dowiedzieli. Tutaj wszyscy wszystko wiedzą. I Reduan znów by się awanturował.
- Więc proszę mi dać adres.
- O nie! - zaprotestowała kategorycznie. - Murad kończy lekcje o trzeciej. Pojedzie z panem. Proszę na niego czekać na końcowym przystanku autobusu na cours Joseph Thierry, o czwartej.
- Dziękuję pani - powiedziałem.

Wzdrygnąłem się. Loubet ścisnął mnie za ramię, żebym się lepiej przyjrzał zwłokom Guitou. Ściągnął prześcieradło aż na brzuch.

- Kaliber 38 special. Jedna kula. Z bliska. To nie zostawia żadnej szansy. A z dobrym tłumikiem nie głośniejszy niż mucha. Robota zawodowca.

W głowie mi się kręciło. Nie od tego, co widziałem. Od tego, co sobie wyobraziłem. Nagi Guitou i ten drugi, ze spluwą w rękę. Czy przyjrzał się chłopcu, nim do niego strzelił? Bo przecież nie zabił go przypadkowo, na chybił trafił, uciekając. Nie. Z zimną krwią. Twarzą w twarz. Niewielu spotkałem w życiu facetów zdolnych do czegoś takiego. Kilku w Dżibuti. Legioniści. Komandosi. Niedobitki z Indochin i Algierii. Nie mówili o tym nigdy, nawet po pijaku. Uratowali skórę, to wszystko. Rozumiałem ich. Można zabić z zazdrości, z wściekłości, z rozpacz. To też mogę zrozumieć. Ale tego - nie.

Zalała mnie fala nienawiści.

- Łuk brwiowy rozbił sobie, padając - ciągnął dalej Loubet, pokazując palcem. (Potem palec zjechał na szyję.) - A to ciekawsza sprawa. Zerwano mu z szyi łańcuszek.

- Ze względu na jego wartość? Sądzisz, że mogło im załeżeć na złotym łańcuszku?

Wzruszył ramionami.

- Może ten łańcuszek pozwala zidentyfikować osobę.

- Jakie to mogło mieć znaczenie dla tych typów?

- Zyskiwali na czasie.

- Nie rozumiem. Co masz na myśli?

- To tylko przypuszczenie. Zakładam, że morderca znał Guitou. Hosin Draui miał na ręce wspaniałą złotą bransoletę i wcale jej nie stracił.

- To nas nie posuwa do przodu.

- Wiem. Stwierdzam tylko fakt, Montale. Stawiam hipotezy. Mam ich około stu. One też nas nie posuwają do przodu. Czyli wszystkie są dobre. (Znów wskazał zwłoki



palcem wymierzonym w ramię.) Ten siniak powstał wcześniej. Piętnaście, dwadzieścia dni temu, tak aa oko. Widzisz, ten siniak identyfikuje chłopaka nie gorzej niż łańcuszek i też nie posuwa nas ani trochę dalej.

Loubet naciągnął prześcieradło na ciało Guitou i spojrział na mnie. Wiedziałem, że teraz będę się musiał podpisać w księdze rejestracyjnej i że nie to jest najtrudniejsze.

## Rozdział dziewiąty, w którym kłamstwo nigdy nie jest niewinne

Pośrodku rue Sainte-Francoise, przed barem Treize--Coins, niejaki Jose mył swój samochód, R 21 w barwach marsylskiej drużyny piłkarskiej. Od dołu niebieski, od góry biały. Z odpowiednią chorągiewką przyczepioną do lusterka i z szalikiem kibiców, rozłożonym na półce pod tylną szybą. Muzyka szła na fuli. Gipsy Kings: Bamboleo, Djobi Djoba, Amor, Amor... The best of.

Sicard, robotnik zatrudniony przy konserwacji dróg, odkręcił mu kran przy rynsztoku. Jose miał do dyspozycji całą miejską wodę. Co pewien czas podchodził do stolika Sicarda, żeby wypić kieliszek pastisu, nie tracąc auta z oczu. Jakby to był cenny muzealny zabytek. A może po prostu marzył, że poderwie jakąś pin-up i zabierze ją na przejażdżkę do Cassis. W każdym razie, sądząc po jego zadowolonej minie, nie troszczył się o swego poborcę podatków. I bynajmniej się nie śpieszył.

Tu, w dzielnicy, mycie samochodu zawsze tak się odbywa. Lata mijają, a zawsze znajdzie się jakiś Sicard, który odkręci ci kurek od miejskiej wody, jeśli mu postawisz pastis. Trzeba naprawdę być gamoniem z Saint-Giniez, żeby myć samochód w automatycznej myjni.

Gdyby teraz nadjechał jakiś samochód, musiałby zaczekać, aż Jose skończy. Łącznie z niespiesznym wycieraniem

karoserii irchą. W nadziei, że jakiś gołąb jej nie obesra akurat w tym momencie.

Gdyby kierowcą był ktoś z dzielnicy, to spokojnie napiłby się z Jose i Sicardem. Pogadaliby o mistrzostwach piłki nożnej, ironicznie komentując słabe wyniki PSG\*. A wyniki musiały być słabe, choćby nawet paryżanie cwałowali na czele klasyfikacji. Gdyby kierowcą był „turysta”, to po paru wściekłych klaksonach mogłoby dojść do rękoczynów. Jak się nie jest z dzielnicy, to się tu nie przyjeżdża bruździć. Trzeba stulić pysk i cierpliwie czekać. Ale żaden samochód nie nadjechał i mogliśmy z Loubetem spokojnie zjeść obiad. Osobiście nie mam nic przeciwko kapeli Gipsy Kings.

Ange posadził nas na tarasie, z butelką różowego wina z Puy-Sainte-Reparate. W menu faszerowane pomidory z ziemniakami, cukinią i cebulą. Byłem głodny, strasznie mi smakowały. Lubię jeść. Gorzej, kiedy mam kłopoty, a jeszcze gorzej, kiedy się ocieram o śmierć. Wtedy rzucam się na żarcie i wchłaniam w siebie wszystko: jarzyny, mięso, ryby, desery, łakocie. Upajam się ich zapachem. Nie znalazłem lepszego sposobu na to, żeby odepchnąć śmierć od siebie. Uchronić się przed nią. Dobra kuchnia i dobre wina. Sztuka przetrwania. Jak dotąd, nieźle mi to służy.

Jedliśmy w milczeniu. Przy wędlinach, na wstępie, wymieniliśmy parę zdawkowych banałów. Loubet przeżuwał swoje hipotezy. Ja swoje. Cûc zaproponowała mi herbatę. Czarną herbatę. „Sądzę, że mogę panu ufać”, powiedziała. Odparłem na to, że jak na razie nie chodzi o zaufanie, tylko o prawdę. Prawdę, którą należy wyznać gliniarzowi prowadzącemu śledztwo. Trzeba ujawnić tożsamość Guitou.

- Nie będę panu opowiadała o swoim życiu - oznajmiła Cûc. - Ale lepiej by pan zrozumiał, gdybym powiedziała panu pewne rzeczy. Miałam siedemnaście lat, kiedy przyjechałam do Francji. Mathias właśnie się urodził. To było

\* Paris Saint Germain, drużyna piłkarska.

w 1977 roku. Moja matka uznała, że najwyższy czas wyjechać. To, że urodziłam dziecko, może zaważyło na tej decyzji. Sama nie wiem.

Zerknęła na mnie ukradkiem, potem sięgnęła po paczkę cravenów i nerwowo zapaliła jednego. Jej spojrzenie zagubiło się w dymku z papierosa. Gdzieś daleko. Podjęła swoją opowieść. Zdania przerywane długim milczeniem. Cichy głos. Słowa jakby wisiały w powietrzu. Odganiała je ręką, tak jak odganiała dym. Siedziała nieruchomo. Jedynie długie włosy huśtały się, gdy poruszała głową jakby w poszukiwaniu zapomnianego szczegółu.

Słuchałem jej uważnie. Nie śmiem sądzić, że jestem pierwszą osobą, wobec której zdobyła się na wyznania. Wiedziałem, że w zamian za to poprosi mnie na koniec o przysługę. Ale ta niespodziewana intymność między nami urzekła mnie. Skutecznie.

- Przyjechałyśmy tutaj całą rodziną: mama, babcia, moje trzy młodsze siostry, dziecko i ja. Mama była bardzo dzielna. Wie pan, należałyśmy do tych, których nazywają repatriantami. Rodzice zostali naturalizowani w 1930 roku. Mam zresztą podwójne obywatelstwo. Uważano nas za Francuzów. Jednak nasz przyjazd do Francji w niczym nie przypominał sielanki. Z Roissy zawieziono nas do hotelu robotniczego w Sarceflès. Potem powiedziano nam, że mamy stamtąd wyjechać, i wylądowałyśmy w Hawrze. Mieszkałyśmy tam cztery lata, w dwupokojowym mieszkanku. Mama zajmowała się nami aż do czasu, gdy nauczyłyśmy się dawać sobie radę same. W Hawrze spotkałam Adriena. Przypadkiem. Gdyby nie on... Wie pan, ja się zajmuję modą. Projektuję ubrania i materiały, w guście orientalnym. Mam pracownię i sklep na cours Julien. A teraz właśnie otworzyłam butik w Paryżu, na rue de la Rocquette. Niebawem otworzę kolejny, w Londynie.

Mówiąc to, wstała z miejsca.

Zajmowanie się modą to dziś w Marsylii wielki szyk. Poprzednie władze miasta wyłożyły niesamowitą forszę na stworzenie centrum mody śródziemnomorskiej na Canebiere. W lokalu dawnych magazynów Thierry. Nazywają to miejsce „Beaubourg haute couture”. Tak to przedstawiano w prasie. Raz tam zajrzałem z ciekawości. Nie wiedziałem, co też tam można robić w środku. I fakt, nic się nie dzieje. Ale wytłumaczono mi, że „to zmienia nasz wizerunek w oczach Paryża”.

Zabawne, słowo daję. Należę do tej rasy marsylczyków, którzy mają gdzieś swój wizerunek w Paryżu i wszędzie indziej. Obraz niczego nie zmienia. Dla Europy nadal jesteśmy pierwszym miastem Trzeciego Świata. Najbardziej uprzywilejowanym przez tych, którzy czują do Marsylii sympatię.

Dla mnie jest ważne, żeby coś dla Marsylii zrobić, a nip czarować Paryż. Wszystko, cośmy kiedykolwiek zyskali, zyskaliśmy wbrew Paryżowi. Tak zawsze twierdziła stara marsylska burżuazja, rodziny Frassinetów, Touache'ów, Paquetów. Mieszczanstwo, które w 1870 roku, jak mi uświadomił Ange, sfinansowało wyprawę Garibaldiego do Marsylii, żeby odeprzeć inwazję Prusaków. Ale dzisiaj to mieszczanstwo się nie odzywa, nie działa. Spokojnie dożywa swoich dni we wspinałych willach na Roucas-Blanc. Obojętne na to, co Europa knuje przeciwko naszemu miastu.

- No tak - powiedziałem, żeby coś powiedzieć.

Cûc jako kobieta interesów. Czar prysł. To mnie sprowadziło na bardziej realny grunt.

- Niech pan sobie nie wyobraża Bóg wie czego. Dopiero zaczynam. Pracuję zaledwie od dwóch lat. To dobry początek, ale daleko mi do poziomu Zazzy of Marseille.

Słyszałem o Zazzie. Ona też zajęła się modą i jej kolekcje *pret-a-porter* rzyskały sobie markę w świecie. Zdjęcia Zazzy widnieją we wszystkich magazynach, które „opowiadają” o Marsylii zacnemu francuskiemu ludkowi. Przykład sukcesu.

Symbol twórczej śródziemnomorskiej energii. No, niech będzie, może nie jestem obiektywny. Niemniej pozostaje faktem, że dzisiaj w Goudes jest tylko sześciu zawodowych rybaków, a w Estaque niewielu więcej. Że coraz mniej statków zawija do portu Joliette. Że nabrzeże jest właściwie puste. Że w La Spezia we Włoszech i w Algesiras w Hiszpanii obroty handlowe wzrosły czterokrotnie. Więc w świetle tego wszystkiego zastanawiam się często, dlaczego port nie jest wykorzystywany i rozwijany jako port. Tak ja widziałbym rewolucję kulturalną w Marsylii. Najpierw trzeba wejść do wody.

Cúc czekała na moją reakcję. Nie zareagowałem. Czekałem. Przyszedłem tu po to, żeby zrozumieć.

- Mówię to wszystko po to - podjęła pewnym teraz głosem, nie wahając się przy doborze słów - żeby pan wie dział, że zależy mi na tym, co sama zbudowałam. A zbudowałam to dla Mathiasa. Jest dla mnie wszystkim.

- Znał swojego ojca? - przerwałem jej.

Speszyla się. Włosy opadły jej na twarz jak ekran.

- Nie... dlaczego?

- Guitou też nie znał. Pod tym względem aż do piątkowej nocy byli sobie równi. I przypuszczam, że stosunki Mathiasa z Adrienem nie są najlepsze.

- Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

- Bo wczoraj usłyszałem podobną historię. O Guitou. I o facecie, który się uważa za jego ojca. I o ojcu, którego Guitou idealizuje. O jego współnictwie z matką...

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

- Nie? A przecież to proste. Pani mąż nie wiedział, że Mathias użyczył Guitou swojej kawalerki na weekend. Przypuszczam, że nie zwykł tego robić. Tylko pani o tym wiedziała. No i Hosin Draui, oczywiście. Który został wtajemniczony. Lepiej się porozumiewa z panią niż z pani mężem...

Zarzuciłem pławik trochę za daleko. Gwałtownie rozgniotła papierosa i wstała z miejsca. Gdyby mogła wyrzucić mnie za drzwi, zrobiłaby to. Ale byłem jej potrzebny. Stała mi czoło tak samo zuchwale jak wcześniej. Tak samo wyprostowana. Tak samo dumna.

- Cham z pana. Ale zgadza się. Z jedną różnicą: Hosin zaakceptował to... to porozumienie, jak pan mówi, tylko z przyjaźni do Mathiasa. Sądził, że ta dziewczyna, Naima, która nieraz do nas przychodziła, jest przyjaciółką Mathiasa. To znaczy... jego dziewczyną. Nie wiedział, że przyjdzie jakiś inny chłopak.

- No właśnie - przytaknąłem. (Jej oczy znieruchomiały. Czułem, że jest skrajnie napięta.) - Nie musiała mi pani opowiadać całego swojego życia, żeby to powiedzieć.

- Więc nic pan nie zrozumiał.

- Nie chcę nic rozumieć.

Uśmiechnęła się. Pierwszy raz. Do twarzy jej było w uśmiechu.

- „Nie chcę nic rozumieć.” To brzmi jak replika Bogarta!

- Dziękuję. Jednak wciąż jeszcze nie wiem, co ma pani zamiar zrobić.

- A co pan by zrobił na moim miejscu?

- Zadzwoń bym do męża. Potem na policję. Jak pani wcześniej mówiłem. Niech pani powie prawdę mężowi i wymyśli jakieś wiarygodne kłamstwo dla policji.

- Ma pan dla mnie jakąś propozycję?

- Setki. Tylko że ja nie umiem kłamać.

Nie widziałem, kiedy wymierzyła mi policzek. Zasłużony. Po co to powiedziałem? Za bardzo iskrzyło między nami. Niewątpliwie. Doszłoby do krótkiego spięcia. A tego nie chciałem. Wolałem odciąć prąd.

- Przepraszam.

- Daję pani dwie godziny. Potem komisarz Loubet zadzwoni do drzwi.

Wyszedłem, żeby się spotkać z Loubetem. Na dworze, poza jej polem przyciągania, ochłonąłem. Wziąłem się w garść. Cûc to zagadka. Za jej opowieścią kryje się jakaś inna opowieść. Czułem to. Kłamstwo nigdy nie jest niewinne.

Loubet obserwował mnie. Nasze oczy się spotkały.

- A ty co myślisz o tej sprawie?

- Nic. To ty jesteś gliniarzem, nie ja. Ty masz wszystkie karty.

- Nie pieprz, Montale. Zawsze miałeś swój punkt widzenia, nawet bez asów w rękawie. Wiem, że to przeżywasz cały czas.

- Tak na oko to uważam, że nie ma związku między zabójstwem Hosina Drauiego i śmiercią Guitou. Nie tak samo zginęli. Myślę, że Guitou po prostu w nieodpowiednim momencie znalazł się na miejscu i tyle. Musieli go zabić, ale to był błąd z ich strony.

- Nie wierzysz we włamanie, które się źle skończyło?

- Zawsze są wyjątki. Mam wrócić do roboty, szefie?

Uśmiechnął się.

- I ja tak sędzę.

Dwaj rasta boys przeszli przez taras, ciągnąc za sobą zapach shitu. Jeden z nich niedawno zagrał w filmie, ale „nie rozchorował się od tego”, jak to u nas mówią. Weszli do baru, stanęli przy kontuarze. Zapach haszu łaskotał mi nozdrza. Już od lat nie palę jointów, ale brak mi zapachu. Czasem szukam go, paląc camele.

- Co wiesz o Hosinie Drauim?

- Wszystko, co wiem, pozwala przypuszczać, że broda cze zjawili się tu specjalnie po to, żeby go zlikwidować. Po pierwsze, jest bliskim przyjacielem Azzedine'a Medżubiego, tego dramaturga, którego niedawno zamordowano. Po drugie, przez wiele lat należał do PAGS, partii socjalistycznej awangardy. Dziś aktywnie działa w FAIS, federacji



algierskich artystów, intelektualistów i naukowców. Wymieniano jego nazwisko w grupie przygotowującej zjazd FAIS, który ma się odbyć za miesiąc w Tuluzie.

Moim zdaniem, to superodważny facet. Pierwszy raz przyjechał do Francji w 1990 roku. Został przez rok, wiele razy kursując tam i z powrotem do Algierii. Wrócił tu pod koniec 1991, po tym, jak go potraktowano nożem na komisarzacie w Algierze. Od pewnego czasu jego nazwisko figurowało w czołowym pelotonie facetów do likwidacji. Jego dom był pod obserwacją dwadzieścia cztery godziny na dobę. Po przyjeździe do Francji mieszkał najpierw w Lille, potem w Paryżu. Z turystyczną wizą. Następnie wziął go pod opiekę marsylski komitet pomocy intelektualistom algierskim.

- Tam poznał Adriena Fabre'a.
- Spotkali się już w 1990, na sympozjum w Marsylii.
- A prawda. Mówił o tym w wywiadzie dla gazety.
- Spodobali się sobie. Fabre od lat działa na rzecz praw człowieka. To nie bez znaczenia.
- Nie wiedziałem, że jest aktywny politycznie.
- Tylko w Lidze Obrony Praw Człowieka. Poza tym nie jest zaangażowany. Nigdy nie był. Wyjąwszy rok 1968. Należał do ruchu 22 marca. Pewnie rzucał kamieniami brukowymi w gliniarzy. Jak każdy porządny student w tamtych latach.

Spojrzałem na niego. Loubet miał magisterium z prawa. Marzył, żeby zostać adwokatem. A został gliniarzem. „Wybrałem to, co najlepiej opłacane z kasy państwowej”, żartował sobie kiedyś. Oczywiście nie wziąłem tego na serio.

- Walczyłeś na barykadach maja?
- Przede wszystkim sypiałem z dziewczynami. Z całą masą dziewczyn - odparł z uśmiechem. - A ty?
- Nigdy nie studiowałem.
- A gdzie byłeś w 1968 roku?

- W Dżibuti. W Kolonialnej... Tak czy owak, to nie było dla nas.

- Dla nas to znaczy dla ciebie, Uga i Manu?

- To znaczy, że nie ma takiej rewolucji, którą by można wskazać palcem jako przykład. Nie wiedzieliśmy za wiele, ale to - owszem, tośmy wiedzieli. Pod brukiem nie leży żadna plaża\*, tylko władza. Najczystszy nawet ludzie, gdy znajdują się u steru, to im to wchodzi w krew. Władza koryumpuje idealistów. Wyłącznie. A myśmy byli zabijakami. Lubiliśmy łatwą forszę, dziewczyny i samochody. Słuchać Coltrane'a. Czytać wiersze. Przepłynąć Stary Port wte i wewte. Przyjemności i szpan. Niczego więcej nie żądaliśmy od życia. Nikogo nie krzywdziliśmy i dobrze nam z tym było.

- No i zostałeś gliniarzem.

- Nie miałem specjalnie wyboru. Uwierzyłem w to. Niczego nie żałuję. Ale dobrze wiesz, że... nie nadaję się do tej roboty.

Siedzieliśmy w milczeniu, póki Ange nie przyniósł nam kawy. Dwaj *rasta boys* usiedli na tarasie i przyglądali się Josemu, który kończył myć samochód. Patrzyli na niego jak na Marsjanina, lecz nie bez podziwu. Sicard spojrzął na zegar:

- Ej! Jose! Fajrant! Muszę zakręcić wodę! - zawołał, dopijając kieliszek.

- Miło tu - powiedział Loubet i wyciągnął przed siebie nogi.

Zapalił cygaretkę, z przyjemnością wciągnął dym w nozdrza. Lubię Loubeta. Nie jest łatwy, ale nie robi numerów. Co więcej, uwielbia jeść, a dla mnie to podstawowa rzecz. Nie mam najmniejszego zaufania do ludzi, którzy jedzą mało i byle co. Miałem straszną ochotę zagadnąć go o Cûc.

\* „Pod brukiem - plaża”, jedno z haseł studenckiej rewolty w maju 1968 roku.

Rozeznać się w tym, co on wie. Ale nie zrobiłem tego. Zadać Loubetowi pytanie to jak rzucić bumerang. Można być pewnym, że wróci i trzaśnie cię w pysk.

- Nie skończyłeś z Fabre'em. Powiedz, co jeszcze wiesz.

- Z mieszczańskiej rodziny. Na początku nic nie znaczył, a dziś jest jednym z najbardziej wziętych architektów. Nie tylko w Marsylii, ale i na całym wybrzeżu. Zwłaszcza w departamencie Var. Ma duże biuro. Specjalizuje się w wielkich projektach. Zarówno dla sektora prywatnego, jak i publicznego. Wielu radnych do niego się zgłasza.

O Cûc nie powiedział mi nic, czego bym nie wiedział. Co jeszcze mnie interesowało? Szczegóły. Żeby wyrobić sobie o niej bardziej precyzyjne zdanie. Mieć jej obiektywny obraz. Bez ładunku emocjonalnego. Myślałem o Cûc przez cały czas. Drażniło mnie to. Nie lubię być pod presją.

- Piękna kobieta - powiedział Loubet.

Spojrzał na mnie z uśmiechem bynajmniej nie niewinnym. Czyżby wiedział, że się z nią widziałem?

- Ach tak? - mruknąłem niedbale.

Znów się uśmiechnął, spojrzał na zegarek, zgasił cygaretkę i nachylił się do mnie.

- Chcę cię o coś poprosić, Montale.

- Wal.

- Tożsamość Guitou zachowajmy dla siebie. Jeszcze przez kilka dni.

Nie zdziwiła mnie jego prośba. „Pomyłkowo” zabity Guitou to kluczowa postać dla śledztwa. Gdy zostanie oficjalnie zidentyfikowany, zacznie się ruch. Ze strony sukinsynów, którzy to zrobili. Nie ulega wątpliwości.

- Co mam powiedzieć kuzynce?

- To twoja rodzina. Wymyśl coś.

- Łatwo powiedzieć.

Prawdę mówiąc, zatajenie tożsamości Guitou mnie też urządzało. Od rana odpychałem jak najdalej od siebie tę godzinę, kiedy stanę przed Żelu. Mogłem sobie wyobrazić,

jak zareaguje. To nie będzie przyjemny moment. Ani łatwy do zniesienia. Ona też będzie musiała przejść przez kostnicę, żeby zidentyfikować zwłoki. Załatwić formalności. Pogrzeb. Wiem, że w jednej chwili znajdzie się w innym świecie. W świecie bólu. Gdzie człowiek definitywnie się starzeje. Moja biedna, piękna kuzynka.

Loubet wstał, położył mi rękę na ramieniu. Mocny uścisk.

- Jeszcze jedno, Montale. Nie rób z tego swojej osobistej sprawy. Wiem, co czujesz. I dość dobrze cię znam. Więc nie zapominaj, że to ja prowadzę śledztwo. To ja jestem glina, nie ty. Jak się czegoś dowiesz, to dzwoń. Rachunek biorę na siebie. Ciao.

Patrzyłem za nim, jak szedł w górę rue Petit-Puits. Zdecydowanym krokiem, trzymając się prosto, z podniesioną głową. Obraz tego miasta.

Zapałem papierosa i przymknąłem oczy. Natychmiast poczułem łagodne ciepło słońca na twarzy. Jak dobrze. Tylko takie chwile się liczą. Okruchy szczęścia. Nie znajdziemy niczego poza tymi okruchami, które się uda wyłuskać to tu, to tam. Skończyły się marzenia na tym świecie. Nadziei też już nie ma. I można bez powodu i bezmyślnie zabijać szesnastoletnich chłopców. Na osiedlach, przy wyjściu z dancingu. Albo w czyimś mieszkaniu. Chłopców, którzy nigdy nie poznają ulotnej urody świata. Ani urody kobiet.

Nie, Guitou to nie jest moja osobista sprawa. To coś więcej. Jakby krew uderzyła mi do głowy. Chciało mi się płakać. „Jak ci się zbiera na łyzy, to jeśli się na czas pohamujesz, inni zapłaczą”, powiedziała mama i pogłaskała mnie po głowie. Miałem jakieś jedenaście, dwanaście lat. Leżała w łóżku, nie mogła się ruszać. Wiedziała, że wkrótce umrze. Ja chyba też wiedziałem. Nie zrozumiałem sensu jej słów. Byłem za młody. Śmierć, ból, cierpienie były niezrzeczywiste. Przez pierwszą część życia płakałem, przez

następną nie pozwalałem sobie na płacz. I dałem się wyruchać na całej linii. Bólowi i cierpieniu. Śmierci.

Od urodzenia byłem szurmo. Nauczyłem się przyjaźni i wierności w uliczkach Panier, na nadbrzeżu portu Joliette. I dumy z danego słowa na Digue du Large, grobli, skąd patrzyliśmy na statki wychodzące w morze. Wartości podstawowe. Rzeczy, których nie da się wytłumaczyć. Gdy ktoś był w tarapatach, to się z nim człowiek solidaryzował. Po prostu. Za dużo zatroskanych, cierpiących matek w tej całej sprawie. Za dużo smutnych, zdezorientowanych chłopaków, już zgubionych. I Guitou nie żyje.

Loubet mnie zrozumie. Nie mogę trzymać się z boku. Zresztą nie kazał mi przysięgać. Po prostu radził. Na pewno przekonany, że go nie posłucham. Z nadzieją, że wepchnę swój nos tam, gdzie on nie może. Urządzało mnie, że w to wierzył, bo tak właśnie miałem zamiar zrobić. Wtrącić się. Przez wierność wobec własnej młodości. Zanim się definitywnie zestarzeję. Bo wszyscy się starzejemy wskutek naszej obojętności, rezygnacji, tchórzostwa. I z rozpaczy, że o tym dobrze wiemy.

- Wszyscy się starzejemy - powiedziałem do Ange'a, wstając od stolika.

Nie skomentował.

## Rozdział dziesiąty, w którym trudno uwierzyć w zbiegi okoliczności

Miałem przed sobą dwie godziny, które dzieliły mnie od spotkania z Muradem. Wiedziałem, co zrobić. Spróbuję znaleźć Pawie. Zaniepokoił mnie jej liścik do Serge'a. Najwyraźniej męczy się dziewczyna, może nawet tonie. Ryzyko polega na tym, że teraz, kiedy Serge nie żyje, przyczepi się do mnie. Ale nie mogę jej zostawić samej. Pawia i Arno - uwierzyłem w tych dwoje.

Postanowiłem spróbować szczęścia pod ostatnim znany mi adresem: rue des Mauvestis, na drugim końcu Panier. Może Pawia mnie oświeci, jeśli idzie o to, czym się zajmował Serge. Skoro do niego napisała, znaczy, że się jeszcze widywali.

Dzielnica Panier przypominała wielki plac budowy. Prace renowacyjne szły pełną parą. Każdy mógł kupić sobie tutaj dom za pół darmo i w dodatku całkowicie go odnowić dzięki specjalnym kredytom, udzielanym przez miasto. Wyburzano domy, nawet całe pierzeje ulic, żeby utworzyć ładne placyki i dać trochę światła dzielnicy, która zawsze żyła w cieniu swoich wąskich uliczek.

Barwy żółci i ochry zaczynały dominować. Włoska Marsylia. Te same zapachy, te same śmiechy, te same krzyki co na ulicach Neapolu, Palermo czy Rzymu. A także ten

sam fatalizm w stosunku do życia. Panier pozostanie sobą. Nie da się zmienić historii tej dzielnicy, tak jak nie da się zmienić historii miasta. Od zawsze ludzie łądowali tutaj bez grosza w kieszeni. To była dzielnica wygnania: imigranci, prześladowani, bezdomni, marynarze. Dzielnica ubogich. Jak Grandes-Carmes za place d'Aix. Albo cours Belsunce i uliczki biegnące w górę w stronę dworca Saint-Charles.

Renowacja miała odebrać złą sławę tej dzielnicy. Ale marsylczycy nie przychodzili tu na spacer. Nawet ci, co się urodzili w tych uliczkach. Jak tylko uciūfali trochę grosza, przeprowadzali się na drugą stronę Starego Portu. Do Endoume czy Vauban. Do Castellane, Baille, Lodi. Albo jeszcze dalej, w stronę Saint-Tronc, Sainte-Marguerite, Le Cabot, La Valbarelle. A jeśli czasem zapędzali się na drugą stronę Canebiere, to tylko żeby pójść do centrum handlowego przy giełdzie. Dalej się nie zapuszczali. Dalej to nie było już ich miasto.

Wyrosłem na uliczkach, gdzie Żelu była „najładniejszą dziewczyną w dzielnicy”. Z Manu i Ugiem. Gdzie Lola, choć od nas młodsza, szybko stała się naszą wymarzoną królowną. Moje serce zostało po tej stronie Marsylii. W „kotle, gdzie warzy się najbardziej zdumiewający wywar życia”, jak mówił Gabriel Audisio, przyjaciel Brauquiera. To już się nie zmieni. Należę do wygnania. Trzy czwarte mieszkańców tej dzielnicy mogłoby powiedzieć to samo. Ale nie mówią. A w każdym razie nie dość głośno, jak na mój gust. A przecież być marsylczykiem to nic innego jak wiedzieć, że nieprzypadkowo człowiek urodził się właśnie tutaj.

„Jeśli człowiek jest odważny, to nigdzie nic nie straci. Gdziekolwiek pójdzie, może tylko zyskać”, powiedział mi kiedyś ojciec. I wygrał Marsylię jak los na loterii. Szczęśliwi przechadzaliśmy się w porcie, wśród ludzi mówiących o Jokohamie, Szanghaju czy Diego-Suarez. Ojciec trzymał mamę pod rękę, a drugą ręką ciągnął mnie. Nosilem jeszcze krótkie spodnie i rybacką czapczkę na głowie. Początek

lat sześćdziesiątych. Szczęśliwe lata. Wieczorami wszyscy wylęgali na spacer po nadbrzeżu. Liżąc lody pistacjowe. Albo gryząc migdały czy stone orzeszki. Albo - szczyt szczęścia! - rożek z jujubą.

Nawet później, kiedy nastaly trudniejsze czasy i musiał sprzedać swoją wspaniałą dauphine, nie zmienił zdania. Ile razy wątpilem w jego mentalność imigranta! Ciasną, bez ambicji - wydawało mi się. Potem przeczytałem Braci Karamazow Dostojewskiego. Pod koniec powieści Alosza mówi do Koli mniej więcej tak: „Wiesz, Kola, w przyszłości na pewno nieraz będziesz nieszczęśliwy. Ale błogostaw życie w całości.” Te słowa wryły mi się w serce, brzmiały tak, jakby je ojciec powiedział. Ale było za późno, żeby mu podziękować.

Wczepilem się palcami w siatkę otaczającą plac budowy przed Vieille-Charite. Na miejscu rue des Pistoles i rue Rodillat wielka dziura. Zaplanowano tutaj podziemny parking, ale jak zwykle, kiedy zaczyna się kopać w okolicach Starego Portu, natrafiono na szczątki starożytniej Fokai. Znajdowaliśmy się tutaj w samym sercu ufortyfikowanego miasta. Na każdym z trzech wzgórz - dziś Moulines, Carnes i Saint-Laurent - Grecy zbudowali świątynie. Obok ostatniej z nich mieścił się teatr, a na terenie dzisiejszego place de Lenche - agora.

Tak przynajmniej twierdził Hosin Draui we fragmencie wystąpienia na sympozjum o Marsylii, zamieszczonym w „Le Provençal” obok wywiadu z Adriennem Fabre'em. Draui powoływał się na pisma starożytnych, zwłaszcza greckiego geografą Strabona. Większości śladów owych budowli nigdy nie odnaleziono. Jednak wykopaliska rozpoczęte na place Jules-Verne w pobliżu Starego Portu zdają się potwierdzać tę tezę, komentował dziennik. Stamtąd do Vieille Charite - zdumiewający travelling na przestrzeni blisko



tysiąclecia. Hosin podkreślał wyjątkową rolę Marsylii - dawnej greckiej Massalii - przede wszystkim kwestionował wersję upadku miasta po podboju dokonanym przez Cezara.

Budowę parkingu natychmiast wstrzymano. Oczywiście przedsiębiorcy budowlani, prowadzący prace, zgrzytali zębami. Już nie pierwszy raz tak się zdarzyło w śródmieściu. Przy budowie centrum handlowego Centre Bourse negocjowano długie i zażarcie. Wtedy po raz pierwszy odsłoniły się antyczne mury, a mimo to dopuszczono do zbudowania obrzydliwego betonowego bunkra w zamian za zachowanie „Jardin des vestiges”, ogrodu ruin.

Nic ani nikt nie powstrzymał budowy parkingu na place General-de-Gaulle, dwa kroki od Starego Portu. Teraz tu, przed Vieille-Charite, toczyła się zapewne zacięta walka.

W wykopie krzątało się czworo młodych archeologów, trzech chłopaków i dziewczyna. Bez pośpiechu. Kilka starych, oczyszczonych z żółtej ziemi kamieni to fragmenty pierwotnych murów naszego miasta. Archeolodzy nie mieli już łopat ani kilofów. Sporządzali plany, ustalali pozycję każdego kamienia. Gotów jestem się założyć o moją piękną koszulę w kropki, że i tutaj beton weźmie górę. Tak samo jak gdzie indziej, gdy skończą rekonstrukcję na papierze, zaznaczą swoje przejście puszką coca-coli czy kronenburga. I wszystko zostanie stracone z wyjątkiem pamięci. Marsylczycy się tym zadowolą. Wiedzą, co leży pod ich stopami, i noszą w sercu historię swojego miasta. To ich sekret, którego żaden turysta nigdy im nie wykradnie.

Tu mieszkała Lola, zanim przeniosła się do mnie. Po tej stronie me des Pistoles, która nie została wyburzona. Zżartą liszajem fasadę jej domu do wysokości pierwszego piętra pokrywały graffiti. Dom zdawał się opuszczony. Wszystkie okiennice zamknięte. Podnosząc oczy ku oknom mieszkania Loli, natrafiłem wzrokiem na tablicę informacyjną, dotyczącą budowy parkingu. Zwłaszcza jedno nazwisko przykuło moją uwagę. Architekta. Adriana Fabre'a.

Zbieg okoliczności, powiedziałem sobie.

Tylko że ja nie wierzę w zbiegi okoliczności. Ani w przypadek. Nic z tych rzeczy. Wszystko, co się dzieje, ma jakiś sens, jakiś powód. O czym mogą ze sobą rozmawiać architekt budujący parking i miłośnik marsylijskiego dziedzictwa kulturowego, zastanawiałem się, idąc rue Petit-Puits. Czy rzeczywiście tak dobrze się rozumieci, jak Fabre utrzymywał?

Otworzył się kran z pytaniami. Ostatnie było nieuniknione: czy możliwe, by Fabre zabił Hosina, a potem Guitou, dlatego, że mały mógł go zidentyfikować? To by się trzymało kupy. I potwierdzało moje przeświadczenie, że Fabre nie wiedział o obecności chłopaka w jego domu. Jednak choć go nie znałem, nie mogłem sobie wyobrazić, by wpierw zamordował Hosina, a później Guitou. No nie, to się nie trzyma kupy. Chyba niełatwo jest nacisnąć na spust, a już zrobić to po raz drugi, żeby zastrzelić z bliska młodziutkiego chłopca, to w ogóle całkiem inna sprawa. Sprawa bandytów. Prawdziwych zawodowców.

Tak czy owak, musiało być ich kilku, skoro splądrowali cały dom. To oczywiste. Więc może Fabre tylko im otworzył drzwi? To już lepiej. Ale Fabre ma żelazne alibi, które Cûc i Mathias potwierdzą. Byli razem w Sanary. W nocy, dobrym samochodem, mógł, rzecz jasna, w niespełna dwie godziny dojechać do domu. Jeśli przyjąć, że tak było, to niby dlaczego miałby to zrobić? Dobre pytanie. Ale nie wyobrażam sobie, bym mógł je zadać Fabre'owi wprost. Zresztą żadnego pytania nie mogę mu zadać. Jak na razie.

Na skrzynce na listy nadal widniało nazwisko Pawii. Kamienica był równie zniszczona jak ta, w której mieszkała Lola. Ściany w zaciekach, smród kocich sików. Na pierwszym piętrze zapukałem do drzwi. Brak odpowiedzi. Zapukałem jeszcze raz i zawołałem:

- Pawia!

Przekręciłem gałkę. Drzwi się otworzyły. W powietrzu unosił się zapach hinduskiego kadzidła. Żadnego światła z zewnątrz. Kompletnie ciemności.

- Pawia - powiedziałem ciszej.

Znalazłem kontakt, ale żadna lampa nie rozbłysła. Wyciągnąłem zapalniczkę. Dojrzałem świeczkę na stole, zapaliłem ją i podniosłem. Uspokoilem się. Pawii nie było. Przez chwilę uwierzyłem w najgorsze. W jedynym pokoju, który zajmowała, stało w rozmaitych miejscach z tuzin świeczek. Leżący na ziemi materac był pościelony. Żadnych brudnych naczyń w zlewie czy na stoliku pod oknem. Nawet bardzo czysto. To mnie uspokoiło. Pawia może źle się ma, ale na oko jakoś się trzyma. Czystość i porządek u byłej narkomanki to raczej dobry znak.

Zdawałem sobie sprawę, że to tylko słowa. Pobożne życzenia. Kiedy było się ćpunem, depresja często wraca. Nie raz gorsza niż „wcześniej”. Pawia pierwszy raz przerwała ćpanie, kiedy spotkała Arna. Zakochała się w nim. Chodziła za nim. Całymi miesiącami. Zjawiała się wszędzie tam, gdzie się pokazał. Nawet w Balto nie mógł spokojnie napić się piwa. Któregoś dnia siedzieli tam całą paczką. Pawia też była, kleiła się do niego. Dopił piwo i powiedział do niej:

- Dziewczyny, która bierze, nie jebię nawet w gumie.

- Pomóż mi.

Tak mu odpowiedziała. Jakby byli tylko dwoje na świecie. Inni się nie liczyli.

- A chcesz? - spytał.

- Ciebie chcę.

- Okej.

Złapał ją za rękę i wyszli z baru. Przeprowadził ją do siebie, do baraku za cmentarzyskiem Saadny i zamknął na klucz. Miesiąc. Dwa miesiące. Zajmował się wyłącznie nią. Wszystko rzucił. Nawet motory. Nie puszczał jej ani na krok. Codziennie chodzili do calanques na Błękitnym

Wybrzeżu. Carry, Carro, Ensues, La Redonne. Zmuszał ją do marszu z jednej zatoczki do drugiej, do pływania. Pokochał Pawie. Nikt nigdy jej tak nie kochał.

Potem, po jego śmierci, Pawia wróciła do dragów. Bo życie to jedno wielkie draństwo.

Spotkaliśmy ją w Balto, Serge i ja. Siedziała nad kawą. Od dwóch tygodni nie mogliśmy jej znaleźć. Jakiś chłopak dał nam cynk: „Pierdoli się po piwnicach z byle kim. Za trzysta franków.” Cena marnego tripu.

Tamtego dnia w Balto jakby na nas czekała. Jak na ostatnią nadzieję. Ostatni zryw, nim pójdzie na dno. W ciągu dwóch tygodni postarzała się o co najmniej dwadzieścia lat. Rozwalona przy stoliku gapiała się w telewizor. Zapadnięte policzki, mętny wzrok. Włosy w strąkach. Brudne ciuchy.

- Co tu robisz? - zapytałem głupio.

- Oglądam telewizję, nie widzisz? Czekam na wiadomości. Podobno papież nie żyje.

- Wszędzie cię szukaliśmy - powiedział Serge.

- A tak? Mogę wziąć twój cukier? - spytała, kiedy Rico, właściciel baru, przyniósł Serge'owi kawę. - Nie jesteście szybcy. Zwłaszcza ty, glino. Wszyscy moglibyśmy zniknąć, a wy byście nie umieli nas znaleźć. Wszyscy, słyszysz? Powiesz mi, dlaczego mielibyście nas szukać, co?

- Przestań! - rzuciłem.

- Jak mi postawisz sandwicza. Od wczoraj nic nie jadłam. Ja nie jestem taka jak wy. Mnie nikt nie karmi. Was karmi państwo. Gdyby nas nie było, gdybyśmy nie rozrabiali, zdechlibyście z głodu.

Rico przyniósł kanapkę, Pawia umilkła. Serge się włączył.

- Proponujemy ci dwa wyjścia, Pawia. Albo z własnej woli idziesz do ośrodka Edouard-Toulouse na odwyk. Albo wsadzamy cię do szpitala, ja i Fabio. Z powodów medycznych. Znasz tę melodię. Zawsze znajdzie się dobry powód.

Dyskutowaliśmy o tym od wielu dni. Ja się do tego nie paliłem, ale nie miałem nic lepszego do zaproponowania. „Szpital psychiatryczny przez dziesiątki lat służył jako przytułek dla biednych starców - argumentował Serge. - Zgodzisz się ze mną? No, a dziś jest jedynym miejscem otwartym dla dwudziestoletnich kloszardów. Alkoholików, narkomanów, HIV-owców... To ich jedyne schronienie, rozumiesz?”

Pewnie że rozumiałem. Ale tym bardziej uświadamiałem sobie nasze ograniczenia. My obaj razem wzięci nie mogliśmy się równać z Amem. Nie mieliśmy dość miłości w sobie. Ani takiej gotowości do pomocy. Tysiące Pawii chodzi po świecie, a my jesteśmy jedynie funkcjonariuszami mniejszego zła.

Powiedziałem księżulkowi „amen”.

- Widziałam się z Lili - odezwała się Pawia z pełnymi ustami. - Spodziewa się dziecka. Ma wyjść za mąż. Strasznie zadowolona. (Oczy zabłyśły jej na chwilę, jak kiedyś. Można by pomyśleć, że to ona jest przyszłą matką.) Ma fantastycznego faceta. Z GTI. Przystojny, z wąsem. Podobny do...

Rozpłakała się głośno.

- Spokojnie, spokojnie. - Serge objął ją ramieniem. - Jesteśmy z tobą.

- Zgadza się - wyszeptala. - Bo wiem, że inaczej mi odbije. Arnowi by się to nie spodobało, prawda?

- Nie, nie spodobałoby mu się - powiedziałem.

Słowa, znów tylko słowa.

Od czasu tej rozmowy wielokrotnie była na odwyku. Gdy tylko pojawiała się w Balto z ponurą miną, Rico do nas dzwonił i przyjeżdżaliśmy po nią. Tak się z nim umówiliśmy. A Pawia zarejestrowała to w głowie. Deska ra-tunkowa. Wiedziałem, że to nie jest wyjście. Ale innego nie było. Tylko to. Kopsnąć ją do instytucji. Do szpitala. Zawsze.

Ostatni raz widziałem Pawie więcej niż rok temu. Pracowała w dziale warzywniczym w Geant Casino w Valentine na wschodnim przedmieściu. Wydawała się raczej w formie. Jakby było ciut lepiej. Zaproponowałem, żebyśmy się spotkali nazajutrz wieczorem, zaprosiłem ją na kielicha. Od razu się zgodziła. Bardzo chętnie. Czekałem na nią trzy godziny. Nie przyszła. Skoro nie ma ochoty mnie oglądać, powiedziałem sobie, znaczy, że wszystko gra. Ale nie wróciłem do supermarketu, żeby się upewnić. Byłem zajęty Lolą. Dniami i nocami.

Ze świeczką w ręku przeszukiwałem wszystkie kąty. Nagle poczułem, że nie jestem sam w pokoju. Odwróciłem się.

- Co tu robisz?

W drzwiach stał wysoki, mocno zbudowany Murzyn. W typie wykidajły z nocnego lokalu. Nie więcej niż dwudziestoletni. Miałem ochotę powiedzieć, że wszedłem, bo zobaczyłem światło, ale nie byłem pewien, czy się zna na żartach.

- Przyszedłem do Pawii.

- Kim jesteś?

- Jej znajomym. Mam na imię Fabio.

- Nigdy o tobie nie słyszałem.

- Jestem przyjacielem Serge'a.

Odrężył się. Może jest szansa, że przejdę przez próg na własnych nogach.

- Gliniarz.

- Myślałem, że ją zastanę - powiedziałem, nie podejmując tego wątku.

Dla wielu pozostanę gliniarzem do końca życia.

- Powtórz no nazwisko.

- Fabio. Fabio Montale.

- No tak, Montale. Tak o tobie mówi. Montale albo gliniarz. Jestem Randy. Sąsiad z góry.

Wyciągnął do mnie rękę. Wsadziłem dłoń w istne ko-  
wadło. Pięć palców jak tłuczki.

Szybko wyjaśniłem Randy'emu, że muszę się zobaczyć  
z Pawią. Chodzi o Serge'a. Ma kłopoty, powiedziałem, nie  
wchodząc w szczegóły.

- Nie wiem, gdzie ona jest. Nie wróciła na noc. Wieczo-  
rami przychodzi do nas na górę. Mieszkam z rodzicami,  
dwójką braci i z moją dziewczyną. Zajmujemy całe piętro.  
W tym domu nikt już nie mieszka poza nami, Pawią i panią  
Guttierrez z parteru. Ale tamta nie wychodzi z domu. Boi  
się eksmisji. Mówi, że chce tu umrzeć. Robimy dla niej  
zakupy. Pawia zawsze przychodzi powiedzieć dobranoc,  
nawet jak nie zostaje u nas na kolacji. Żebyśmy wiedzieli,  
że jest.

- Często się zdarza, że nie wraca na noc?

- Dawno tego nie było.

- A jak z nią jest?

Randy spojrzął na mnie, jakby mnie oceniał.

- Ona się stara, rozumiesz. Pomagamy jej, jak umiemy.  
Ale... parę dni temu znów dała sobie w żyłę, jeśli o to ci  
chodzi. Przestała pracować i tak dalej. Rosa, moja dziew-  
czyna, spała u niej zeszłej nocy. Potem trochę posprzątała.  
Nie najlepiej tu wyglądało.

- Rozumiem.

Poszczególne kawałki zaczęły się sklejać w całość. Kiep-  
ski ze mnie śledczy. Zawierzam intuicji, ale nie daję sobie  
czasu, żeby się zastanowić. W pośpiechu przeskoczyłem  
parę epizodów. Chronologia, rozkład zajęć, te rzeczy. Abe-  
cadło gliniarza.

- Masz telefon?

- Nie. Na końcu ulicy jest kabina. Działa bez karty. Pod-  
nosisz słuchawkę i szafa gra. Nawet do Stanów!

- Dziękuję, Randy. Pokażę się jeszcze.

- Co powiedzieć Pawii, jak wróci?

- Żeby się nie ruszała z domu. Albo lepiej, żeby siedziała u was.

Ale jeśli się nie myliłem, to było ostatnie miejsce, gdzie by Pawia wróciła. Nawet zaćpana na amen. Bliskość śmierci wydłuża nadzieję na życie.



## Rozdział jedenasty, w którym nie ma nic ładnego do oglądania

Murad przerwał milczenie.

- Mam nadzieję, że jest w domu.

Jedno lakoniczne zdanie.

Skręciłem właśnie w rue de Lyon, żeby dojechać do Saint-Henri, gdzie mieszkał dziadek, przecinając dzielnicę północne. Saint-Henri leży tuż przed Estaque. Jeszcze dwadzieścia lat temu było to małe miasteczko, skąd roztaczał się widok na przedproże portu północnego i basen Mirabeau.

- Ja też - burknąłem z lekka zdenerwowany.

Myśli kłębiły mi się w głowie. Sieczka! Murad nie otworzył ust, od kiedy wsiadł do samochodu. Próbowałem go wypytać o Naime, o Guitou. Odpowiadał monosylabami: „tak”, „nie”, „nie wiem”. Początkowo myślałem, że się dąsa. Ale nie, był niespokojny. Rozumiałem to, bo ja też.

- Tak, ja też - powiedziałem łagodniejszym tonem.  
- Mam nadzieję, że jest w domu.

Zerknął na mnie kątem oka. Jakby chciał dać mi znak, że wszystko w porządku, nadajemy na tych samych falach. Mamy nadzieję, lecz nie pewność. I dostajemy wysypki od tej niewiedzy. Miły dzieciak, słowo daje.

Nastawiłem taśmę. Lili Boniche, algierski piosenkarz z lat trzydziestych. Mieszał gatunki. Cały Maghreb tańczył

jego rumbi, paso dobre i tanga. Znalazłem całą kolekcję jego płyt na pchlim targu w Saint-Lazare. Lubiliśmy tam chodzić z Lolą w niedzielę, koło jedenastej. Potem szliśmy na aperitif do baru w Estaque, a kończyliśmy wycieczkę w knajpie Larriego, przed półmiskiem owoców morza.

Tamtej niedzieli kupiła sobie piękną długą spódnicę, czerwoną w białe kropki. Cygańską. Wieczorem zaprezentowała mi próbę flamenco. Do muzyki Los Chunguitos. Apasionadamente. Gorąca płyta. Taka jak tamta noc.

Lili Boniche towarzyszył nam później, póki nas sen nie zmorzył. Na trzeciej płycie odkryliśmy Ana Fil Hub. Arabską wersję szlagieru Mon histoire, c'est l'histoire d'un amour. Ilekroć gwizdałem, ta melodia sama mi się narzucała. Ta oraz Besame Mucho. Piosenki, które stale nuciła mama. Miałem je w wielu interpretacjach. Ta była równie piękna jak Meksykanki Tish Hinojosa. I sto razy lepsza niż wersja Glorii Lasso. Lili Boniche dawał z siebie wszystko. Nie można było tego lepiej zaśpiewać.

Pogwizdując melodię, myślałem o tym, co mi powiedział Rico, szef baru Balto. Sprąbym się po pysku za to, że przecież wyraźnie słyszałem, co mi mówił. Od początku tygodnia Pawia codziennie zjawiała się po południu w Balto. Zamawiała piwo i kanapkę z szynką, ale ledwie dziobała sandwicza. Wyglądała jak w swoje marnie dni, powiedział Rico. Więc zadzwonił po Serge'a. Do Saadny. Ale Serge się nie pojawił. Ani nazajutrz, ani następnego dnia.

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? - spytałem.

- Nie wiem, jak cię złapać, Fabio. Nie ma cię w książce telefonicznej.

Mam zastrzeżony numer. Z Minitelem\* człowiek ryzykuje, że pięćdziesiąt milionów palantów będzie do niego dzwonić. Cenię sobie spokój, a ci kumple, których jeszcze

\* Francuski system telekomunikacyjny.

mam, znają mój numer telefonu. Zapomniałem, że bywają sytuacje wyjątkowe.

Serge zjawił się wczoraj. Na skutek listu Pawii, to pewne.

- O której?

- Około wpół do trzeciej. Wyglądał, jakby coś go gryzło.

Prawie się nie odzywał. Nie był w nastroju. Zamówili kawę. Zostali - ja wiem? - piętnaście, dwadzieścia minut. Rozmawiali cicho, ale miałem wrażenie, że Serge opieprza Pawie. Siedziała ze spuszczoną głową, jak dziecko. Potem zobaczyłem, że Serge ciężko wzdycha. Jakby był kompletnie wypompowany. Wstał, wziął dziewczynę za rękę i wyszli.

To dlatego byłem taki zły na siebie. Że ani przez chwilę nie pomyślałem o samochodzie Serge'a. Jakżeby inaczej przyjechał do Bigotte? Trzeba być imigrantem, żeby tam jechać autobusem. A i to nie wiadomo! Nie potrafiłem sobie nawet w tym momencie przypomnieć, czy autobus wjeżdża na górę, czy też trzeba zasuwać z dołu na piechotę.

- Nadal ma tego starego forda fiestę?

- Mhm.

Nie pamiętam, żebym go widział na parkingu. Ale w ogóle mało co pamiętam. Chyba że rękę ze spluwą. I strzały. I Serge'a, który padł, nie pożegnawszy się z życiem.

Nie pożegnawszy się nawet z Pawią.

Bo pewnie musiała tam być w samochodzie. Niedaleko. I ode mnie niedaleko. Na pewno wszystko widziała. Razem wyszli z Balto i pojechali do Bigotte, gdzie Serge miał się z kimś spotkać. Pewnie jej obiecał, że ją zawiezie do szpitala. Później. I zostawił ją w samochodzie.

Grzecznie na niego czekała. Uspokojona, że wreszcie się zjawił. Jak zwykle. Żeby ją zaprowadzić do szpitala. Żeby raz jeszcze pomóc jej zrobić krok ku nadziei. Kolejny krok. Może decydujący? Na pewno decydujący! Tym razem się wydobędzie. Pewnie w to wierzyła. Tak, w samochodzie Pawia wierzyła w to na mur-beton. A potem wróci życie. Ludzie. Praca. Miłość. Miłość, która ją uleczy z Arna.

I z całego draństwa życia. Zjawi się jakiś piękny chłopak z pięknym samochodem. Będzie miał trochę forsy. Zrobi jej piękne dziecko.

A później już nie było później.

Serge nie żył. I Pawia związała. Na piechotę? Samochodem? Nie, nie miała prawa jazdy. Chyba że miała. Może zrobiła prawo jazdy, od kiedy jej nie widziałem. Cholera jasna! Czy ten pieprzony samochód jeszcze tam stoi? Gdzie jest teraz Pawia?

Głos Murada uciął moje rozważania. Zaskoczył mnie jego ton. Smutny.

- Dawniej ojciec też tego słuchał. Mama bardzo lubiła.
- Bo co? Przestał słuchać?
- Reduan mówi, że to grzech.
- Co grzech? Lili Boniche?
- Nie, muzyka. Że muzyka idzie razem z alkoholem, papierosami, dziewczynami.
- Ale przecież ty słuchasz rapu?
- Jak go nie ma w domu.

Dobry Boże, zlituj się nade mną,  
Niechaj zobaczę tych, których kocham,  
Niechaj zapomnę o smutku...

Lili Boniche śpiewał teraz Alger, Alger. Murad umilkł.

Okrzyżylem kościół Saint-Henri.

- Na prawo - powiedział Murad. - A potem pierwsza w lewo.

Dziadek mieszkał w impasse des Roses. Zaulek parterowych i jednopiętrowych domków. Wszystkie zwrócone ku morzu. Zgasiłem motor.

- Powiedz, nie widziałeś na parkingu starego forda fiesty? Niebieski. Szaroniebieski.
- Chyba nie. Bo co?
- Nic. Później się zobaczy.

Murad zadzwonił, raz, dwa, trzy razy. Drzwi się nie otworzyły.

- Może gdzieś wyszedł - powiedziałem.

- Wychodzi tylko dwa razy w tygodniu. Na targ.

Patrzył na mnie z lękiem w oczach.

- Znasz sąsiadów?

Wzruszył ramionami.

- On chyba zna. Ja...

Wyszedłem na ulicę, zadzwoniłem do sąsiedniego domu. Kilka krótkich dzwonek. Otworzyło się okno, nie drzwi. Zza kraty wysunęła się głowa kobiety, cała w wałkach.

- O co chodzi?

- Dzień dobry pani - powiedziałem, podchodząc do okna. - Przyszedłem do pana Hamudiego. Razem z jego wnuczką. Ale nikt nie otwiera.

- Dziwne. W południe rozmawialiśmy w ogródku. Po-tem zawsze sobie robi małą sjęstę. Więc powinien być w domu.

- Może jest chory?

- Ależ skąd.... Świetnie się ma. Zaczekajcie, otworzę wam.

Kilka sekund później wpuściła nas do domu. Włożyła chustkę na głowę, żeby ukryć wałki. Strasznie gruba. Szła wolno, ciężko dysząc, jakby przed chwilą wbiegła na szóste piętro.

- Nikogo nie wpuszczam bez pytania. Wszędzie te narkotyki i tyle teraz Arabów... Napadają człowieka nawet we własnym domu.

- Ma pani rację. Trzeba być ostrożnym - powiedziałem, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

Weszliśmy za nią do ogródka. Oddzielony był od ogródka dziadka murkiem nie wyższym niż na metr.

- Halo! Panie Hamudi! Ma pan gości! - zawołała.

- Mogę przejść na drugą stronę?

- Proszę bardzo. O Matko święta! Byle mu się nic złego nie przytrafiło!

- Zaczekaj na mnie - powiedziałem Muradowi.

Bez trudu przelazłem na drugą stronę. Identyczny, tak samo dobrze utrzymany ogródek. Ledwie wstąpiłem na schodki, dotoczył do mnie Murad. Pierwszy wszedł do salonu.

Dziadek Hamudi leżał na ziemi z okrwawioną głową. Ktoś go paskudnie skatował. Sukinsyny przed wyjściem wepchnęły mu w usta jego odznaczenie wojskowe. Wyjąłem dziadkowi medal z ust, złapałem go za rękę, żeby zbadać puls. Jeszcze oddychał. Stracił tylko przytomność. Cud. A może napastnicy nie chcieli go zabić?

- Otwórz pani drzwi - powiedziałem do Murada. (Ukląkł na ziemi przy dziadku.) Zadzwoń do matki. Powiedz, żeby przyjechała. Niech weźmie taksówkę.

Nie ruszył się. Sparaliżowało go. Wreszcie podniósł się z wolna.

- Umrze?

- Nie, skąd. Jazda! Ruszaj się!

Weszła sąsiadka. Chociaż gruba, przemieszczała się szybko.

- Matko przenajświętsza! - westchnęła głośno.

- Nic pani nie słyszała? (Potrzęsnęła przecząco głową.) Żadnych krzyków?

Raz jeszcze pokręciła głową. Jakby jej głos odebrało. Stała jak wryta, nerwowo zacierając ręce. Znów zbadałem puls dziadka, obmacałem go. W rogu pokoju stała kanapa. Wziąłem dziadka na ręce. Ważył nie więcej niż worek suchych liści. Ułożyłem go na kanapie. Pod głowę wsunąłem mu poduszkę.

- Proszę przynieść miskę i rękawicę do mycia. I kostki lodu. I może zrobi pani coś gorącego do picia. Kawę albo herbatę.

Gdy wrócił Murad, umyłem dziadkowi twarz. Krew mu poszła z nosa. Miał rozbity górną wargę. Posiniaczoną twarz. Żadnych złamań, może z wyjątkiem nosa. Najwyraźniej bili go tylko w twarz.

- Mama zaraz przyjedzie.

Murad usiadł przy dziadku i wziął go za rękę.

- Wyjdzie z tego - powiedziałem. - Mogło być gorzej.

- W przedpokoju leży teczka Naimy - wymamrotał Murad.

A potem głośno się rozplakał.

Co za kurewstwo, powiedziałem sobie. Cholerny świat.

Zależało mi tylko na tym, żeby dziadek doszedł do siebie i opowiedział, co się stało. Nie wyglądało to na dziki rozbój. Robota profesjonalistów. U dziadka mieszkała Naima. Noc z piątku na sobotę spędziła z Guitou. Guitou nie żyje. Hosin Draui także.

To pewne, że Naima coś widziała i że jest w niebezpieczeństwie. Gdziekolwiek się znajduje.

O dziadka można się było nie martwić. Wezwany przeze mnie lekarz potwierdził, że nie ma żadnego złamania. Nawet nos jest cały. Pobity potrzebuje odpoczynku i tyle. Doktor wypisał receptę i poradził matce Murada, żeby wniosła skargę. Powiedziała, że na pewno to zrobi. Marinette, sąsiadka, zaproponowała, że pójdzie razem z nią. „Żeby człowieka mordowali we własnym domu, no nie, tak nie może być.” Tym razem nie wspominała o Arabach, co to napadają na ludzi. Nie pasowało do sytuacji. Dzielną kobitą.

Podczas gdy dziadek pił herbatę, ja wypilem piwo, którym poczęstowała mnie Marinette. Szybko. Żeby ochłoniąć i nadać moim myślom właściwą temperaturę. Marinette poszła do siebie. Będzie w domu, gdybyśmy jej potrzebowali.

Przysunąłem krzesło do łóżka.

- Czuje się pan na siłach mówić? - spytałem dziadka.

Kiwnął głową, że tak. Wargi miał spuchnięte. Jego twarz stała się fioletowa, miejscami krwistoczerwona. Powiedział, że mężczyzna, który go uderzył, miał wielki sygnet na prawej ręce. I tylko tą ręką go bił.

Twarz dziadka wydawała się znajoma. Szczupła, o wystających kościach policzkowych. Grube wargi, siwiejące, kręcone włosy. Tak pewnie wyglądałby dziś mój ojciec. W młodości, sądząc po zdjęciach, przypominał Tunezyjczyka. „Jesteśmy z tego samego brzucha - mówił. - Z basenu Morza Śródziemnego. No więc siłą rzeczy wszyscy jesteśmy trochę Arabami” - odpowiadał, kiedy żartowano sobie z jego wyglądu.

- Zabrali Naimeę?

Pokręcił głową przecząco.

- Weszła do domu, kiedy mnie bili. Wróciła ze szkoły. Zaskoczyła ich. Krzyknęła i wybiegła. Jeden pobiegł za nią. A ten drugi uderzył mnie z całej siły w nos. I wtedy poczułem, że mdleję.

Na tych uliczkach samochód nie miał żadnych szans dogonić biegnącej dziewczyny. Pewnie udało jej się uciec. Na jak długo? I gdzie się mogła ukryć? Kolejne pytanie.

- Było ich dwóch?

- Tak, w mieszkaniu tak. Jeden trzymał mnie na krześle, żebym się nie ruszał. Drugi zadawał pytania. Ten z sygnetem. Wpakował mi medal do ust. „Jak zaczniesz krzyczeć, to go połkniesz”, powiedział. Ale nie krzychałem. Nic nie powiedziałem. Wstyd mi było. Za nich, proszę pana. Za ten świat. Chyba dość się nażyłem.

- Nie mów tak - powiedział z płaczem Murad.

- Pan Bóg może mnie do siebie zabrać nawet zaraz. W naszych czasach nie ma już nic ładnego do oglądania na tej ziemi.

- O co pytali?



- Czy Naima codziennie tu nocuje. Gdzie chodzi do szkoły. Czy wiem, gdzie była w piątek wieczór. Czy słyszałem o niej jakimś Guitou... Tak czy owak, nic nie wiem. Poza tym, że mieszka tu ze mną. Nie wiem nawet, gdzie jest jej szkoła.

Moje obawy się potwierdziły.

- Nic panu nie opowiadała?

Stary potrząsnął głową.

- Kiedy wróciła do domu w sobotę...

- O której?

- Koło siódmej. Właśnie wstałem. Zdziwiłem się. Uprzedzała, że wróci dopiero w niedzielę wieczór. Była rozczochrana. Miała błędny wzrok. Uciekający. Zamknęła się w swoim pokoju na górze. Przez cały dzień nie wyszła. Wieczorem zapukałem do drzwi, żeby przysłała coś zjeść. Nie chciała. „Złe się czuję”, powiedziała. Potem zeszła na dół. Żeby iść zadzwonić. Spytałem, co się dzieje. „Zostaw mnie w spokoju, bardzo cię proszę!”, usłyszałem. Wróciła kwadrans później. Poszła do siebie na górę, bez słowa.

Nazajutrz wstała późno. Zeszła na śniadanie. Była bardzo miła. Przeprosiła za wczoraj. Powiedziała, że jej smutno z powodu pewnego chłopca. Że go bardzo lubiła, ale że to koniec. I że teraz już będzie wszystko dobrze. Pocałowała mnie w czoło. Oczywiście nie uwierzyłem w ani jedno słowo. Widać było po oczach, że marnie się czuje. Że nie mówi prawdy. Nie chciałem nalegać, rozumie pan. Czuję, że sprawa jest poważna. Myślałem, że serce ją boli. Nieudana miłość, te rzeczy. W jej wieku takie ma się zmartwienia. Zaproponowałem po prostu: „Możesz mi wszystko powiedzieć, jak zechcesz, zgoda?” Uśmiechnęła się ze smutkiem. „Miły jesteś, dziadku. Ale nie mam ochoty gadać.” Była na skraju łez. Jeszcze raz mnie pocałowała i wróciła do swego pokoju.

Wieczorem zeszła, żeby zatelefonować. Nie było jej dłużej niż poprzedniego dnia. Dużo dłużej. Nawet się zaniepo-

koilem, że jeszcze jej nie ma. Wyszedłem przed dom i czekałem na nią na chodniku. Gdy wróciła, niby coś tam zjadła i poszła się położyć. W poniedziałek rano wyszła do szkoły i...

- Ona już nie chodzi do szkoły - przerwał Murad.

Spojrzeliliśmy na niego wszyscy troje.

- Jak to nie chodzi? - zawołała matka.

- Nie chce. Powiedziała, że jej za smutno.

- Kiedy ją widziałeś? - spytałem.

- W poniedziałek. Przed bramą gimnazjum. Czekala na mnie. Mieliśmy iść razem na koncert Ahenatona z zespołu IAM. Miał występować solo.

- Co ci powiedziała?

- Nic... To, co już panu wcześniej mówiłem. Że z Guitou koniec. Rzucił ją. I że jej smutno.

- Nie chciała iść na koncert?

- Musiała się zobaczyć z kumplem Guitou. Powiedziała, że to pilne. Z powodu Guitou i tak dalej. Pomyślałem sobie, że chyba to jednak nie koniec między nimi. Że jej na nim zależy.

- Inie poszła do szkoły?

- Nie. Powiedziała, że przez kilka dni nie pójdzie. Z powodu tego wszystkiego. Że nie jest w stanie słuchać nauczycieli.

- Znasz tego kumpla?

Wzruszył ramionami. To musiał być Mathias, nikt inny. Wyobraziłem sobie najgorsze. Powiedzmy, że zobaczyła Adriana Fabre'a. I opowiedziała o wszystkim Mathiasowi. W jakim stanie muszą być oboje! Co potem zrobili? Komu o tym powiedzieli? Cûc?

Zwróciłem się do dziadka.

- Zawsze pan otwiera, kiedy ktoś dzwoni do drzwi?

- Nie. Najpierw wyglądam przez okno. Jak wszyscy tutaj.

- Więc dlaczego pan otworzył?

- Nie wiem.

Wstałem, Chętnie wypiłbym jeszcze jedno piwo. Ale Marinette nie było. Za to dziadek się domyślił.

- Mam piwo w lodówce. Piję sobie czasem w ogrodzie. Przyjemnie jest. Murad, przynieś panu piwo.

- Zostaw. Sam znajdę - powiedziałem.

Czułem potrzebę ruchu. W kuchni napiłem się piwa prosto z butelki. Potężny haust. Trochę mi pomogło. Wziąłem szklanke, nalałem piwa i wróciłem do pokoju. Przyjrzałem się im trojgu. Nikt nie ruszył się z miejsca.

- Słuchajcie, Naima jest w niebezpieczeństwie. Śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ludzie, którzy tu byli, są zdolni do wszystkiego. Zabili już dwie osoby. Guitou nie miał nawet siedemnastu lat. Rozumiecie? Więc pytam, dlaczego pan otworzył tym ludziom drzwi?

- Reduan... - zaczął dziadek.

- To moja wina - przerwała mu matka Murada.

Patrzyła mi prosto w twarz. Piękne miała oczy. I można w nich było wyczytać cały ból świata. Zamiast tej iskierki dumy błyszczącej w oczach matek, kiedy mówią o swoich dzieciach.

- Pani wina?

- Wszystko powiedziałam Reduanowi. Wtedy, po pańskiej wizycie. Wiedział, że pan u nas był. On zawsze wie o wszystkim, co się dzieje. Mam wrażenie, że stale jesteśmy pilnowani. Chciał, żebym mu powiedziała, kim pan jest i po co pan przyszedł. I czy to w związku z tym drugim panem, który pytał o niego po południu...

Poczułem, że jestem bliski olśnienia.

- Jakim drugim, pani Hamudi?

Za dużo powiedziała. Czułem, że się boi.

- No, drugim.

- Tym, co go zastrzelili. Pana kolegą podobno. Rozpytywał o Reduana.

Stop czy jeszcze? - zastanawiałem się. Na ekranie w mojej głowie wyświetlił się napis Game over. Co to ja mówiłem wczoraj rano Fonfonowi? „Póki stawiasz, żyjesz.” Odłożyłem rozgrywkę na później. Żeby zobaczyć, co będzie.

## Rozdział dwunasty, w którym w nocy mijają nas statki widma

Cała trójka patrzyła na mnie w milczeniu. Wodziłem oczami od jednego do drugiego.

Gdzie może być Naima? A Pawia?

Obie widziały śmierć na własne oczy, na żywo, nie na ekranie, i obie uciekły. Ulotniły się. Znikły.

Dziadkowi oczy się zamykały. Środki uspokajające poskutkowały. Walczył ze snem. A jednak to on zdobył się na wysiłek i odezwał się pierwszy. Bo spieszno mu było skończyć z tym jak najprędzej i położyć się wreszcie spać.

- Myślałem, że ten, z którym rozmawiałem przez okno, to kolega Reduana. Chciał się zobaczyć z Naimą. Powiedziałem, że jeszcze nie wróciła. Spytał, czy może na nią poczekać u mnie, że ma czas. Nie wyglądał na... Robił dobre wrażenie. Elegancko ubrany, w garniturze i krawacie. Więc mu otworzyłem.

- Reduan ma takich kolegów?

- Przyszedł kiedyś do mnie z dwoma kolegami tak samo dobrze ubranymi. Starsi od niego. Jeden ma, zdaje się,ypożyczalnię samochodów, a drugi sklep w okolicy place d'Aix. Klękneli przede mną. Pocałowali mnie w rękę. Chcieli, żebym przyszedł na zebranie religijne. Żebym przemówił do naszej młodzieży. Powiedzieli, że to pomysł Reduana.

Że jak ja będę mówi! o religii, to młodzi mnie posłuchają. Walczyłem za Francję. Jestem bohaterem. Więc mogę im wytłumaczyć, że Francja ich nie ocali. Przeciwnie, Francja odbiera im godność. Bo narkotyki, alkohol i tak dalej... Nawet ta muzyka, której dzisiaj wszyscy słuchają...

- Rap - uściślił Murad.

- No tak, strasznie głośna ta muzyka. Pan to lubi?

- Nie żebym przepadał. Ale im to pasuje. Jak dzinsy.

- No tak, w sam raz na ich wiek. Za moich czasów...

- On słucha starych arabskich piosenek - powiedział Murad, pokazując mnie palcem. - Jak się nazywa ten pański pieśniarz?

- Lili Boniche.

- O! - uśmiechnął się dziadek.

Zamyślił się i rozmarzył. Pewnie powędrował tam, gdzie było przyjemnie żyć. Potem zwrócił oczy ku mnie.

- Co to ja mówiłem? A tak. Koledzy Reduana uważają, że trzeba ratować nasze dzieci. Czas, żeby młodzi wrócili do Boga. Żeby nauczyli się na nowo naszych wartości. Żeby szanowali tradycję. Dlatego chcieli, żebym przemówił do młodych.

- Nie trzeba zarzucać Reduanowi, że się zwraca do Boga - powiedziała matka Murada. - To jego droga. (Spojrzała na mnie.) Narobił dużo głupstw wcześniej. Lepiej, że się modli, niżby miał się dalej włączyć nie wiadomo z kim.

- Nie o to mi chodzi - powiedział dziadek. - Dobrze wiesz. Z niczym nie należy przesadzać. Z alkoholem czy z religią, to wychodzi na jedno. Co za dużo, to niezdrowo. A teraz ci, którzy najwięcej rozrabiali, chcą narzucić innym swój sposób widzenia i życia. Nie mam na myśli Reduana, chociaż ostatnio...

Zaczerpnął powietrza i ciągnął dalej:

- Gdybyśmy byli w kraju, zabiłby twoją córkę. Tak tam teraz jest. Czytałem w gazetach. Gwałcą nasze dziewczyny, gdy tylko zaczynają śpiewać. Gdy tylko są szczęśliwe. Nie

mówię, że Reduan zrobiłby coś takiego, ale inni... To wcale nie jest islam. Przecież Naima to dobre dziecko. Tak jak on. (Pokazał Murada.) Nigdy w niczym nie sprzeciwiałem się Bogu. Ja tylko mówię, że człowiek żyje podług swojego serca, a nie religii. (Zwrócił oczy na mnie.) Oświadczyłem to tym panom. I powtórzyłem jeszcze raz Reduanowi, kiedy tu rano przyszedł.

- Nie powiedziałam panu prawdy, kiedy pan do mnie przyszedł - podjęła matka Murada. - Wieczorem Reduan kazał mi się nie wtrącać. Powiedział, że edukacja jego siostry jest sprawą mężczyzn. Jego sprawą. Niech pan sobie wyobrazi, że moja córka...

- Groził jej - wtrącił Murad.

- Bałam się o Naimę. Reduan zerwał się o świcie i wybiegł z domu jak wariat. Chciał ją sprowadzić do domu. Ta historia z młodym człowiekiem jakby przepełniła czarę. Reduan powiedział, że ma tego dość. Że wstydzi się za swoją siostrę. Że Naima zasługuje na karę. Och, sama już nie wiem...

Ukryła twarz w dłoniach. Była przybita, rozdarta między swoją rolę matki a wpojonym jej od dziecka posłuszeństwem wobec mężczyzn.

- I co było z Reduanem? - spytał dziadka.

- Nic. Naima nie wróciła na noc do domu. Bardzo byłem niespokojny. Pierwszy raz jej się to zdarzyło. Że nic mi nie powiedziała, nie zawiadomiła. W piątek uprzedziła mnie, że spędzi weekend u przyjaciół. Na wszelki wypadek zostawiła telefon, żeby do niej dzwonić, jakby co. Zawsze miałem do niej zaufanie.

- Gdzie mogła pójść? Ma pan jakiś pomysł?

Sam miałem na to pomysł, ale chciałem go usłyszeć z innych ust.

- Zadzwoiła dzisiaj rano, żebym się nie martwił. Została w Aix. U rodziny kolegi z liceum. Tego, zdaje się, z którym była na wakacjach.

- Mathiasa? Słyszał pan to imię?
  - Może i tak brzmiało. Mathias?
  - Znam go! - zawołał Murad. - Supersympatyczny. Wietnamczyk.
  - Wietnamczyk? - zdziwiła się matka Murada.
- Była zdezorientowana. Nie nadążała za życiem swoich dzieci. Reduan i Naima wymknęły jej się z rąk. Murad na pewno też.
- Ma matkę Wietnamkę - uściślił Murad.
  - Widywałeś go? - spytałem.
  - Trochę. Jakiś czas chodzili ze sobą. Zabierali mnie do kina.
  - Biedna Naima - powiedział dziadek. - Ma zmartwienie. I dlatego była nie taka jak zawsze. Powiniennem ją zrozumieć. (Zamyślił się przez chwilę.) Skąd mogłem wiedzieć? Taki dramat. Dlaczego... Dlaczego zabili tego młodego człowieka?
  - Nie wiem. Tylko Naima mogłaby nam opowiedzieć, co się stało.
  - Życie jest straszne.
  - A jak było z Reduanem dziś rano?
  - Powiedziałem mu, że jego siostra wyszła do szkoły wcześniej niż zwykle. Nie uwierzył mi oczywiście. Tak czy owak, w nic by nie uwierzył. Wierzy tylko w to, w co chce wierzyć. I co chce słyszeć. Chciał pójść do pokoju swojej siostry, żeby się upewnić, czy rzeczywiście jej nie ma. Albo sprawdzić, czy spała w domu. Ale mu nie pozwoliłem. Więc zaczął na mnie krzyczeć. Zwróciłem mu uwagę, że islam naucza szacunku dla starszych. Pierwsza reguła. „Nie mam dla ciebie szacunku, ty bezbożniku! Jesteś gorszy niż Francuzi!” - wrzeszczał. Wziąłem laskę i pogroziłem mu. Jeszcze potrafię ci dać nauczkę, powiedziałem. I przegoniłem go.
  - I mimo to otworzył pan drzwi tamtemu facetowi?
  - Myślałem, że jak z nim pogadam, to może przemówi Reduanowi do rozumu.



- Widział go już pan z Reduanem?
- Nie.
- Algierczyk?
- Nie. Z daleka, w tych czarnych okularach, wyglądał na Tunezyjczyka. Nie budził podejrzeń, więc...
- To nie był Arab?
- Nie wiem. Ale nie mówił po arabsku.
- Mój ojciec był Włochem, ale brano go za Tunezyjczyka, jak był młody.
- Więc może to był Włoch. Ale gdzieś z południa. Z Neapolu. Albo Sycylijczyk. Możliwe.
- A fizycznie jak wyglądał?
- W pańskim wieku mniej więcej. Przystojny. Trochę niższy od pana i cięższy. Nie gruby, ale mocniej zbudowany. Siwiejące skronie. Szpakowate wąsy... No i ten duży złoty sygnet na palcu.
- Więc na pewno Włoch - powiedziałem z uśmiechem.
- Albo Korsykanin.
- Nie, nie Korsykanin. Ten drugi - tak. Ten, który na mnie naskoczył, kiedy otworzyłem drzwi.. Widziałem tylko rewolwer, którym mnie dźgnął w podbródek. Pchnął mnie w tył i upadłem na podłogę. Ten, owszem, miał korsykański akcent. Nie zapomnę tego.
- Był wykończony.
- Niech się pan prześpi. Może wrócę zadać panu jeszcze kilka pytań. Jeśli to będzie potrzebne. Niech się pan nie niepokoi. Wszystko będzie dobrze.
- Uśmiechnął się do mnie. Nic więcej nie było mu teraz potrzebne. Tylko trochę pocieszenia. I pewności, że Naimie nic złego się nie stanie. Murad nachylił się ku niemu i pocałował go w czoło.
- Zostanę z tobą.
- W końcu jednak to matka Murada została, żeby czuwać nad dziadkiem. Pewnie miała nadzieję, że Naima wróci do domu. A przede wszystkim nie chciała stanąć twarzą w

twarz z Reduanem. „Trochę się boi”, powiedział Murad, kiedyśmy stamtąd wyszli.

- Zwariował. Zmusza matkę, żeby wkładała czador, kiedy on jest w domu. I każe jej podawać do stołu ze spuszczonej oczami. Ojciec nic na to nie mówi. Uważa, że mu to przejdzie.

- Od jak dawna taki jest?

- Od ponad roku. Od kiedy wyszedł z paki.

- Jak długo siedział?

- Dwa lata. Włamał się do sklepu ze sprzętem hi-fi w Chartreux. Z dwoma kolesiami. Byli kompletnie zaćpani.

- A ty?

Spojrzał mi prosto w oczy.

- Ja jestem w drużynie Anselme'a, jeśli to pana interesuje. Koszykówka. Nie palimy ani nie pijemy. Taka jest reguła. Nikt z drużyny. Bo inaczej Anselme by nas wyrzucił. Często do niego chodzę. Jeść, nocować. Fajnie jest.

Umilkł. Północne dzielnice z tysiącami jasno oświetlonych okien przypominały statki. Zagubione statki. Statki widma. Najgorsza pora. Pora, kiedy człowiek wraca z pracy do domu. I kiedy wie, że w tych betonowych blokach jest daleko od wszystkiego. I że nikt o nim nie pamięta.

Miałem gonitwę myśli. Nie byłem w stanie przetrwać tego, co usłyszałem, a powinienem. Najbardziej mnie niepokoił ci dwaj faceci, którzy ścigali Naimę. Ci, co pobili dziadka. Czy to oni zabili Hosina i Guitou? Czy oni śledzili mnie w nocy? Czy Korsykanin to kierowca safrane? Balducci? Niemożliwe. Skąd mogli się dowiedzieć, że ja też szukam Naimy? I to tak szybko? Zidentyfikować mnie i tak dalej. Nie, to wykluczone. Faceci musieli mnie śledzić w związku z Serge'em. To pewne. Wiedzieli, że byłem na miejscu i że gliniarze mnie zabrali. Mogłem być kumplem Serge'a. Jego współnikiem w nie wiadomo jakiej sprawie. Pertin też zresztą miał taką nadzieję. Logiczne więc, że chcieli mnie

załatwić. Albo przynajmniej wyciągnąć ze mnie wszystko, co wiem. No tak.

Przy Notre-Dame-Limite gwałtownie zahamowałem na widok kabiny telefonicznej. Murad się ocknął.

- To mi zajmie tylko chwilę.

Marinette odebrała przy drugim dzwonku.

- Przepraszam, że znów zawracam pani głowę - powiedziałem, przedstawivszy się. - Ale czy przypadkiem nie zauważyła pani po południu jakiegoś trochę niezwykłego samochodu na ulicy?

- Samochodu tych napastników?

Marinette od razu wiedziała, o co chodzi. W starych dzielnicach, tak jak na blokowiskach, wszyscy wszystko widzą. A już szczególnie nieznany samochód.

- Ja nie widziałam. Układałam sobie włosy, więc nie wychodziłam na ulicę. Ale Emil, mój mąż, owszem. Bo wie pan, wszystko mu opowiedziałam. Więc powiedział, że jak wychodził z domu koło trzeciej, to zobaczył duże luksusowe auto, jadące mu naprzeciw. Bo szedł do baru Pascala na rogu. Emil co dzień po południu grywa tam w belotkę. To go odpręża, biedaka. Więc oczywiście przyjrzał się temu samochodowi, bo niecodziennie się takie tutaj widuje. Zresztą w innych dzielnicach też! Tylko w telewizji widzi się takie cuda!

- Czarny samochód?

- Niech pan chwileczkę zaczeka. Emil! Czarny był ten samochód? - krzyknęła do męża.

„Tak, czarny. Safrane" - usłyszałem odpowiedź męża. „I powiedz panu, że nietutejszy. Miał numer rejestracyjny z Var."

- Czarny.

- Słyszałem.

Owszem, słyszałem. I zimno mi się zrobiło.

- Dziękuję pani, Marinette.

Machinalnie odłożyłem słuchawkę.

Ścieło mnie.

Żadnej wątpliwości, że to ci sami, choć nie rozumiem, jakim cudem. Od jak dawna mnie śledzą te sukinsyny? Dobre pytanie. Kiedy znajdę odpowiedź, rozświekli się moja latarnia magiczna. Ale nie mam odpowiedzi. Jedno, co pewne, to że zaprowadziłem ich do mieszkania rodziny Hamudi. Wczoraj. Przed wizytą w komisariacie lub po niej. Wieczorem machnęli na mnie ręką nie dlatego, że trafili na sprytniejszego. Nie, po prostu uznali, że nie ruszę się dalej niż do Feliksa. O cholera! Czy wiedzą, gdzie mieszkam? To pytanie czym prędzej odsunąłem od siebie. Żeby się nie nabawić wysypki.

No dobra, zacznijmy od nowa, powiedziałem sobie. Dziś rano zjawili się na osiedlu Bigotte i poczekali, aż coś się ruszy. Ruszył się Reduan. Pojechał do dziadka. Skąd wiedzieli, że to on? Prosta rzecz. Dasz sto franków któremuś z dzieciaków kręcących się na podwórku i już wiesz.

- Pojedziemy najpierw do ciebie - powiedziałem do Murada. - Weźmiesz swoje rzeczy i na kilka dni przeniesiesz się do dziadka.

- Co się dzieje?

- Nic. Wolę, żebyś nie spał w domu, to wszystko.

- A Reduan?

- Zostawimy mu kartkę. Najlepiej, żeby zrobił to samo.

- A nie mogę raczej pójść do Anselme'a?

- Jak chcesz. Ale zadzwoń do Marinette. Niech matka wie, gdzie jesteś.

- Znajdziesz moją siostrę?

- Chciałbym.

- Ale nie jesteś pewny, co?

Czego mogłem być pewny? Niczego. Wyruszyłem na poszukiwania Guitou, jakbym szedł na pchli targ. Z rękami w kieszeniach. Nie śpiesząc się. Zaglądając to tu, to tam. Jedyne powód, żebym go szukał, to rozpacz Żelu. Nie po to, żeby rozdzielić tych dwoje dzieciaków. I okazało się, że

Guitou nie żyje. Że został zastrzelony przez bandytów. Po drodze mój stary kumpel został zastrzelony przez innych bandytów. A dwie dziewczyny salwowały się ucieczką. Obie tak samo śmiertelnie zagrożone. Co do tego nie ma wątpliwości. Mathias też jest zagrożony. Muszę go zobaczyć. Muszę go umieścić w bezpiecznym miejscu. Jego również.

- Pójdę z tobą na górę - powiedziałem Muradowi, gdy dojechaliśmy do Bigotte. - Muszę wykonać parę telefonów.

- Już się zaczęłam martwić. Cały dzień pan nie dzwonił - powiedziała Honorine.

- Wiem, Honorine, wiem, ale...

- Może pan swobodnie mówić. Przeczytałam gazetę.

No dobra!

- Jak można zrobić coś tak potwornego?

- Gdzie pani przeczytała gazetę? - spytałem, żeby nie odpowiedzieć na to pytanie

- U Fonfona. Poszłam go zaprosić na niedzielę. Zrobię poutargue. Pan pamięta, prawda? Prosił, żeby nic nie mówić o Guitou. Że pan zrobi, co pan uzna za stosowne. Niech pan powie, pan wie, dokąd pan zmierza?

Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałem.

- Byłem na policji, Honorine - poinformowałem, żeby ją uspokoić. - Żelu też czytała gazetę?

- Oczywiście że nie! W południe nawet nie włączyłam wiadomości lokalnych.

- Bardzo jest niespokojna?

- To znaczy...

- Daj mi ją do telefonu, Honorine. I nie czekajcie na mnie z kolacją. Nie wiem, o której wrócę.

- Ja już jadłam. Ale Żelu już nie ma.

- Jak to? Wyjechała do domu?

- Nie, nie. Nie ma jej u pana, ale jest w Marsylii. Po południu zadzwonił do niej ten jej... przyjaciel

- Aleksander.

- No tak. Ona mówi o nim Aleks. Wrócił właśnie do domu, do Gap. Przeczytał kartkę, którą zostawiła na łóżku małego. Więc nie namyślając się długo, z powrotem wsiadł w samochód i przyjechał do Marsylii. Spotkali się w mieście gdzieś koło piątej. Są w hotelu. Zadzwoniła, żebym panu powiedziała, jak ją znaleźć. Hotel Alize. To w Starym Porcie, prawda?

- Tak. W pobliżu hotelu New York.

Wystarczy, że Żelu otworzy byle jaką gazetę, a dowie się, że Guitou nie żyje. Tak jak ja się dowiedziałem. Fabre'ów, którzy mają syna imieniem Mathias, nie jest znów tak wielu. A tym bardziej Fabre'ów, u których zastrzelono szesnastoletniego chłopaka.

To, że pojawił się Aleksander, wiele zmienia. Cokolwiek bym myślał o tym gościu, ona go kocha. Chce z nim być. Przeżyli razem dziesięć lat. Pomógł jej wychować Patrice'a i Marka. I Guitou też, mimo wszystko. Mają swoje życie, to, że są rasistami, nie znaczy, że mam prawo to wszystko negować. Żelu liczy na tego człowieka, ja powinienem też.

Pewnie już wiedzą o Guitou. To znaczy - może.

- Zadzwonię do niej, Honorine. Całuję panią.

- Fabio?

- Tak?

- Wszystko w porządku?

- Dlaczego pani pyta?

- Bo pana znam. Czuję po głosie, że pan nie jest w formie.

- Trochę się zdenerwowałem, to prawda. Ale proszę się nie martwić.

- A właśnie że się martwię. Tym bardziej jak pan tak do mnie mówi.

- Całuję panią.

Uwielbiam tę facetkę! Jak umrę, to na pewno jej będzie mi brakować najbardziej. To znaczy, prędzej będzie odwrót nie, ale wolę o tym nie myśleć.

Loubet siedział jeszcze w biurze. Fabre'owie przyznali, że skłamał w sprawie Guitou. Teraz trzeba im wierzyć. Nie mieli pojęcia, że ten chłopiec był u nich w domu. To ich syn, Mathias, go zaprosił i dał mu klucz. W piątek, przed wyjazdem do Sanary. Poznali się w lecie. Polubili się, telefonowali do siebie...

- No, a kiedy wrócili, Mathiasa z nimi nie było. Został w Aix. Nie chcieli go zaszokować tą dramatyczną wiadomością... Takie tam historie opowiadają. Ale robimy postępy.

- Myślisz, że to nieprawda?

- Ten numer: „Teraz powiemy panu całą prawdę”, zawsze mi wygląda podejrzanie. Jak się raz skłamało, to znaczy, że coś się za tym kryje. Albo nie powiedzieli mi wszystkiego, albo Mathias jeszcze coś ukrywa.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Bo w tej kawalerce Guitou nie był sam.

- Ach tak - powiedziałem niewinnie.

- Znaleźliśmy prezerwatywę w pościeli. I nie leżała tam od niepamiętnych czasów. Chłopak był z dziewczyną. Pewnie uciekł z domu, żeby się z nią spotkać. Mathias musi o tym wiedzieć. Myślę, że mi wszystko opowie, kiedy go jutro zobaczę. Jak młody chłopak rozmawia z gliniarzem w cztery oczy, to długo nie blefuje. Chcę się dowiedzieć, co to za dziewczyna. Bo ona to już na pewno ma coś do opowiedzenia, nie uważasz?

-Tak.

- Wyobraź tylko sobie, Montale. Są razem w łóżku. Pierwszy raz. I co, w środku nocy ona wraca do domu? O drugiej, trzeciej nad ranem? Sama? Ja w to nie wierzę.

- Może miała motorower?

- Nie wygłupiaj się.

- Zgoda. Masz rację.

- Jeśli tak było...

Nie dałem mu skończyć. Poczulem, że teraz naprawdę pójdę na całość.

- Mogła tam jeszcze być, gdzieś się schowała. To masz na myśli?

- Właśnie. Coś w tym rodzaju.

- Trochę naciągane, nie wydaje ci się? Faceci sprzątnęli Hosina. Potem chłopaka. Raczej by się upewnili, czy nikogo nie ma.

- To byli profesjonaliści, Montale, ale pamiętaj, że nawet takim zdarzają się wpadki. I myślę, że to właśnie była wpadka. Uważali, że spokojnie załatwią Hosina Drauiego, tymczasem pośliznęli się, wpadli na chłopaka. Co on tam robił na golasa w korytarzu, tego nie wiem. Pewnie usłyszał hałas. Przestraszył się. I poleciało...

- Mhm... - udałem, że się zastanawiam. - Chcesz, żebym wypytał moją kuzynkę o Guitou i czy miał jakąś dziewczynę w Marsylii? Matka powinna to wiedzieć.

- Dziwię się, Montale, żeś jeszcze tego nie zrobił. Na twoim miejscu od tego bym zaczął. Jak chłopak ucieka z domu, to zwykle kryje się za tym dziewczyna. Albo dobry kumpel. Przecież wiesz, nie? Zapomniałeś, że byłeś gliniarzem? (Odpowiedziałem milczeniem, więc ciągnął dalej.) Nadal nie wiem, jakim poszedłeś tropem, żeby znaleźć Guitou.

Montale w roli wiejskiego głupka!

Na tym polega problem z kłamaniem. Albo człowiek się zbiera na odwagę i wali całą prawdę, albo się upiera przy kłamstwie, póki nie znajdzie jakiegoś rozwiązania. Moje sprowadzało się do tego, żeby ochronić Naimę i Mathiasa. Znaleźć dla nich bezpieczne miejsce. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł, gdzie ich ukryć, póki się ta cała sprawa nie wyjaśni. Miałem zaufanie do Loubeta, ale nie do policji w ogóle. Gliniarze i kryminaliści za bardzo byli skumani.



Cokolwiek by mówić, telefoniczny kontakt między nimi trwał.

- Chcesz przesłuchać Żelu? - spytałem, żeby się wymigać od odpowiedzi.

- Nie. Ty to zrobisz. Ale nie zachowuj odpowiedzi dla siebie. To mi zaoszczędzi czasu.

- Okej - odpowiedziałem poważnie.

Znów miałem przed oczyma obraz Guitou. Jego anielską twarzyczkę. Niby czerwony błysk w oku. Jego krew. Jakby ta śmierć mnie zbluzgała. Jak będę teraz mógł przymknąć oczy i nie widzieć jego zwłok w kostnicy? Nie gnębiło mnie to, czy mam kłamać, czy mówić prawdę Loubetowi. Gnębili mnie mordercy. Ci dwaj skurwiele. Pragnąłem ich dopaść pierwszy. Żeby stanął przede mną ten, który zabił Guitou. Twarzą w twarz. Miałem w sobie dość nienawiści, żeby wyciągnąć broń, nim tamten zdąży to zrobić.

Tylko to miałem w głowie. Nic innego.

Zabić.

Szurmo! Montale. Szurmo!

Życie to galery!

- Ej! Jesteś tam?

- Zamyśliłem się.

- Daruj sobie, Montale. Bo ci kiepskie pomysły przyjdą do głowy. Moim zdaniem, to naprawdę śmierdząca sprawa. Nie zapominaj, że Hosina sprzątnęli. Na pewno nie bez powodu.

- Nie zapominam, wyobraź sobie.

- Tak też myślałem. Więc trzymaj się z daleka. Będziesz w domu, jakbym cię szukał?

- Nie ruszam się. Chyba że pójde na ryby. Wiesz, jak jest.

## Rozdział trzynasty, w którym wszyscyśmy kiedyś marzyli, że będziemy żyć jak książęta

Murad był gotów. Stał przede mną z plecakiem i tornis-  
trem w ręku. Sztywny. Odwiesiłem słuchawkę.

- Dzwoniłeś do Dwugłowego?

- Nie, dlaczego?

- Ale rozmawiałeś z gliniarzem.

- Sam byłem gliniarzem, przecież wiesz. Nie wszyscy są  
tacy jak Dwugłowy.

- Innych nie spotkałem.

- A jednak są.

Wpatrywał się we mnie uważnie. Nie pierwszy raz. Jak-  
by badając, czy może mi ufać. To nie było oczywiste. Zna-  
łem te spojrzenia. Większość dzieciaków z osiedli nie wie-  
działa, co to jest dorosły mężczyzna. Prawdziwy.

Ich ojcowie byli przegrani. Z powodu kryzysu, bezro-  
bocia, rasizmu. Nie mieli żadnego autorytetu. Mężczyźni  
z opuszczonymi głowami i rękami. Z którymi nie ma dys-  
kusji. Którzy nie dotrzymują słowa. Nawet gdy chodzi o głu-  
pie pięćdziesiąt franków na weekend.

I dzieciaki uciekały na ulicę. Pozostawione same sobie.  
Z dała od ojca. Bez wiary, bez prawa. Z jedną regułą: byle  
się nie stać takim, jak ojciec.

- Jedziemy?

- Mam jeszcze coś do załatwienia. Mówiłem ci. Po to poszedłem z tobą na górę. Nie tylko, żeby zadzwonić.

Teraz ja przyglądałem mu się bacznie. Murad odłożył tornister. Miał łzy w oczach. Domyślił się, co mam zamiar zrobić.

Przyszło mi to do głowy, kiedy słuchałem, jak dziadek opowiadał o Reduanie. Przypomniałem sobie wtedy, co mi powiedział Anselme. Widziano już Reduana z facetem, który prowadził bmw. Samochód, z którego strzelano do Serge'a. A Serge wychodził od państwa Hamudi.

- To jego pokój? - spytałem.

- Nie, rodziców. Jego pokój jest w głębi.

- Muszę to zrobić, Murad. Muszę go sprawdzić.

- Dlaczego?

- Bo Serge był moim kumplem - powiedziałem, otwierając drzwi. - Nie lubię, żeby zabijano moich kumpli.

Stał dalej sztywno wyprostowany.

- Mama nie ma prawa tu wchodzić. Nawet żeby pościelić łóżko. Nikt nie ma prawa.

Pokój był malusieńki. Na małym biurku stara maszyna do pisania i starannie ułożone pisma. Numery „Al Raid”, „Musulman” - miesięcznika wydawanego przez stowarzyszenie studentów muzułmańskich - i broszura Ahmeda Dedata Jak Salman Rushdie oszukał Zachód. Wersalka z lat sześćdziesiątych i wąskie, nieposłane łóżko. Otwarta szafa z kilkoma koszulami i džinsami na wieszakach. Na szafce nocnej egzemplarz Koranu.

Usiadłem na łóżku, żeby się zastanowić. Kartkując Koran, trafiłem na złożoną we czworo kartkę. Pierwsza linijka na zaznaczonej stronie brzmiała następująco: „Każdy naród ma swój kres, a kiedy ten kres nadchodzi, nic go nie zdoła odwlec ani przyspieszyć choćby o chwilę.” Piękny program, nie ma co. Potem rozłożyłem kartkę. Ulotka. Ulot-

ka Frontu Narodowego. O kurwa! Całe szczęście, że siedzę. Ostatnia rzecz, którą bym się spodziewał tu znaleźć.

Był to przedruk oświadczenia Frontu Narodowego, opublikowanego w „Minute-la-France” (nr 1552). „Dzięki FIS Algierczycy będą się coraz bardziej upodobniać do Arabów, a coraz mniej do Francuzów. FIS jest za prawem krwi. My również! FIS jest przeciwko integracji imigrantów w społeczeństwie francuskim. MY RÓWNIEŻ!” I na koniec: „Zwyczajność FIS to nieoczekiwana szansa, że będziemy mieć Iran pod drzwiami.”

Dlaczego Reduan zachował tę ulotkę, i to w dodatku w Koranie? Gdzie ją znalazł? Nie wyobrażam sobie, żeby skrajnie prawicowi działacze wrzucali ulotki do skrzynek pocztowych na osiedlach. Ale mogę się mylić. Przegrana komunistów w lokalnych wyborach pozostawiała wolne pole dla wszelkiej demagogii. A tej nie brakowało działaczom Frontu Narodowego. Mogli nią karmić nawet imigrantów.

- Chcesz przeczytać? - spytał Murada, który usiadł przy mnie.

- Przeczytałem ci przez ramię.

Złożyłem kartkę i wetknąłem ją do Koranu w to samo miejsce. W szufladzie szafki nocnej cztery banknoty pięćset-frankowe, paczka prezerwatyw, długopis, dwa zdjęcia legitymacyjne. Zamknąłem szufladę. W kącie pokoju zauważyłem zwinięte w rulon dywaniki do modlitwy. Rozwinąłem je. W środku kolejne ulotki. Około setki. Tytuł po arabsku, a tekst po francusku, krótki. „Pokażcie, że nie macie kawałka sera w miejscu mózgu! Rzućcie kamieniem, odbezpieczcie bombę, podłóżcie minę, porwicie samolot!”

Oczywiście bez podpisu.

No to dowiedziałem się dość. Jak na razie.

- Chodź, idziemy.

Murad nie ruszył się z miejsca. Wsunął prawą rękę pod materac wersalki i wyciągnął stamtąd niebieski plastikowy worek na śmieci. Zwinięty.

- A tego nie chcesz obejrzeć?
- W środku by! 22 long rifle i tuzin nabojów.
- O cholera!

Nie wiem, ile czasu minęło. Pewnie nie więcej niż minuta. Ale ważyła tyle, co całe stulecia. Stulecia sprzed prehistorii. Sprzed wynalezienia ognia. Z czasów gdy panowały wyłącznie ciemności, zagrożenie i strach. Na piętrze nad nami wybuchła awantura. Kobieta krzyczała coś przenikliwie. Mężczyzna odpowiadał jej głosem ochryplym i zmęczonym. Odgłosy osiedlowego życia.

Murad przerwał milczenie. Ze znużeniem.

- Prawie co wieczór się kłóć. On jest bezrobotny. Od dawna. Nic tylko śpi. No i pije. Więc ona się piekli. (Spojrzał mi w oczy.) Chyba nie myślisz, że go zabił?

- Nic nie myślę. Ale ty masz wątpliwości, co, Murad? Mówisz sobie, że mogło się tak stać.

- Nie, tego nie mówię! Nie wierzę! Mój brat by tego nie zrobił. Ale... Boję się o niego, rozumiesz? Że się wplącze w sprawy, które są dla niego za duże, i że któregoś dnia posłuży się czymś takim...

- Sądzę, że już się wplątał. I to na całego.

Rewolwer leżał na łóżku między nami. Zawsze miałem wstręt do broni, nawet kiedy byłem gliniarzem. Wahałem się zawsze, czy wziąć mój służbowy pistolet. Wiedziałem, że wystarczy nacisnąć na spust. Że śmierć jest na czubku palca. Wystarczy jeden strzał, który może się okazać fatalny. Jedna kula dla Guitou. Trzy dla Serge'a. Jak się strzeliło raz, to można i trzy razy. Albo więcej. I zabijając od nowa.

- Widzisz, jak wracam ze szkoły, zawsze sprawdzam, czy tu jest. Jak długo jest, to mówię sobie, że nie narobi głupstw. Zabijeś kiedyś kogoś?

- Nigdy. Nawet królika. I nigdy do nikogo nie strzelałem. Tylko na szkoleniu, do kartonowego manekina, no i w we-

sołym miasteczku. Nawet celnie. Miałem dobre wyniki w strzelaniu. Ceniono mnie jako strzelca.

- Ale nie jako gliniarza!

- Nie, nie jako gliniarza. Nigdy bym nie mógł strzelić do człowieka. Nawet do najgorszego skurwysyna. To znaczy, może mógłbym. W nogi. Moi partnerzy wiedzieli o tym. Moi szefowie, rzecz jasna, też. Poza tym nie wiem. Nigdy nie musiałem ratować własnej skóry. To znaczy strzelać w obronie własnej.

Za to nie mogę powiedzieć, żeby mi się nie zdarzało chcieć kogoś zabić. No ale z tego się Muradowi nie zwierzyłem. Wystarczy, że sam to wiem. Wiem, że mam w sobie pasję. Bo, kurwa, zmasakrowałbym bez litości tego faceta, który jednym strzałem zabił Guitou, nie dając mu żadnej szansy. To by oczywiście nic nie zmieniło. Mordercy zawsze się znajdują. Nie ten, to inny. Ale ulżyłbym sobie. Może.

- Powinieneś zabrać tego gnata - powiedział Murad. - Wiesz, jak się go pozbyć. Wolałbym, żeby go już tu nie było.

- Okej.

Zawinąłem rewolwer w plastik. Murad wstał i zaczął chodzić po pokoju, ręce wcisnął do kieszeni.

- Anselme mówi, że Reduan nie jest zły. Ale że może się stać niebezpieczny. Że to robi, bo nie wie, czego się chwycić. Oblał BEP\*, potem miał jakieś drobne fuchy. Zlecenia, prace... Jak to nazywają? Dorywcze?

- Niepewne.

- No właśnie. Daleko z tym nie zajedziesz.

- Co prawda, to prawda.

- Potem sprzedawał owoce na rue Longue. I rozdawał „Le 13”. Wiesz, darmową gazetę. Tylko takie zajęcia. A między dwiema fuchami wystawał na klatce schodowej, palił, słuchał rapu. Ubierał się jak MC Solaar! No i w końcu za-

\* BEP - dyplom technikum.

czął rozrabiać. Ćpał coraz ostrzej. Na początku, jak mama szła do niego na widzenie do Baumettes, zmuszał ją, żeby mu przynosiła shit. Do rozmównicy! I przynosiła, wyobrazasz sobie? Powiedział, że jak nie przyniesie, to nas wszystkich pozabija.

- Nie chcesz usiąść?

- Nie, wolę stać. (Spojrzał na mnie.) Trudno mi opowiadać o Reduanie. To mój brat, kocham go. Kiedy miał trochę grosza, na początku, jak pracował, to wszystko wydawał na nas. Zabierał nas do kina, Naimę i mnie. Do Capitale na Canebiere. Kupował nam pop-corn. I wracaliśmy do domu taksówką! Jak księżęta.

Strzelił palcami i uśmiechnął się. To musiały być fantastyczne chwile. Troje dzieciaków jadących taksówką po Canebiere. Duży brat i mały brat, a w środku siostra. Dumni z niej. na pewno.

Myśmy też marzyli, że będziemy żyć jak księżęta, z Manu i Ugiem. Mieliśmy potąd zasuwania za trzy franki i parę centymów godzina, podczas gdy ten dziad z przeciwka napychał sobie kieszenie na naszym grzbiecie. „Czy z nas kurwy? - mówił Ugo. - Nie dajmy się wyruchać tym sukinsynom.” To te centymy godzinnej stawki najbardziej wkurzały Manu. Centymy, czyli gnat szynki do gryzienia. A ja, tak samo jak oni, chciałem posmakować szynki.

Ile żeśmy obrobili aptek i stacji benzynowych? Sam już nie wiem. Obłowiliśmy się. Robiliśmy to fachowo. Najpierw w Marsylii, potem w całym departamencie. Nie chodziło o bicie rekordów. Zwinąć akurat tyle, żeby mieć spokój przez dwa, trzy tygodnie. A potem od nowa. Dla przyjemności wydawania pieniędzy, nie szczypiąc się przy tym. Dla szpanu. Żeby dobrze się ubierać i tak dalej. Szyliśmy nawet sobie garnitury na miarę. U Grilla. Włoskiego krawca na avenue Foch. Wybór materiału, fasonu. Przymiarki, poprawki. Kant spodni musiał idealnie spadać na buty. Włoskie, rzecz jasna. Klasa!

Przypominam sobie, jak pewnego popołudnia postanowiliśmy się przejechać do San Remo. Zaopatrzyć się w ciuchy i buty. Kumpel, który miał warsztat samochodowy, Jose, amator samochodów wyścigowych, pożyczył nam swój kabriolet. Alpine. Skórzane siedzenia, drewniana deska rozdzielcza. Cudo. Zostaliśmy na trzy dni. Hotel, dziewczyny, restauracje, nocne lokale, a o świcie maksimum żetonów w kasynie.

Słodkie życie. Piękne czasy.

Dzisiaj to już nie to samo. Wyciągnąć trzysta franków z kasy i nie dać się zamknąć trzy dni później to nie lada wyczyn. Na tym gruncie rozwinął się handel narkotykami. Dawał lepsze gwarancje. I można było zarobić. Zostać dilerem to się zrobił mus.

Dwa lata temu przymknęliśmy jednego. Baszир marzył o tym, że się dorobi na heroinie i otworzy bar. „Kupowałem gram hery za osiemset, dziewięćset franków. Chrzciłem ją i sprzedawałem prawie za dziesięć paczek. Czasami miałem z tego cztery tysiące franków dziennie”, opowiadał.

Szybko zapomniał o barze i zaczął pracować dla dużego hurtownika. Wielki łeb, mówił o nim. Dzielili się fifty-fifty. Baszир brał na siebie całe ryzyko. Nosił towar przy sobie, czekał. Którejś nocy odmówił oddania utargu, chciał wymusić na tamtym korzystniejszy podział zysków, żeby miał dwie trzecie. Nazajutrz dumny z siebie stał z kielichem przy kontuarze w barze Platanes, gdy jakiś gość wszedł do lokalu i strzelił mu w nogi. Po jednej kuli w każdą. Stamtąd go zabraliśmy. Figurował w kartotece i wlepiono mu dwa i pół roku. Ale o swoich dostawcach ani pisnął. „Jestem ze środowiska, powiedział. Nie mogę złożyć skargi. Ale jak chcesz, mogę ci opowiedzieć o swoim życiu.” Nie chciałem słuchać. Wiedziałem, jak jego życie wygląda.

Murad dalej mówił o bracie. Życie Reduana było podobne do życia Baszira i setek innych chłopaków.



- Jak Reduan zaczął ćpać, to przestał nas zabierać do kina. Dawał nam forszę. „Masz, mówił, kup sobie, co chcesz.” Pięćset, tysiąc franków. Raz kupiłem sobie za to reeboki. Genialne. Ale właściwie nie bardzo je lubiłem. To nie był prezent. Wiedziałem, skąd Reduan ma forszę, i niezbyt mi się to podobało. W dniu, kiedy go przymknęli, wyrzuciłem je.

Jak to się dzieje, zastanawiałem się, że dzieci tej samej rodziny idą różnymi drogami? Że dziewczęta, to rozumiem. Pragną sukcesów w nauce, bo tylko w ten sposób mogą zyskać wolność. Być niezależne. Swobodnie wybrać męża. Wyprowadzić się z dzielnic północnych. Matki im w tym pomagają. Ale chłopcy? Kiedy otworzyła się przepaść między Muradem a Reduanem? Jak? Dlaczego? Życie było pełne takich pytań bez odpowiedzi. I właśnie tam, gdzie nie ma odpowiedzi, wciska się czasem szansa Żeby zagrać na nosie statystyce.

- Co się stało, że się zmienił?

- Więzienie. Na początku udawał waźniaka. Bił się. Mówił: „Trzeba być menem. Jak nie jesteś menem, to masz przechlapane. Zdepczą cię. To psy.” Potem spotkał Saida. Wizytatora więziennego.

Słyszałem o Saidzie. Były więzień, który został kaznodzieją. Muzułmański duszpasterz wywodzącego się z Pakistanu ruchu Tablig, który werbuje wyznawców głównie na ubogich przedmieściach.

- Znam.

- Więc od tego czasu nie chciał nas więcej oglądać. Napisał do nas wariacki list W rodzaju... (Zastanawiał się, szukał właściwego słowa.) „Z Saidem to jest tak, jakby anioł do mnie przyszedł.” I jeszcze: „Jego głos jest słodki jak miód i mądry jak głos proroka.” „Said zapalił we mnie światło” - tak nam pisał mój brat. Zaczął się uczyć arabskiego i studiować Koran. I przestał dokuczać chłopakom w więzieniu.

Za dobre zachowanie skrócono mu odsiadkę, wyszedł odmieniony. Skończył z paleniem i pić. Zapuścił sobie bródkę i przestał się witać z tymi, którzy nie chodzą do meczetu. Całymi dniami czytał Koran. Na głos, jakby się uczył zdań na pamięć. Naimie gadał o skromności i godności. Kiedy chodziliśmy do dziadka, bił przed nim pokłony, wypowiadając święte wersety. Dziadka to śmieszyło, bo on od dawna nie chodzi do meczetu. Reduan nawet akcentu starał się pozbyć... Nikt go nie rozpoznawał na osiedlu.

Potem zaczęli do niego przychodzić goście. Brodaci. W dżelabach, w wielkich samochodach. Wychodził z nimi po południu i wracał do domu późno. Potem zjawili się jeszcze inni goście, w białych abajach i turbanach. Któregoś ranka spakował manatki i wyniósł się. Powiedział ojcu i matce, że idzie na naukę do Muhameda. A mnie powiedział, i zapamiętałem to dobrze, że wyrusza na poszukiwania strzelby, żeby wyzwolić nasz kraj. „Kiedy wrócę, zabiorę cię ze sobą”, dodał.

Nie było go trzy miesiące. Po powrocie znów się zmienił, ale mną się nie zajmował. Tylko mówił, jak co trzeba robić. Tak, a nie tak. I jeszcze powiedział: „Niczego już nie chcę od Francji, Murad. Same palanty. Wbij to sobie do głowy. Zobaczysz, niebawem będziesz dumny ze swego brata. Zrobi rzeczy, o których ludzie będą gadali. Wielkie rzeczy. In Sallah.”

Dokąd pojechał Reduan, to sobie wyobrażałem.

W papierach Serge'a był cały plik dokumentów na temat „pielgrzymek” organizowanych przez Tablig dla nowych rekrutów, choć nie tylko dla nich. Przede wszystkim do Pakistanu, ale i do Arabii Saudyjskiej, Syrii, Egiptu.... Ze zwiedzaniem ośrodków muzułmańskich, studiowaniem Koranu i, co najważniejsze, wprowadzeniem do walki zbrojnej. Szkolenia odbywały się w Afganistanie.

- Wiesz, gdzie był przez te trzy miesiące?
- W Bośni.

- Jak to w Bośni!?

- Z organizacją humanitarną Merhamet. Zapisał się do francuskiego stowarzyszenia muzułmanów. Oni bronią Bośniaków, bo to też muzułmanie, rozumiesz? I dlatego walczą z Serbami. Z Chorwatami również. Reduan tak mi tłumaczył. Na początku, bo później ledwie się do mnie odzywał. Traktował mnie jak głupiego szczeniaka. Niczego więcej się nie dowiedziałem. Ani o ludziach, którzy do niego przychodzili. Ani o tym, co robił przez cały dzień. Ani o pieniądzach, które co tydzień przynosił do domu. Jedyne, co wiem, to to, że któregoś dnia pojechał z tamtymi na Plan d'Aou, zrobić łomot dilerom. Dilerom heroiny, nie shitu. Koledzy widzieli. Stąd wiem.

Usłyszeliśmy najpierw, że drzwi się otwierają, potem głosy. Murad pierwszy wpadł do stołowego, żeby zagrozić Reduanowi drogę.

- Puść mnie, szczeniaku, śpieszy mi się!

Wyszedłem z pokoju z plastikową torbą w ręku.

Za Reduanem stał inny chłopak.

- O kurwa! W nogi! - wrzasnął Reduan.

Nie pobiegłem za nimi, bo bym ich nie dogonił. Murad drżał na całym ciele.

- Ten drugi to Naser. To on kierował bmw. Nie tylko Anselme tak myśli. Wszyscy wiedzą. Kręcił się już tutaj tym samochodem.

Rozpłakał się głośno jak małe dziecko. Podszedłem do niego i przygarnąłem go do siebie. Sięgał mi do piersi. Zaniósł się jeszcze głośniejszym szlochem.

- Już dobrze, już dobrze - powiedziałem.

Tyle tylko, że za dużo gówna na tym świecie.

Rozdział czternasty,  
w którym nie jest pewne,  
czy gdzie indziej bywa choć ciut lepiej

Straciłem poczucie czasu. Burza pod czaszką. Zostawiłem Murada pod blokiem Anselme'a. Wsunął torbę ze spluwą do schowka w samochodzie, rzucił krótkie „cześć” i wysiadł. Nawet się nie obejrzał. Ma chłopak ciężki zgrzyz, to pewne. Anselme będzie wiedział, jak z nim gadać. Uspokoi się przy nim. W końcu lepiej, żeby był u niego niż u dziadka.

Zanim wyjechałem z osiedla Bigotte, okrążyłem parking, wypatrując samochodu Serge'a. Ale nie robiłem sobie złudzeń. I nie rozczarowałem się, samochodu nie było. Pawia musiała nim odjechać. Mam nadzieję, że ma prawo jazdy i że nie wpakowała się w jakąś aferę z tym autem. Pobożne życzenia, jak zwykle. Tak samo jak wiara, że jest w bezpiecznym miejscu. U Randy'ego, na przykład. Nie żebym w to naprawdę wierzył, ale uspokoilem się na tyle, by wsiąść w samochód i pojechać do centrum.

Teraz Art Pepper grał More For Less. Perełka. Jazz zawsze świetnie na mnie działa: zbiera mnie do kupy. Dobra rzecz na sercowe komplikacje. Ale tym razem sprawa była poważniejsza. I rozbity byłem bardziej niż zwykle. Za dużo punktów widzenia, za dużo tropów. A też za dużo wspomnień wyłaniających się z niepamięci. Przydałby się kielišek. A może dwa.

Jechałem szosą nadmorską wzdłuż basenu Grande Joliette aż do quai de la Tourette, potem objechałem dziedziniec przed kościołem Saint-Laurent. Ujrzałem roziskrzony od świateł Stary Port. Wspaniały jak zawsze.

Przypomniał mi się wiersz Braquiera:

Na wpół uśpione morze wzięło mnie w ramiona, Jak-  
by przyjęło zbląkaną rybę...

Zwolniłem przed hotelem Alize. Taki sobie wyznaczyłem cel. Ale nie miałem odwagi się zatrzymać. Zobaczyć Żelu. Spotkać Aleksa. To było ponad moje siły. Miałem tyśiąc pretekstów, żeby nie wysiąść z samochodu. Po pierwsze, nie było gdzie zaparkować. Po drugie, na pewno wyszli na kolację. Coś w tym rodzaju. Obiecałem sobie, że później do niej zadzwonię.

Słowo pijaka! Byłem przy trzeciej kolejce whisky. Moja stara R 5 zawiozła mnie, z zamkniętymi oczami, na Plaine. Do Maraichers, baru Hassana. Gdzie zawsze człowieka miło witają. Młodzieżowy bar, najsympatyczniejszy w dzielnicy, a może i w całej Marsylii. Od kilku lat tu bywam. Zachodziłem do Hassana, zanim jeszcze wszystkie uliczki od Plaine do cours Julien zapełniły się barami, restauracjami, ciuchami i starzyzną. Dzielnica zrobiła się modna. Ale wszystko jest względne. Nie szpanowano tu mimo wszystko ubraniami od Lacoste'a, a pastis można było pić do białego rana.

Kilka miesięcy temu bar Hassana spłonął pewnej nocy. Mówiono, że to dlatego, że piwo było tu najtańsze w mieście. Może to prawda. A może nie. W tym mieście każda historia musi się karmić innymi historiami. Bardziej tajemniczymi. Bardziej sekretnymi. Bo inaczej byłaby tylko zdaniem z kroniki wypadków, niewartym wzmianki.

Hassan wyremontował bar. Odmalował ściany i tak dalej. Po czym spokojnie, jakby nigdy nic, powiesił na ścianie zdjęcie, na którym przy jednym stole siedzą Brel, Brassens

i Ferre. Dla Hassana to zdjęcie było symbolem. I punktem odniesienia. U niego w barze nie słuchano byle czego. A muzyka ma sens wtedy, gdy ma serce. Kiedy wszedłem, Ferre akurat śpiewał o Marsylii.

Znalazłem wolne miejsce przy stoliku zajęтым przez całą bandę młodziaków. Trochę ich znałem. Starzy bywalcy. Mathieu, Veronique, Sebastien, Karina i Cedric. Postawiłem wszystkim kolejkę, potem następne, raz fundowałem ja, raz oni. Sonny Rollins grał *Without A Song*. Z Jimem Hallem przy gitarze. Jego najlepszy album: *The Bridge*.

Byłem uszczęśliwiony, że się tu znalazłem, nareszcie w normalnym świecie. Z młodzieżą, która fajnie się czuje. Wśród wybuchów szczerego śmiechu i ożywionych rozmów w oparach alkoholu.

- Nie myl celu, do cholery! - wrzeszczał Mathieu. - Czego się czepiasz paryżan? Chromolić trzeba państwo! Cóż paryżanie? Oni najbardziej dostają w kość, bo żyją obok państwa. My jesteśmy daleko, więc siłą rzeczy mamy się lepiej.

Inna Marsylia. Cokolwiek anarchistyczna, z długą tradycją. Tutaj podczas Komuny Paryskiej 1870 roku przez czterdzieści osiem godzin nad prefekturą powiewał czarny sztandar. Za pięć minut, bez żadnego przejścia, będą mówić o Bobie Marleyu. O Jamajczykach. Będą dowodzić, że jak się ma dwie kultury, to lepiej się rozumie ludzi i świat. Przez całą noc mogli tak nawijać.

Wstałem i przecisnąłem się do kontuaru, żeby zadzwonić. Odebrała telefon po pierwszym dzwonku, jakby czekała przy aparacie.

- Montale - przedstawiłem się. - Nie budzę pani?

- Nie - powiedziała Cûc. - Spodziewałam się, że prędzej czy później pan zadzwoni.

- Zastałem męża?

- Nie. Wyjechał do Frejus służbowo. Wraca jutro. A o co chodzi?

- Chciałem mu zadać jedno pytanie.

- A ja nie mogę na nie odpowiedzieć?
- Zdziwiłbym się.
- Może jednak?
- Czy to on zabił Hosina?

Odłożyła słuchawkę.

Zadzwoiłem jeszcze raz. Odebrała natychmiast.

- To nie jest odpowiedź - oznajmiłem.

Hassan postawił przede mną whisky. Mrugnąłem do niego z wdzięcznością.

- To nie było pytanie.
- No to mam inne. Gdzie znajdę Mathiasa?
- A o co chodzi?
- Pani zawsze odpowiada pytaniem na pytanie?
- W ogóle nie muszę panu odpowiadać.
- Naima na pewno jest z nim! - krzyknąłem.

Bar pękał w szwach. Ludzie tłoczyli się wokół mnie, przepychali łokciami. B.B. King ryczał Rock My Baby i wszyscy mu wtórowali. Na cały głos.

- No to co?

- Jak to co! Niech mi pani nie wciska kitu! Pani dobrze wie, co się dzieje. Dziewczyna jest w niebezpieczeństwie. Pani syn również. To jest jasne! Jasne! - wydzierałem się do słuchawki.

- Gdzie pan jest?
- W barze.
- Słyszę. Gdzie, w jakim?
- Maraichers. Na Plaine.
- Znam. Proszę się stamtąd nie ruszać. Zaraz będę.

Odłożyła słuchawkę.

- Wszystko dobrze? - spytał Hassan.
- Nie wiem.

Nalał mi jeszcze jednego i stuknęliśmy się. Wróciłem do stołu moich młodych koleśków.

- Prześcignąłeś nas - powiedział Sebastien.
- Stary jestem. Mam rutynę.

Cûc przecisnęła się przez tłum do mego stolika. Zwraçała uwagę. Miała na sobie obciste czarne dżinsy i obcisty czarny T-shirt pod dżinsową kurtką. Usłyszałem, jak Sebastian mówi: „O kurczę, do schrupania!” Głupota z mojej strony, że pozwoliłem jej tu przyjść, ale nie byłem w stanie właściwie ocenić czegokolwiek. Z wyjątkiem Cûc i jej urody. Nawet Jane March mogła się przy niej schować.

Jakimś cudem zwołniło się akurat krzesło i usiadła naprzeciwko mnie. Natychmiast zapomniałem o młodziakach. Dogadywali się, dokąd pójść. Do Intermediaire, gdzie występował Doc Robert, bluesman, czy może do Cargo, nowo otwartej sceny na rue Grignan? Mola-Bopa Quartet gra tam jazz. Potrafili tak godzinami: nie ruszając się z krzesła, wybierając się w coraz to inne miejsce, gdzie spędzą resztę nocy.

- Czego się napijesz?

- Tego samego.

Dałem znak Hassanowi.

- Jadłaś?

Potrząsnęła głową.

- Coś tam przegryzłam koło ósmej.

- Napijemy się po szklaneczce i zabieram cię na kolację. Głodny jestem.

Wzruszyła ramionami i odgarnęła włosy za uszy. Zabójczy gest. Odślonięta, podniesiona ku mnie twarz. Na jej dyskretnie umalowanych wargach pojawił się uśmiech. Wpiła się oczyma w moje oczy. Jak drapieżna bestia, pewna, że dopadnie ofiarę. Takie na mnie robiła wrażenie. Od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałem, Cûc wydawała mi się istotą skrajną, na granicy świata ludzi i zwierząt.

No, ale teraz jest za późno.

- Twoje zdrowie - powiedziałem.

Bo nie wiedziałem, co powiedzieć innego.

Cûc lubiła opowiadać o sobie i nie odmawiała sobie tej przyjemności przez całą kolację. Zabrałem ją do Loury'ego przy carre Thiars w pobliżu portu. Dobrze się tam je, co-



kolwiek by twierdzili Gault i Millau\*. I mają najlepiej za opatrzoną piwnicę win prowansalskich. Wybrałem chateau-sainte-roseline. Niewątpliwie najlepsze spośród czerwonych win Prowansji. A też najbardziej zmysłowe.

- Moja matka pochodzi z arystokratycznej rodziny. Ojciec był inżynierem. Pracował dla Amerykanów. Opuścili Północ w 1954 roku, po podziale kraju. Dla niego ten wyjazd oznaczał wykorzenienie. Nigdy już potem nie był szczęśliwy. Z matką się nie rozumieli. Coraz bardziej zamykał się w sobie. Nie powinni się byli pobrać... Nie byli z tego samego świata. W Sajgonie odwiedzali nas wyłącznie znajomi matki. Mówiło się tylko o tym, co docierało do nas ze Stanów albo z Francji. Już wtedy wszyscy zdawali sobie sprawę, że wojna jest przegrana, a jednak... To dziwne, ale nie czuło się, że jest wojna. Dopiero później, podczas wielkiej ofensywy komunistów. To znaczy klimat był wojenny, ale wojny jakby nie było. Tyle że cały czas żyliśmy pod nadzorem. Nachodzili nas w domu, gnębili rewizjami w nocy.

- Ojciec tam został?

- Miał do nas dojechać. Tak powiedział. Nie wiem, czy tego chciał. Został aresztowany. Dowiedzieliśmy się, że go wsadzono do obozu Lolg-Giao, sześćdziesiąt kilometrów od Sajgonu. A potem nie mieliśmy już od niego żadnych wiadomości. Są jeszcze jakieś pytania? - powiedziała, dopijając kieliszek.

- Obawiam się, że byłyby niedyskretne.

Uśmiechnęła się. Potem znów zrobiła ten charakterystyczny gest: założyła włosy za uszy. Ten gest mnie rozbrajał. Czułem się zdany na jego łaskę. Czekałem na ten gest, pragnąłem go.

- Nigdy nie kochałam Adriena, jeśli to chcesz wiedzieć. Ale zawdzięczam mu wszystko. Kiedy się poznaliśmy, był pełen entuzjazmu i miłości. Umożliwił mi ucieczkę. Zapew-

\* Autorzy najbardziej znanego przewodnika gastronomicznego.

nił mi bezpieczeństwo i pomógł skończyć studia. Dzięki niemu wstąpiła we mnie nadzieja i uwierzyłam w przyszłość. Swoją i Mathiasa.

- I w powrót jego ojca?

Błysk wściekłości przemknął w jej oczach. Ale grom nie uderzył. Chwilę milczała, potem podjęła opowieść poważniejszym tonem.

- Ojciec Mathiasa był znajomym mojej matki. Nauczycielem francuskiego. Dawał mi do czytania Hugo, Balzaka. Potem Celine'a. Dobrze mi się z nim gadało. Lepiej niż z dziewczynami z liceum, które były za bardzo sentymentalne, jak na mój gust. Miałam piętnaście lat. Piętnaście i pół. Byłam dość dzika i dość bezczelna...

Sprowokowałam go któregoś wieczoru. Napiłam się szampana. Może dwa kieliszki, nie więcej. Świętowaliśmy jego trzydzieste piąte urodziny. Spytałam go, czy jest kochankiem mojej mamy. Dał mi w twarz. Pierwszy raz w życiu ktoś mnie spoliczkował. Skoczyłam na niego. Wziął mnie w ramiona i... Był moją pierwszą miłością. Jedyne mężczyzna, którego kochałam. Jedyne, który mnie posiadał. Rozumiesz to? (Nachyliła się ku mnie.) Rozdziewiczył mnie i zrobił mi dziecko. Miał na imię Mathias.

- Miał?

- Musiał zostać w Sajgonie do końca roku szkolnego. Zasztyletowano go na ulicy. Szedł do ambasady francuskiej, żeby się czegoś o nas dowiedzieć. Opowiedział mi o tym później dyrektor liceum.

Cúc uwieźliła moje kolano między swoimi. Czulem, jak ogarnia mnie jej ciepło. Jej elektryczność naładowana emocjami, żalem i pożądaniem. Nie spuszczała ze mnie wzroku.

Napełniłem nasze szklaneczki i podniosłem swoją, patrząc jej w oczy. Miałem jeszcze pytanie. Zasadnicze.

- Dlaczego twój mąż chciał zabić Hosina? Komu zlecił tę robotę? Dlaczego był przy tym obecny? Kim są zabójcy? Gdzie ich poznał?

Czułem, że tak wygląda prawda. Albo prawie tak. Przez cały wieczór obracałem tę myśl w głowie. Pijąc kolejne whisky. Wszystko by się zgadzało. Naima musiała zobaczyć Adriena Fabre'a tamtej nocy. Nie wiem, jak się to stało, ale go zobaczyła. Znała go, bo wiele razy była w ich domu. U swojego ekschłópaka, Mathiasa. I opowiedziała o tej strasznej nocy Mathiasowi, który nie lubił tego „ojca”, tak jak go nie lubiła nawet matka.

- Może byśmy poszli do ciebie, żeby o tym wszystkim porozmawiać.

- Jeszcze jedno, Cúc...

- Tak - powiedziała bez wahania. - Wszystko to wiedziałam, kiedy przyszedłeś. Mathias do mnie zadzwonił. (Położyła dłoń na mojej dłoni.) Są bezpieczni. Tam, gdzie teraz są, nic im nie grozi. Naprawdę. Wierz mi.

Nie pozostawało mi nic innego jak jej wierzyć. I mieć nadzieję, że nie kłamie.

Przyjechała taksówką, więc zabrałem ją do mego gruchota. Nie pozwoliła sobie na żadne uwagi co do stanu pojazdu. Ani zewnętrznego, ani wewnętrznego. W środku czuć było zastarzały odór papierosów, potu i ryby. Opuściłem szybę i nastawiłem taśmę z moim ulubionym bluesmanem. Lightnin' Hopkins śpiewał *Your own fault, baby, to treat me the way you do*. No i poszło. Jak w 1914, jak w 1940. I jak przy każdej głupocie, do jakiej ludzie są zdolni.

Wybrałem drogę przez Corniche. Żeby mieć przed oczyma całą Zatokę Marsylską, błyszczącą jak łańcuch na choince, i sycić się tym widokiem. Upewnić się, że nadal trwa. Przekonać się, że Marsylia to los. Mój los. Los wszystkich, którzy tu mieszkają i już nie chcą stąd wyjeżdżać. Bo to nie jest sprawa historii czy tradycji, geografii czy korzeni, pamięci czy wiary. Nie, tak po prostu jest.

Jest się stąd. jakby to było z góry ustalone. A także dlatego, że nie ma pewności, czy gdzie indziej jest choćby ciut lepiej.

- O czym myślisz?

- Że gdzie indziej na pewno jest jeszcze gorzej. I nie wydaje mi się, żeby gdzie indziej morze było piękniejsze.

Jej ręka wędrująca po moim udzie, od kiedy wsiedliśmy do samochodu, zatrzymała się w kroczu. Cúc miała palące palce.

- Kiedy słyszę o tym, jak jest gdzie indziej, to mi się rzygać chce. Wczoraj się dowiedziałam, że cztery tysiące wietnamskich boat people\* zbuntowało się. W obozie dla uchodźców w Sungai Besi w Malezji. Nie wiem, ile było ofiar. Ale cóż to ma za znaczenie...

Zdjęła ze mnie rękę, żeby zapalić papierosy. Podała mi jednego.

- Dzięki.

- Zbiorowa śmierć nie istnieje. Im więcej ofiar, tym mniej się liczą. Masy trupów są nie do ogarnięcia. Za daleko. Nierzeczywiste. Rzeczywista jest tylko śmierć indywidualna. Ta, która cię dotyka osobiście. Wprost. Ta, którą widzisz w swoich oczach albo w oczach drugiego człowieka.

Umilkła. Miała rację. Właśnie dlatego nie mogę puścić płazem śmierci Guitou. Nie, wykluczone. I Żelu też nie mogę zostawić samej. Ani Cúc. Rozumiałem jej uczucia. Widziała Guitou, kiedy wróciła do domu. Jego anielską twarz. Guitou był piękny, tak jak piękny musi być Mathias. Jak są piękni wszyscy chłopcy w tym wieku. Każdej rasy. Wszędzie.

Cúc ujrzała śmierć w jego oczach. Tak jak ja, w kostnicy. Skurwysyństwo świata walnęło nas prosto w pysk. Wystarczy jedna niezasłużona śmierć, jak ta Guitou, zupełnie

\* Boat people - uchodźcy z komunistycznego Wietnamu, którzy w poszukiwaniu wolności uciekali w morze łódkami.

bezsensowna, by odezwały się i zawyły wszystkie potworności, jakie się dzieją na tej ziemi. Nie, nie mogę spisać Guitou na straty. Ani pogodzić się z tym podłym światem. Ani zostawić matek we łzach.

Szurmo! Czy tego chcę, czy nie.

Dojechawszy do Pointe-Rouge, skręciłem w prawo w avenue d'Odessa, biegnącą wzdłuż nowego portu dla żaglówek. Potem skręciłem w lewo, na boulevard Amphitrite, i jeszcze raz w lewo, by znaleźć się na avenue de Montredon. Kierunek centrum.

- Co ty robisz? - spytała.

- Sprawdzam - powiedziałem, zerkając w tylne lustro.

Ale najwyraźniej nikt nas nie śledził. Wolałem jednak zachować ostrożność aż do avenue Goumiers, a stamtąd przez labirynt uliczek wokół Vieille-Chapelle wróciłem do avenue de la Madrague de Montredon.

- Mieszkasz na końcu świata - powiedziała, kiedy wjechałem na małą drogę, prowadzącą do Goudes.

- To mój adres. Koniec świata.

Oparła głowę na moim ramieniu. Nie byłem w Wietnamie, ale wszystkie jego zapachy wyszły mi naprzeciw. Gdzie jest pożądanie, tam są zapachy, pomyślałem sobie. Zawsze inne. Zawsze równie urzekające. Tak się przed sobą usprawiedliwiałem z tego, co mogło nastąpić.

A usprawiedliwienie było mi potrzebne. Nie zadzwoniłem do Żelu. I zapomniałem, że kręcę się po mieście ze spluwą w schowku.

Kiedy wróciłem z dwoma szklaneczkami i butelką lagavulina, Cúc stanęła przede mną naga. Oświetlona nikiłym blaskiem niebieskiej lampki, którą zapaliłem, wchodząc do domu.

Miała doskonale piękne ciało. Zrobiła kilka kroków w moją stronę. Wydawała się stworzona do miłości. W każdym

jej ruchu czuło się hamowaną żądzę. Intensywną, głuchą. Dla mnie niemal nieznośną.

Odstawiłem szklaneczkę, nie wypuszczając z ręki butelki. Musiałem się napić. Dzieliło nas pół metra. Nie spuszczałem z niej oczu. Zafascynowany. Jej spojrzenie było absolutnie obojętne. W twarzy nie drgał choćby najmniejszy mięsień. Maskę bogini. Matowa i gładka. Tak samo jak jej skóra, tak delikatna, że chciało się ją i pieścić, i gryźć.

Napiłem się z butelki. Potężny haust. A potem spróbowałem ominąć Cúc wzrokiem i spojrzeć dalej, na morze za jej plecami. Na szeroko otwartą przestrzeń, horyzont. Szukając latarni morskiej Planier, żeby mi wskazała kierunek.

Ale byłem sam ze sobą. I z Cúc klęczącą u moich stóp.

Przejechała delikatnie palcem po mojej męskości. Potem niespiesznie zaczęła rozpinać rozporek. Ze slipów wysoczył czubek fiuta. Spodnie ześliznęły się w dół. Poczułem włosy Cúc na moich udach, potem jej język. Rękoma chwyciła mnie za pośladki. Jej paznokcie boleśnie wbiły się w moje ciało.

Chciałem krzyknąć.

Wypiłem jeszcze jeden potężny haust. W głowie mi się kręciło. Alkohol palił mnie w żołądku. Na czubku członka pojawiła się kropla spermy. Zbliżyła do niego usta, gorące i wilgotne jak jej język, a jej język...

- Z Hosinem też...

Oderwała paznokcie od moich pośladków. Całe jej ciało zmiękło. Moje zaczęło dygotać. Od tego, że wybełkotałem te słowa. Z wysiłku, żeby je wyartykułować. Jeszcze się napiłem. Dwa krótkie łyki. Potem ruszyłem się. Moja noga. Ciało Cúc, nagle zwiótzałe, zległo na podłodze. Podciągnąłem spodnie.

Usłyszałem cichy płacz. Wyminąłem ją i zacząłem zbierać jej porzucane na ziemi rzeczy. Zapłakała głośniej,

gdy przy niej kucnąłem. Szloch wstrząsał jej ciałem. Jak konająca gąsienica, pomyślałem.

- Masz, ubierz się, proszę.

Powiedziałem to z czułością, lecz jej nie dotknąłem. Po żądanie, jakie we mnie budziła, wcale mi nie przeszło. Czułem je nadal.

## Rozdział piętnasty, w którym można być szczęśliwym z żalu

Już dniało, kiedy odprowadziłem Cûc do najbliższego postoju. Kawał drogi, nawiasem mówiąc. Trzeba było pojechać aż do Vieille Chapelle, żeby znaleźć taksówkę.

Jechaliśmy w milczeniu, paląc papierosy. Lubię tę szarą godzinę przed brzaskiem. Czyste chwile, nie należące do nikogo, nie do wykorzystania.

Spojrzała na mnie. Jej oczy nadal błyszczały jak bryłki węgla. Urzekła mnie tymi oczami od początku. Teraz nieco przygasły ze smutku i zmęczenia. Za to były wolne od strachu, przestały być obojętne. Ludzkie spojrzenie, w którym był i ból, i rany, i nadzieja.

Podczas naszej rozmowy, już dobre dwie godziny temu, tankowałem cały czas. Wychlałem do końca butelkę lagavulina. W pewnym momencie Cûc urwała nagle zdanie i zapytała:

- Dlaczego tyle pijesz?
- Boję się - odpowiedziałem krótko.
- Ja też się boję.
- To nie ten sam strach. Im człowiek starszy, tym więcej popełnił rzeczy nie do naprawienia. Staram się tego unikać, jak mogłaś się przekonać. Ale to nie to jest najgorsze. Są inne rzeczy, których unikać nie wolno. Jeśli człowiek ich nie zrobi, nie będzie mógł spojrzeć w lustro na własną twarz.



- I to cię tak dołuje?
- O tak. Z każdym dniem coraz bardziej.

Siedziała w milczeniu, zamyśliła się. Potem znów się odezwała:

- Zemsta za Guitou to taka rzecz nie do uniknięcia?
- Zabić człowieka to popełnić coś nie do naprawienia a zabić sukinsyna, który to zrobił, wydaje mi się czymś nie do uniknięcia.

Powiedziałem to ze znużeniem. Cúc dotknęła mojej dłoni, jakby chciała dzielić ze mną to znużenie.

Zatrzymałem się za jedyną taksówką stojącą na postoju. Dzień pracy dopiero się zaczynał. Cúc pocałowała mnie leciutko w usta. Krótki, ostatni pocałunek. Jedyny zresztą. Oboje wiedzieliśmy, że to, co się nie stało, już się nie stanie. Z żalu też można być szczęśliwym.

Patrzyłem, jak wsiadła do taksówki, nie oglądając się. Jak Murad. Taksówka ruszyła z miejsca, oddaliła się, a kiedy straciłem z oczu jej światła pozycyjne, zrobiłem w tył zwrot i pojechałem do domu.

Wyspać się nareszcie.

Ktoś delikatnie potrząsał mną za ramię. „Fabio, Fabio!... Ho, ho!” Znam ten głos. To ojciec. Ale nie chcę wstać i iść do szkoły. O nie. Zresztą jestem chory. Mam gorączkę. Tak, gorączkę. Co najmniej 39 stopni. Moje ciało płonie. Chcę, żeby mi podano śniadanie do łóżka. A potem czytać Tarzana. Dziś jest środa, na pewno. Powinien się ukazać nowy numer Przygód Tarzana. Mama pójdzie mi go kupić. Nie może odmówić, bo przecież jestem chory.

- Fabio.

Nie, to nie głos mego ojca. Ale brzmi podobnie. Łagodnie. Poczułem dotyk ręki na głowie. O Boże, jak dobrze! Próbuję się poruszyć. Najpierw ręka. Chyba prawa. Ciężka jak kłoda. Cholera! Drzewo mnie przywaliło. Nie. Miałem wypadek. Coś mi świta w mózgu. Wypadek samochodowy.

W drodze powrotnej. No tak. Nie mam rąk. Może nóg też nie.

- Nie! - zawyłem, przewracając się na bok.

- O kurwa! Nie wydzieraj się tak, nie ma powodu. Ledwo cię dotknąłem - powiedział Fonfon.

Obmacałem się gorączkowo. Wygląda na to, że jestem cały. Cały i zdrowy. W dodatku ubrany. Otworzyłem oczy. Fonfon i Honorine. Mój pokój. Uśmiechnąłem się.

- Ale mi pan stracha napędził. Myślałam, że coś się panu stało. Że dostał pan ataku albo coś w tym rodzaju. Więc pobiegłam po Fonfona.

- Jak będę miał zamiar umrzeć, to panią uprzedzę. Zostawię kartkę na stole. Żeby się pani nie przestraszyła.

- A niech go! - powiedział Fonfon do Honorine. - Ledwo się obudziłam, a już się nabija! Tylko czas tracę na te wygłupy. Za stary na to jestem!

- Spokojnie, Fonfon, spokojnie. Czuję się, jakby to była niedziela wielkanocna. Nie przyniosłeś mi aby kawy?

- I co jeszcze? Rogalika i brioszkę dla jaśniepana?

- To by było super.

- Nie wygłupiaj się!

- Kawa zaraz będzie - powiedziała Honorine. - Parzy się.

- Wstaję.

Wyjątkowo piękny dzień. Bezchmurne niebo. Cienia wiatru. Idealna pogoda, żeby pójść na ryby, jak ma się czas. Spojrzałem na moją łódź. Była tak samo smutna jak ja, że i dziś nie możemy wypłynąć na morze. Fonfon spojrzał w ślad za moim spojrzeniem.

- Powiedz, będziesz miał czas pójść na ryby przed niedzielą? Czy też powinienem je zamówić?

- Zamów owoce morza. Muszle. O ryby sam się zatroszczę. Nie komplikuj sprawy.

Uśmiechnął się. Dopił kawę.

- Dobra, wracam do siebie. Klienci się niecierpliwiają. Dziękuję za kawę, Honorine. - Teraz zwrócił się do mnie ojcowskim tonem: - Wpadnij, zanim znów się gdzieś wypuścisz.

Jak dobrze mieć przy sobie tych dwoje. Z Honorim i Fononem człowiek czuje pewność, że będzie jakieś jutro. Że czeka go jeszcze jakaś przyszłość. W pewnym wieku robi się tak, jakby życie miało trwać wiecznie. Układa się plany na jutro i na pojutrze. Na przyszłą niedzielę i na następną. I dni płyną jedno po drugim. Wygrane ze śmiercią

- Może zrobię jeszcze kawy, co?

- Chętnie. Pani jest aniołem, Honorine.

Poszła do kuchni. Słyszałem, jak się krząta. Opróżnia popielniczki, myje kieliszki, wyrzuca butelki. Jeszcze trochę, a zaczniesz zmieniać pościel.

Zapałem papierosa. Ohydny smak, jak zawsze przy pierwszym. Ale potrzebowałem tego zapachu. Nie wiedziałem jeszcze dobrze, na jakiej jestem planecie. Wrazem, jakbym płynął pod prąd. Coś w tym rodzaju.

Od nieba po morze - nieskończona różnorodność błękitu. Dla turysty przyjeżdżającego z północy, wschodu czy zachodu błękit to zawsze błękit. Dopiero z czasem - byle uważnie się wpatrywał w niebo i morze, pieścił wzrokiem krajobraz - odkryje błękit szary, czarny i ultramarynę, barwę pieprzu i lawendy. A w czasie nocnej burzy fioletowy odcień nieba. Niebieskozielony kolor wzburzonego morza. Miedzianoniebieskie zachody słońca w przeddzień mistralu. Albo błękit tak wyblakły, że niemal biały.

- Halo! Śpi pan?

- Zastanawiam się, Honorine. Zastanawiam się.

- Chyba nie warto, bo marnie się pan prezentuje. Lepiej nie myśleć w ogóle niż tylko po łebkach, mawiała moja biedna mama.

- Nic dodać, nic ująć.

Honorine usiadła, przysunęła się z krzesłem do mnie, obciągnęła spódnicę i przyglądała się, jak piję kawę. Odstawiłem filiżankę.

- No dobra, to nie koniec. Żelu do pana dzwoniła. Dwa razy. O ósmej, a potem kwadrans po dziewiątej. Powiedzia-  
łam, że pan śpi. Zresztą to była prawda. I że nie będę pana  
teraz budziła. Że późno pan się położył.

Patrzyła na mnie kpiącymi oczyma.

- Która godzina?

- Dochodzi dziesiąta.

- Można nawet powiedzieć, że się nie położyłem. De-  
nerwuje się?

- Nie o to chodzi... (Umilnęła i próbowała udawać, że  
jest na mnie zła.) Źle, że pan do niej nie zadzwonił. No  
pewnie, że musi się denerwować. Specjalnie została w ho-  
telu na kolację, na wypadek gdyby pan przyszedł. Zostawiła  
panu wiadomość w recepcji. Czasami pana nie rozumiem,  
daję słowo.

- Niech się pani nawet nie stara, Honorine. Zadzwonię  
do niej.

- No tak, bo ten jej, jak mu tam... Aleks, chce, żeby  
wróciła do Gap. Że on z panem pogada w sprawie Guitou.  
I że nie ma sensu, żeby siedziała bez końca w Marsylii.

- No tak... - Zamyśliłem się. - Może on wie. Może prze-  
czytał gazetę i chce jej zaoszczędzić bólu. No nie wiem.  
Nie znam tego gościa.

Spojrzała na mnie uważnie. Zastanawiała się nad czymś  
intensywnie. Znów obciągnęła spódnicę.

- Jak pan sądzi, czy to odpowiedni mężczyzna? Dla niej,  
ma się rozumieć.

- Żyją razem od dziesięciu lat, Honorine. Wychował jej  
synów...

- Dla mnie odpowiedni mężczyzna to taki, co... (Zamyś-  
liła się.) No dobrze, on zadzwoni, ale... Może jestem niedzi-  
siejsza, ale mógłby się pofatygować, nie? Przyjechać tutaj.

Rozumie pan? Nie chodzi mi o mnie, tylko o pana. Nawet nie wiadomo, jak on wygląda.

- Przyjechał z Gap, Honorine. A poza tym wrócił po dłuższej nieobecności i dowiedział się, że Guitou znikł... Pewnie przede wszystkim chciał go odnaleźć. Reszta była mniej ważna...

- Czy ja wiem... Nie jestem przekonana. To mi się jednak wydaje dziwne...

- Wszędzie się pani doszukuje komplikacji. Jakby ich było nie dość. A poza tym... (Szukałem argumentów.) Chce się ze mną porozumieć, żeby zobaczyć, co się da zrobić. Czy nie tak? A Żelu, co ona na to?

- Nie ma ochoty wracać do domu. Denerwuje się, biedna. Całkiem się zgubiła. Mówi, że ma sieczkę w głowie. Chyba zaczyna się domyślać najgorszego.

- To jej najgorsze i tak jest dalekie od rzeczywistości.

- Dlatego do pana dzwoniła. Żeby z panem pogadać. Dowiedzieć się czegoś. Ona oczekuje od pana pociechy. Jeżeli pan jej powie, że ma wracać do domu, to pana posłucha... Nie uda się panu długo ukrywać przed nią prawdy.

- Wiem.

Zadzwoił telefon.

- O wilku mowa... - powiedziała Honorine.

Ale to nie była Żelu.

- Loubet przy aparacie.

Głos jak w dni, kiedy nie leci.

- O! Co nowego?

- Gdzie byłeś między północą a czwartą rano?

- Bo co?

- To ja zadaję pytania, Montale. Twój interes w tym, żeby: a) odpowiadać, b) nie blefować. Będzie dla ciebie lepiej. Więc słucham cię.

- Byłem w domu.

- Sam?

- Loubet, powiedz, o co chodzi!

- Odpowiadaj, Montale. Sam?
- Nie. Z kobietą.
- Mam nadzieję, że wiesz, jak się nazywa.
- No nie, nie mogę powiedzieć. Ona jest mężatką i...
- Jak podrywasz kobietę, to w pierw się poinformuj. Bo potem jest za późno, palancie!
- Loubet, jak Boga kocham, co jest grane?
- Słuchaj mnie dobrze, Montale. Mogę ci wlepić zbrodnię, rozumiesz? Tobie, nie komu innemu, rozumiesz? Chcesz, żebym po ciebie przyjechał? Z całą pompą, na syrenie? Mów, jak się nazywa. I czy masz świadków, którzy was razem widzieli. Przed, w czasie i po. Sprawdzę, czy to się trzyma kupy, odłożę słuchawkę, a ty zadzwonisz do mnie za kwadrans. Jasne?
- Żona Adriena Fabre'a. Cûc.

Opowiedziałem mu przebieg tego wieczoru. W jakich byliśmy miejscach. Jak minęła noc. Szczegółowo. To znaczy prawie. O reszcie niech sobie myśli, co chce.

- Świetnie - powiedział łagodniejszym głosem. - Zeznania Cûc są zgodne z twoimi. Musimy tylko sprawdzić tak-sówkarza i będzie okej. To teraz trzymaj się: Adrien Fabre został zastrzelony w nocy na boulevard des Dames. Trzy kule w łeb.

Najwyższy czas, żebym oprzytomniał.

Są takie dni, kiedy wszystko źle się zaczyna, nie wiadomo dlaczego. Na Rond-Point przy plażach, tam, gdzie nagi Dawid - replika Michała Anioła - spogląda na morze, zdarzył się wypadek. Kierowano samochody na avenue Prado i do centrum. Przy skrzyżowaniu Prado-Michelet korek aż do place Castellane. Skręciłem w prawo na boulevard Rabatau, a dalej wjechałem na obwodnicę Jarret. W ten sposób można dojechać do portu, omijając centrum. Ten bulwar biegnący wzdłuż strumienia przemienionego w ściek to jedna z najpaskudniejszych arterii Marsylii.

Za Chartreux, na widok tablicy „Malpasse - La Rose - Le Merlan”, olśniło mnie: chyba wiem, gdzie się ukryta Pawia.

Zawróciłem bez chwili wahania. Nie wrzucając kierunkowskazu. Z tyłu rozległy się klaksony. Loubet może zaczekać, powiedziałem sobie. Tylko tam mogła pojechać samochodem. Do Arna. Do tej rudery, gdzie była szczęśliwa. Prosto w łapy Saadny. Powinienem wcześniej na to wpaść. Rany boskie, ale ze mnie osioł.

Zaparkowałem na rue Muret przy kanale i poszedłem do baraku, gdzie mieszkał Arno. Z dołu, z cmentarzyska samochodów, dobiegał wrzask tranzystora Saadny. Powietrze Cuchnęło gumą. Czarny dym bił w niebo. Ten kretyn wciąż jeszcze pali stare opony. Ludzie protestowali, pisali petycje, ale Saadna miał to gdzieś. Można by uwierzyć, że nawet gliniarze się go bali.

Drzwi do baraku były otwarte. Rzut oka do środka potwierdził moje obawy. Skotłowane prześcieradła i koce. Na ziemi rozrzucone strzykawki. Dobry Boże, dlaczego nie wróciła do Panier? Do rodziny Randy'ego. Oni by jej pomogli...

Zszedłem w dół, na szrot, tak dyskretnie, jak tylko mogłem. Pawii nigdzie nie było. Zobaczyłem Saadnę, który wrzucał opony do metalowych beczek, żeby je spalić. Postąpiłem jeszcze kilka kroków naprzód w nadziei, że go zaskoczę. Usłyszałem za plecami trzask odwiedzonego kurka.

- Wyniuchałem cię, padalcu! Naprzód! - powiedział i pchnął mnie lufą w plecy.

- Gdzie ona jest?

- Niby kto?

- Pawia.

Roześmiał się. Śmierząca woń alkoholu.

- Ty też masz ochotę ją przelecieć? To mnie nie dziwi. Udajesz nie wiadomo kogo, ale skurwiel z ciebie. Taki sam

jak tamten. Twój koleś Serge. Ale on by Pawii nie skrzywdził. Cipa go nie interesuje. Woli młode tyłki.

- Rozwałę ci pysk, Saadna.

- Ty, nie przechwalaj się - powiedział, wymachując strzelbą. - Siadaj tu.

Wskazał mi stare rozwalone siedzenie z brązowej skóry. Zapadłem się w nie jak w gówno. Tuż przy ziemi. Ciężko będzie z niego wstać.

- Nie wiedziałeś tego, co, Montale? Z najgorszej rasy pedałów ten twój koleś Serge. Pierdolił małaolatów.

Przyciągnął krzesło i usiadł w bezpiecznej odległości ode mnie. Obok stolika ze sklejk, na którym stała butelka czerwonego wina i brudna szklanka. Nalał sobie.

- Co ty za świństwa opowiadasz?

- Ja swoje wiem. Mam informacje. Coś sobie wyobrażał? Że go wylano z sektora, bo trzymał z tobą sztamę? Gliniarz i księżulo! A gdzie tam! (Roześmiał się, ukazując czarne zęby.) Były skargi. Rodzice małego Esparagasa, na przykład.

Nie wierzyłem mu. Jose Esparagas to był taki słabowity chłopczek. Jednak, nieślubne dziecko. W szkole strasznie mu dokuczali. Z każdej strony. Prawdziwy kozioł ofiarny. Bili go. A przede wszystkim wymuszali pieniądze. Tu stówa, tam stówa. Jak mu kiedyś kazali przynieść tysiąc franków, próbował popełnić samobójstwo. Nie mógł dłużej wytrzymać, biedny dzieciak. Przymknąłem dwóch szczeniaków, którzy go szantażowali. Serge interweniował i doprowadził do przeniesienia chłopca do innego liceum. Przez wiele miesięcy przychodził wieczorem do nich do domu, żeby pomóc chłopakowi nadrobić zaległości. I Jose zdał maturę.

- Brednie. Nie powiedziałaś mi, gdzie jest Pawia.

Nalał sobie kolejną dawkę wina i wypił do dna.

- A prawda, uganiaasz się za tą dziwką. Minąłeś się z nią wtedy. Tyś wyjechał, ona przyjechała. Pech, co? Ale ja tu



byłem. Ja tu zawsze jestem. Zawsze mnie można znaleźć. Zawsze mogę pomóc. Bo ja ludziom pomagam.

- Streszczaj się.

- Nie uwierzysz mi. Widziała cię, jak podbiegłeś do Serge'a, kiedy go zastrzelili. Ale jak zobaczyła gliniarzy, przestraszyła się. Więc zwiąła. Miała pietra. Nie wiedziała, dokąd jechać, kręciła się samochodem w kółko. W końcu przyjechała tutaj. Pewna, że się pojawisz. Że się domyślisz. Dałem jej się wygadać. Rozbawiło mnie, że cię ma za Zorro, daję słowo. Więc jej powiedziałem, że właśnie stąd wyjechałeś. (Znów się zaśmiał.) Żeś zwiewał jak królik przed tym. (Pokazał strzelbę.) I że nieprędko wrócisz. Gdybyś widział jej minę!

Ręce jej opadły. Zgłupiała. Przestała zadzierać nosa, jak wcześniej, kiedy tu była z Arnem. Kiedy kręciła dupą, ale nie dawała się tknąć. No, ale teraz po małej chwili zgodziła się. Jeśli jej skombinuję małą działkę. A ja jestem uczynny, mówiłem ci. Wystarczy zadzwonić. Forsy mi nie brakuje. Mogłem jej dostarczyć tyle dawek, ile tylko chciała.

- Gdzie ona jest? - ryknąłem, bo poczułem, że strach mnie ogarnia.

Wypił jeszcze jedną szklanekę wina.

- Dwa razy ją przeleciałem. Koszta się zwróciły, warto było. Trochę zniszczona ta Pawia. Ale cycki piękne i dupa też niczego... Podobałoby ci się. Stary zbereźnik z ciebie, jak ja, dobrze wiem. No jazda, naprzód, młodzieży! Tak sobie mówiłem, kiedy ją pierdoliłem.

Znów zarechotał. Zalała mnie fala nienawiści. Gorąco mi się zrobiło. Zaparłem się piętami w ziemię, żeby skoczyć przy najbliższej okazji.

- Nie ruszaj się, Montale. Powiedziałem ci, stary zbereźnik z ciebie, i mam cię na oku. Jeśli choć ruszysz palcem, strzelam. Najchętniej w jaja.

- Gdzie ona jest? - spytałem jeszcze raz możliwie najspokojniej.

- Nie uwierzysz, ale ta kretynka była tak łakoma, że zrobiła sobie shoota, który ją wysadził w powietrze. Zajeżdżała się na śmierć. Możesz sobie wyobrazić? Musiała szybować jak nigdy w swoim kurewskim życiu! Kretynka, daję słowo. Żle by tu jej było? Chata, żarcie. I tripów, ile zachce, na koszt gospodarza. No i ja, żeby ją pieprzyć tędy i owędy.

- Nie zniosła ciebie, ty mendo. Nawet zaćpana na śmierć wiedziała, gdzie są śmieci. Coś z nią zrobił, Saadna? Mów! Rany boskie!

Zaśmiał się. Nerwowo tym razem. Nalał sobie wińska i znów wypił. Patrzył gdzieś w dal. Potem głową wskazał okno. Wydobywał się z niego czarny, tłusty dym. Poczulem kulę w gardle.

- No nie - jęknąłem.

- A co miałem zrobić? Zakopać ją w polu? Przynosić jej kwiatki co wieczór? Szmata z tej twojej Pawii. Można ją było tylko rznąć. Do życia się nie nadawała.

Zamknąłem oczy.

Pawia.

Ryknąłem jak obłąkaniec, wyzwalając nagromadzoną w środku wściekłość. Jakby mi kto serce napiętnował rozpalonym żelazem. Przesuwały mi się przed oczami najstraszniejsze obrazy, jakie kiedykolwiek zarejestrowałem w głowie. Zwały trupów w Auschwitzu. W Hiroshimie. W Rwandzie. W Bośni. Wycie śmierci. Wycie faszyzmu wszędzie na świecie.

Wyrzygać to wszystko. Zaraz.

Zerwałem się na nogi z opuszczoną głową.

Saadna się nie spodziewał. Spadłem na niego jak cyklon. Przewrócił się z krzesłem. Strzelba wypadła mu z rąk. Chwyliłem ją za lufę, uniosłem i z całej siły rąbnąłem go w kolano.

Usłyszałem trzask kości. Opamiętałem się.

Saadna nawet nie krzyknął. Zemdlał.

Rozdział szesnasty,  
w którym następuje spotkanie  
ze zgliszczami nieszczęścia

Ocuciłem Saadnę kubłem zimnej wody.

- Ty ścierwo - mruknął.

Ale nie był zdolny do najmniejszego wysiłku. Złapałem go za szyję i przywlokłem do fotela. Oparł się plecami o podłokietnik. Cuchnął gównem. Pewnie się zesrał. Znów chwyciłem strzelbę za lufę, obiema rękami.

- Ta przetrącona girą to jeszcze nic. Rozwalę ci drugie kolano. Nigdy już nie będziesz chodził. Nawet łokcie ci złamię, zobaczysz. Larwa z ciebie zostanie. Będziesz marzył, żeby zdechnąć.

- Mam coś dla ciebie.

- Za późno na handel.

- Znalazłem coś w aucie Serge'a, kiedy je rozbierałem na części.

- Mów.

- Przystaniesz bić?

Nie byłbym w stanie walnąć go jeszcze raz z taką wściekłością i siłą jak przedtem. Byłem wypompowany. Pusty w środku jak widmo. Już nie krew krążyła w moim ciele, tylko rzygi. W głowie mi szumiało.

- Mów, zobaczymy.

Spojrzał na mnie chytrze. Myślał, że mnie podszedł. Dla tego gościa w życiu istniały tylko przekręty i kombinacje. Uśmiechnął się półgębkiem.

- Przy zapasowym kole znalazłem przyklejony taśmą zeszyt. W plastiku. Czysta robota. W środku cały zapisany. Nie czytałem wszystkiego, bo mnie nie interesuje. Mam gdzieś te historie z Arabami, islamem i tym podobne. A niech ich wszystkich szlag trafi! Ale masz tam listy nazwisk z adresami. Osiedle po osiedlu. Jakby jakaś cała siatka. Falszywe dokumenty. Forsa. Narkotyki. Broń. Dam ci ten zeszyt i spadaj. Zapomnij o wszystkim. Zapomnij o mnie. I obyśmy się więcej nie spotkali.

Słusznie podejrzewałem, że musi być jakiś notes. Nie wiem, co Serge kombinował, ale znałem go dobrze, to był sumienny facet. Kiedyśmy razem pracowali, wszystko notował, dzień po dniu.

- Szkoda, że się nie widzisz, Saadna. Dołożę ci, to powiesz, gdzie jest ten pieprzony zeszyt.

- Chyba ci się nie uda, Montale. Ty masz jaja tylko wtedy, jak cię nienawiść rozsadza. Na zimno jesteś do niczego. No masz, wal.

Wyciągnął ku mnie nogę. Staralem się nie patrzeć mu w oczy.

- Gdzie ten zeszyt?

- Przysięgnij. Na twoich starych.

- Dlaczego miałby mnie interesować ten zeszyt?

- O, kurwa! Toż to książka telefoniczna. Przeczytasz, zobaczysz, a potem zrobisz z tym, co będziesz chciał. Zeżresz go albo sprzedasz. Mówię ci, wszystkich masz w rękę. Możesz z nich wycisnąć dużo forsy tylko za to, że wyrwiesz jedną stronę.

- Gdzie jest? Przysięgam, że zaraz potem się zwijam.

- Masz fajki?

Zapaliłem papierosa i włożyłem mu go do ust. Spojrzał na mnie. Oczywiście nie mógł mieć do mnie całkowitego

zaufania. A ja też nie byłem pewien, czy nie mam ochoty wrzucić go do beczki razem z oponami.

- No?

- W szufladzie stołu.

To był gruby zeszyt. Stronice pokryte od góry do dołu starannym, drobnym pismem Serge'a. Otworzyłem na chybił trafił: „Bojownicy gruntownie wykorzystują obszar pomocy społecznej, zaniedbany przez władze miejskie. Głoszą cele humanitarne, jak zagospodarowanie wolnego czasu, pomoc szkolna, nauka arabskiego...” A dalej: „Strategiczny cel działaczy daleko wykracza poza walkę z narkomanią. Wpisuje się w perspektywę miejskiej walki zbrojnej.”

- I jak ci się podoba? - spytał Saadna.

Druga połowa zeszytu przypominała notes z adresami. U góry pierwszej strony taki komentarz: „Cała masa młodych beurów z dzielnic północnych jest gotowa bawić się w kamikaze. Manipulują nimi ludzie znani policji (por. Abdelkader). Nad nimi stoją inni ludzie. Wielu innych.”

Z osiedla Bigotte tylko jedno nazwisko. Reduana. Potwierdziło się wszystko, co mówił Murad. Plus dodatkowe szczegóły. Rzeczy, z których Reduan nie zwierzał się bratu.

W dzielnicach północnych Reduan miał dwóch ojców chrzestnych. Nasera i niejakiego Hamela. Obaj doświadczeni działacze od 1993 roku. Przedtem należeli do służby porządkowej muzułmańskiego ruchu młodzieżowego. Hamel odpowiadał nawet za bezpieczeństwo podczas wielkiego wieceu solidarnościowego z Bośnią na Plaine-Saint-Denis.

Wycinek z artykułu w „Nouvel Observateur” relacjonował przebieg tego zgromadzenia. „Na trybunie są obecni radca kulturalny ambasady irańskiej oraz Algierczyk Raszid Ben Aissa, intelektualista bliski Bractwu Algierskiemu we Francji. Raszid ben Aissa to nie byle kto. W latach osiemdziesiątych uczestniczył w wielu spotkaniach w irańskim centrum muzułmańskim przy rue Jean-Bart w Paryżu. To tam zwerbowano większość członków siatki terrorystycz-

nej, dowodzonej przez Fuada Alego Salaha, inspiratora zamachów w Paryżu w 1986 roku."

Zanim Reduan pojechał do Sarajewa z „7. brygadą międzynarodową Braci Muzułmanów”, przeszedł szkolenie w obozach organizowanych u stóp Mont Ventoux.

Niejaki Raszid („czy Raszid Ben Aissa?” - zanotował Serge) zajmuje się organizacją i rozlokowaniem ochotników w prywatnych kwaterach we wsi Bedoin. „Kto przejdzie szkolenie, nie może się już wycofać. Opornym się grozi. Mówi im się, jaki los spotyka zdrajców w Algierii, i pokazuje zdjęcia mężczyzn z poderżniętym gardłem, wykrwawionych jak barany.” Zdaniem Serge'a, te „szkolenia bojówkarzy” odbywały się w cyklu jedno na kwartał.

„Młodym rekrutom towarzyszył w drodze do Bośni niejaki Arrum. Ten Arrum ma potężne plecy. Jest członkiem Lowafac Foundation z siedzibą w Zagrzebiu, dla każdej misji w Bośni miał akredytację wydaną przez Wysokiego Komisarza do spraw uchodźców przy ONZ.” Na marginesie Serge dopisał: „Arrum zatrzymany 28 marca.”

Fiszka Reduana kończyła się następującym podsumowaniem: „Od powrotu z Bośni nie brał udziału w akcjach przeciwko dilerom heroiny. Podobno nie ufają mu jeszcze do końca. Ale trzeba go pilnować. Nie ma żadnego oparcia. Naser i Hamel nie spuszczają go z oczu. To twardziele. Może stać się niebezpieczny.”

- Co ten Serge szykował? Artykuł? Opracowanie?

Saadna roześmiał się drwiąco.

- Zmienił fach. Trochę pod przymusem, ale zawsze...

Pracował dla RG\*.

- Serge?!

- Przyszli do niego, kiedy go wyrzucono z pracy. Z całą dokumentacją, zeznaniami rodziców, skargami. Że niby pieprzył dzieciaki.

\* Renseignements Generales - służby wywiadowcze.

Co za sukinsyny, pomyślałem sobie. To ich metody. Gotowi iść na wszystko, byle przeniknąć do jakiejś siatki. A już szczególnie wykorzystywać ludzi. Skruszonych bandziorów. Algierczyków w nieuregulowanej sytuacji...

- I co potem?

- Jakie potem? Nie wiem, czy te historie ze szczeniakami to prawda. Faktem jest, że jak tu do niego przyjechali, z tą teczką i tym wszystkim, to był w łóżku z jakąś ciotą. Młodziakiem. Nawet chyba niepełnoletnim. Wyobrażasz sobie, Montale? Ohyda! Mieli prawo go za to posadzić. Powiesz mi, że w Baumettes dopiero mógłby sobie użyć z chłopakami!

Wstałem i wziąłem strzelbę do ręki.

- Jeszcze coś takiego powiesz, a rozwalę ci drugie kolano.

- Kiedy tak było, jak mówię - powiedział Saadna, wzruszając ramionami.

- Skąd wiesz?

- Dwugłowy mnie oświecił. Dogadujemy się.

- Ty mu powiedziałeś, że Serge u ciebie mieszka?

Kiwnął potakująco głową.

- Twój koleś nie wszystkich uszczęśliwił, grzebiąc w tym gównie. Dwugłowy nie poluje na terenie tych facetów z zeszytu. Mówi, że oni robią porządek. Rozprawiają się z dilerami i tak dalej. Czyściej jest od tego. I statystyki lepsze. A Dwugłowy tylko na tym korzysta. Mówi, że zawsze się zdąży wsadzić to całe arabstwo na statek, kiedy brodacze będą panami Algierii. Jazda do domu!

- Co on o tym może wiedzieć, ten kretyn?

- Tak uważa. Mówi, że to ma swoje dobre strony.

Przypomniała mi się ulotka Frontu Narodowego w Koranie Reduana.

- Rozumiem.

- Wiadomo było, że jest jakaś wtyczka na osiedlach. Dwugłowy prosił, żebym się dowiedział, kto to taki. Dla mnie to nie kłopot. Miałem ją w ręku...

Roześmiał się.

Dwugłowy rzeczywiście wziął mnie za idiotę wtedy, na komisariacie. Zaniepokoiło go, że się pojawiłem w Bigotte. To nie było przewidziane. Pomyślał pewnie, że coś się za tym kryje. Że Serge i ja pracujemy w ekipie. Jak dawniej.

Zrozumiałem, dlaczego wyciszono śmierć Serge'a. Żadnej reklamy wokół pracującego dla wywiadu faceta, który dał się sprzątać. Żadnych fal.

- Mówiłeś komuś o tym zeszycie?

- Boli mnie - powiedział.

Kucnąłem przy nim. Nie za blisko. Nie żebym się bał, że na mnie skoczy, tylko dlatego, że cuchnął. Przymknął oczy. Na pewno cierpiał. Dotknąłem kolbę strzelby złamanego kolana. Otworzył oczy z bólu. Ujrzałem w nich nienawiść.

- Komu mówiłeś, skurwysynu?

- Powiedziałem tylko Dwugłowemu, że może zgarnąć wielką wygraną. Że jest taki jeden Budżema Resaf. Facet wydalony z Francji w 1992 roku. Działacz GIA. Serge go wytropił. Facet mieszka w Plan d'Aou. Jego adres jest w zeszycie.

- Mówiłeś Dwugłowemu o zeszycie?

Spuścił głowę.

- Tak, powiedziałem.

- Trzyma cię za jaja, nie tak?

- No tak.

- Kiedy do niego dzwoniłeś?

- Dwie godziny temu.

Wstałem.

- Dziwię się, że jeszcze żyjesz.

- Jak to?

- Jeśli Dwugłowy nie łowi na terenach brodaczy, to dla tego, że prowadzi z nimi interesy, kretynie. Sam mi to wytłumaczyłeś.



- Tak myślisz? - wybełkotał. Trząś się teraz ze strachu.  
- Daj mi łyka, proszę,

O cholera, znowu się zesra, pomyślałem sobie. Nalałem mu tego obrzydliwego sikacza i podałem szklanke. Najwyższy czas się stąd zmyć.

Spojrzałem na Saadnę. Nie byłem pewien, czy można go jeszcze zaliczyć do kategorii istot ludzkich. Skulony w fotelu przypominał wrzód wypełniony ropą. Saadna zrozumiał moje spojrzenie.

- Montale... Chyba mnie nie rozwalisz, mimo wszystko.

W tym momencie usłyszeliśmy trzask. Trzask pękającej butelki. Kupa żelastwa na prawo od nas stanęła w ogniu. Wybuchła druga butelka. Koktajle Mołotowa. O skurwysyny! Kucnąłem i ze strzelbą w rękę zbliżyłem się do okna.

Zobaczyłem Reduana zbiegającego w dół na cmentarzysko. Naser musi być niedaleko. A Hamel? Czy Hamel też tu jest? Nie miałem najmniejszej ochoty zdechnąć w tej pułapce na szczury.

Saadna też nie. Podpełził do mnie, jęcząc. Grube krople potu wystąpiły mu na twarz. Cuchnął śmiercią. Śmiercią i gównem. Wszystkim, czym było jego życie.

- Ratuj mnie, Montale. Mam kupę szmalu.

I rozplakał się, gnida.

Cmentarzysko samochodów stanęło w ogniu. A potem zobaczyłem zbliżającego się Nasera. Jednym susem stanąłem u drzwi. Naładowałem broń. Ale Naser nie zadał sobie trudu, żeby wejść do środka. Przez otwarte okno wrzucił jeszcze jedną z tych cholernych butelek. Rozbiła się w głębi pokoju. Tam, gdzie przed chwilą siedział Saadna.

- Montale! - wrzasnął. - Nie zostawiaj mnie!

Barak zajął się ogniem. Podbiegłem do stołu zabrać zeszyt Serge'a. Wsadziłem go za koszulę. Wróciłem do drzwi. Otworzyłem je powoli. Ale nie spodziewałem się, że ktoś do mnie strzeli. Reduan i Naser pewnie byli już daleko.

Żar chwycił mnie za gardło. Powietrze było jednym płonącym smrodem. Nastąpił wybuch. Pewnie benzyna. Grzmiało ze wszystkich stron. Zaraz się wszystko zawali.

Saadna przyczołgał się do drzwi. Jak robak. Obiema rękami złapał mnie za łydkę. Z nieprawdopodobną siłą. Wydawało się, że oczy mu wyjdą z twarzy.

Oszalał ze strachu.

- Wyciągnij mnie!

- Zdechniesz! (Złapałem go gwałtownie za włosy, zmuszając do podniesienia głowy.) Patrz! To jest piekło! Prawdziwe. Dla takich ścierw jak ty! To twoje pieskie życie cię zeżre! Pomyśl o Pawii.

I z całej siły walnąłem go kolbą strzelby w nadgarstek. Wrzasnął i puścił moją łydkę. Wyskoczyłem na dwór i poleciałem na tyły baraku. Ogień rozszerzał się błyskawicznie. Rzuciłem strzelbę w płomień, najdalej jak mogłem, i uciekłem stamtąd, nie oglądając się za siebie.

Zdążyłem dobiec do kanału na czas, by zobaczyć, jak barak ginie w płomieniach. Wydawało mi się, że słyszę wycie Saadny. Ale to wyło w mojej głowie. Jak w samolocie po lądowaniu, kiedy nadal świszczę w uszach. Saadna płonął i jego śmierć przebijała mi bębenki. Ale nie miałem wyrzutów sumienia.

Nastąpił kolejny wybuch. Płonąca sosna zwała się na barak, w którym mieszkał kiedyś Arno. No tak, powiedziałem sobie, to koniec. Niebawem nic tu nie zostanie. Puste miejsce. Za rok, dwa na miejscu cmentarzyska wyrosną całe osiedla prowansalskich domków jednorodzinnych. Ku radości publiki. Zamieszkają w nich młodzi urzędnicy średniego szczebla, zadowoleni z losu. Czym prędzej zrobią żonom dzieciaki i będą żyli szczęśliwie, jeszcze długie lata po roku 2000. Na zgliszczach nieszczęścia Arna i Pawii.

Ruszyłem z miejsca, gdy rozległa się syrena strażacka.

Rozdział siedemnasty,  
w którym czasem im mniej się tłumaczy,  
tym lepiej

Loubet oczywiście zrobił mi awanturę. Był wściekły. Czeka na mnie od paru godzin. Co więcej, Cûc mu powiedziała, że nie będzie się mógł spotkać z Mathiasem. Nie wiedziała, gdzie jest.

- Jaja sobie ze mnie robi czy co! (Ponieważ nie wiadomo było, czy to pytanie, czy twierdzenie, nie odezwałem się. Kontynuował.) Skoro wszedłeś w bliskie stosunki z tą damą, doradź jej, żeby odszukała synalka. I to szybko.

Z miejsca, w którym stałem, widziałem bijący w niebo czarny słup dymu nad szrotem Saadny. Zewsząd nadjeżdżały wozy strażackie. Ugrzązłbym, gdybym odjechał chwilę później. W miejscu zwanym Four de Buze zatrzymałem się, żeby zatelefonować z kabiny.

- Daj mi jeszcze godzinkę - powiedziałem.

- Co?!

- Jeszcze godzinę.

Znów się rozdarł. Miał rację, ale to było nużące. Czekalem, aż skończy. Nie słuchając. Nie odzywając się.

- Montale, jesteś tam?

- Wyświadcz mi przysługę. Zadzwoni do mnie za kwadrans. Na komisariat Pertina.

- Zaraz, zaraz. Wy tłumacz mi, o co chodzi.

- Nie warto. Zadzwoń. A wtedy będziesz miał pewność, że do ciebie przyjdę. To znaczy, że mnie zobaczysz żywego.

I odłożyłem słuchawkę.

Czasami im mniej się tłumaczy, tym lepiej. Czuję się teraz jak drewniany koń na karuzeli. Kręciłem się w próżni. Nikt mnie nie doganiał ani ja nikogo nie doganiałem. I wciąż wracałem do tego samego punktu. Do tego zasranego świata.

Zadzwoiłem do hotelu Żelu.

- Pokój 406, poproszę.

- Chwileczkę. (Cisza.) Bardzo mi przykro, państwo Narni wyszli. Klucz wisi w recepcji.

- Nie zostawili dla mnie wiadomości? Mówi Montale, Fabio Montale.

- Nie, proszę pana. Chce pan coś przekazać?

- Proszę im powiedzieć, że zadzwonię koło drugiej, może w pół do trzeciej.

Narni. No dobra. Nie zmarnowałem całego ranka. Przy najmniej wiem, jak się nazywa Aleksander. No i co z tego?

Pierwsze, co zobaczyłem, wchodząc do komisariatu, to plakat wzywający do głosowania w wyborach związkowych na Front Narodowy. Jakby Solidarite Police\* nie wystarczyła.

Do plakatu była przypięta pinezka ulotka: „Na polu utrzymania porządku jesteśmy świadkami zaniedbań ze strony kierownictwa, które każe nam maksymalnie unikać otwartego starcia i zmusza do wydawania zbyt bojaźliwych rozkazów. Taka postawa jest przyczyną braku skuteczności oraz niezliczonej liczby rannych w naszych szeregach na korzyść bandytów, którzy spokojnie się obławiają. Należy się przeciwstawić nihilistycznej tendencji, panującej w naszych służbach. Strach musi zmienić obóz. Tym bardziej

\* Solidarność Policjantów - skrajnie prawicowa organizacja wewnątrz policji.

że nasi przeciwnicy to nie porządni ludzie, tylko kanalie, które chcą „dokopać glinom”. Zdobądźmy środki, które nam pozwolą grać rolę raczej rzeźnika niż cielęcia.”

W końcu nie ma to jak trafić na komisariat, żeby się dowiedzieć, co się naprawdę dzieje. Wiadomości lepsze niż dziennik telewizyjny o dwudziestej!

- Właśnie ktoś to powiesił - powiedział Babar za moimi plecami.

- Byle szybciej do emerytury!

- Rzekłeś. Śmierdząca sprawa.

- Jest u siebie?

- Tak, ale miota się, jakby miał hemoroidy. Nie może usiedzieć na krześle.

Wszedłem bez pukania.

- Nie krępuj się! - wrzasnął Pertin.

Więc się nie krępowalem. Usiadłem i zapaliłem papierosa. Podniósł się zza biurka, oparł dłonie płasko na blacie i pochylił ku mnie zaczerwienioną twarz.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Zrobiłem głupstwo, Pertin. Wiesz, wtedy kiedy zastrelono Serge'a. Przemyślałem sprawę i chętnie bym podpisał swoje zeznanie.

Wyprostował się, oszołomiony.

- Nie pierdol, Montale. Pedalskie historie nie mają znaczenia. Dość jest zajęcia z arabstwem i murzyństwem. Nawet sobie nie wyobrażasz! Można by pomyśleć, że te mały obciągają laskę sędziom. Wsadzasz jednego rano, a wieczorem już jest na wolności... Spadaj!

- Kiedy właśnie doszedłem do wniosku, że to wcale nie zwykła pedaska historia, która się źle skończyła. Śmierć Serge'a jest raczej związana z arabskimi historiami. Nie wydaje ci się?

- A cóż by Serge z nimi kombinował? - spytał z głupia frant.

- Musisz wiedzieć, Pertin. Przecież trzymasz rękę na pulsie. Nic ci nie umknie. Jesteś świetnie poinformowanym gliniarzem.

- Mów, co masz do powiedzenia.

- Okej, już wykładam.

Usiadł ze skrzyżowanymi ramionami. Czekał. Wiele bym dał, żeby wiedzieć, o czym myśli ukryty za swoimi ray-banami. Ale mógłbym się założyć, że umiera z ochoty, żeby mnie grzmotnąć pięścią w twarz.

Opowiedziałem mu historię, w którą wierzyłem tylko w połowie. Ale prawdopodobną. Serge został „zwerbowany” przez RG. Ponieważ był pedofilem. A w każdym razie takiego znaleźli na niego haka.

- Ciekawe.

- Dalej jest jeszcze ciekawiej. Informowano cię, Pertin, że RG wysłały wtyczkę na osiedla. Żeby rozpracować ewentualne siatki w rodzaju tej Kelkala. Nie ma z nimi żartów, od kiedy zaczęło naprawdę grzać w Paryżu i Lyonie. Rozgryźłeś, kim jest Serge, dopiero kilka miesięcy temu. Kiedy wyczepił i wywiad zgubił jego ślad. Nikt nawet nie wiedział, gdzie mieszka. Wyobrażam sobie ten burdel.

Zrobiłem pauzę, żeby uporządkować myśli. Bo wierzyłem, że tak właśnie było. Dla Serge'a, pedała czy nie pedała, dzieciaki z osiedli były treścią jego życia. Nie mógł się tak nagle zmienić z dnia na dzień. Zostać kapusiem. Prowadzić kartotekę dzieciaków „dryfujących”, potencjalnych Kelkalów, i przekazywać tę listę gliniarzom. Żeby przy nadarzącej się okazji - najbardziej nagłośnionej, ma się rozumieć - mogli spokojnie wszystkich zgarnąć prosto z łózka.

Parę takich pięknych akcji udało się już policji zrobić. W Paryżu, na przedmieściach Lyonu. W Marsylii też były aresztowania. W porcie. Na cours Belsunce. Ale nic naprawdę poważnego. W dzielnicach północnych siatki, na których opierali się terroryści, pozostały nietknięte. Zapewne chowano ten kasek na później.

Tego byłem pewien. Serge nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Nawet żeby uniknąć procesu i więzienia. Hańba. Każde nazwisko, podane gliniarzom, było jak żywa tarcza. No i zawsze ta sama historia, którą znał na pamięć. Szefowie, zleceniodawcy wychodzili z tego cało. A ci mali dostawali dożywocie. Jeśli nie kulę w łeb.

Milczenie ciężkie, że można nożem kroić. Tłuste milczenie. Zgniłe. Pertin ani drgnął. Pewnie miał myślowe. Słyszałem, jak wiele razy zadzwonił telefon. Żadnego nie przełączono na jego biurko. Loubet zapomniał o mnie. Albo naprawdę się na mnie wściekł. Ale skoro tu jestem, nie pozostaje nic innego, jak kontynuować.

- Mówić dalej?

- Pasjonujesz mnie.

Więc tłumaczyłem dalej, jak to widzę. Domyślałem się, że mój punkt widzenia jest bliski rzeczywistości. Uczepiłem się tej prawdy.

Serge postanowił zrobić to, na co nikt się jeszcze nie odważył. Skontaktować się z młodymi, których zidentyfikował, i z nimi pogadać. Potem odwiedzić ich rodziców i rodzinę. A jednocześnie dać sygnał innym dzieciakom. Żeby się w to wmieszały. Żeby wszyscy się w to wmieszali na osiedlach. Jak Anselme. Zasada szurmo.

Tak funkcjonował Serge przez całe lata. Dobra metoda. Skuteczna. Dawała wyniki. Młodzi, którzy pracowali dla brodaczy, to nikt inny jak młodociani przestępcy, z którymi miał do czynienia od lat. Ci sami, siłą rzeczy. Ale zahartowani przez więzienie. No i bardziej agresywni. Narkotyzowali się wyzwolicielskim Koranem. Fanatycy. Jak ich bezrobotni bracia z przedmieść Algieru.

Na osiedlach wszyscy znali Serge'a. Słuchano go. Ufano mu. Anselme powiedział: „Facet był w porządku.” Miał dobre argumenty, ponieważ cierpliwie rozpracował system rekrutacji młodych beurów. Na przykład wojna z dilerami. Przepędzono ich z Plan d'Au, z Savine również. Wszyscy

klaskali. Merostwo, gazety. „Dobra młodzież...”, jak można by powiedzieć „dobre dzikusy”. Ale handel heroiną wcale przez to nie ustał. Tyle że się przeniósł do centrum miasta. Zrestrukturyzował się. Dla innych narkotyków, trawy i tak dalej, nic się nie zmieniło. Trochę popalić, trochę się pomodlić - to się mieści w porządku Allana.

Kontrolę nad dilerami sprawowali obecnie ci sami ludzie, którzy nakłaniali młodych do ich zwalczania. W zeszycie Serge'a przeczytałem, że jedno z miejsc modlitwy - na zapleczu sklepu z tekstyliami w pobliżu place d'Aix - to punkt kontaktowy dilerów. Tych, co zaopatrywali dzielnice północne. Właścicielem sklepu był nie kto inny, jak wujek Naser. Niejaki Abdelkader.

- Do czego zmierzasz? - spytał w końcu Pertin.

- Właśnie do tego - powiedziałem z uśmiechem. (Nareszcie połknął haczyk.) - Że ci z RG kazali ci najpierw odszukać Serge'a. Ale ty go już znalazłeś. Dzięki Saadnie. Następnie położyć kres jego wygłupom. Czyli żebyś go sprzątnął. Wreszcie, że masz mnie za idiotę i udajesz, że słuchasz mojej opowieści. Bo ją przecież znasz na pamięć. Albo prawie. I rozgrywasz ją cudownie, zwłaszcza z paroma małymi bandziorami, którzy dzięki Koranowi zmienili profil. Jak Naser czy Hamel. Tych dwóch jakoś zapomniałeś przekazać sędziom. Może tobie obciążają łaskę. Co?

- Mów tak dalej, a strzelę cię w pysk.

- Widzisz, Pertin, chociaż ten jeden raz mógłbyś przyznać, że nie jestem aż takim kretynem, na jakiego wyglądam.

Wstał, zacierając ręce.

- Carli! - ryknął.

To będzie moje święto. Wszedł Carli, spojrzał na mnie spode łba.

- Tak jest.

- Ładną mamy pogodę, prawda? Może poszlibyśmy się przewietrzyć? W stronę kamieniołomów. Mamy gościa. Król kretynów we własnej osobie.



W komisariacie zadzwonił telefon. Potem na biurku Pertina.

- Tak - powiedział Pertin. - Kto? (Pauza.) Cześć. Tak, w porządku. (Spojrzał na mnie, potem na Carlego, i bar-dziej opadł na krzesło, niż na nim usiadł.) Tak, tak. Daję ci go. To do ciebie - powiedział zimno, podając mi słuchawkę.

- Prawie skończyłem, stary - odpowiedziałem Loubeto-wi, który pytał, co tam robię z tym popaprańcem. - Co? Tak... Powiedzmy... Czekaj. Skończyliśmy? - spytałem ironicznie Pertina. - Czy też nadal się wybieramy na wycieczkę do kamieniołomów? (Nie odpowiedział.) Tak, za pół godziny. Okej (Już miałem odłożyć słuchawkę, ale uznałem, że warto jeszcze coś dorzucić, żeby olśnić Pertina.) Tak, tak, niejaki Budżema Resaf, a skoro przy tym jesteś, sprawdź, co masz na temat gościa nazwiskiem Narni. Aleksander Narni. Okej. Później ci wyjaśnię, Loubet.

Odłożył słuchawkę. Brutalnie. Dopiero co mi powiedział, że jestem maksymalnie wkurwiający. Chyba miał rację.

Wstałem. Uśmiechnąłem się jak za moich dobrych dni. Taki uśmiech pozwala uniknąć zbrudzenia się pluciem w twarz łajdakom.

- Zostaw nas samych! - wrzasnął Pertin do Carlego.

- Co to za cyrk? - szczechnął na mnie, kiedy tamten wyszedł.

- Cyrk, powiadasz? Nie zauważyłem choćby jednego klauna.

- Przestań się zgrywać, Montale. To nie w twoim stylu. A Loubet to nie kamizelka kuloodporna.

- Przecież tego byś nie zrobił, Pertin, co? Już to, że po-stałeś dziś rano ludzi, żeby podpalili Saadnę, nie było do-brym pomysłem, jeśli chcesz znać moje zdanie. Zwłaszcza że te dwa szczeniaki - wiesz, kogo mam na myśli? - na-wet się nie pofatygowały sprawdzić, czy Saadna się upiekł, czy nie. Powiesz mi, że nie ja będę go opłakiwał?

Tu go miałem. To zupełnie tak jak połów tuńczyka. Przychodzi moment, kiedy ryba słabnie. Trzeba doczekać tej chwili. I wtedy znów poderwać wędkę.

- Co ty o tym wiesz?

- Byłem, widziałem. Dzwonił do ciebie, żeby ci przekazać informację o Budżemie Resafie. Zdawało mu się, że to dla ciebie fantastyczna wiadomość, że mu za to zapłacisz. Mogę ci nawet powiedzieć, do kogo zaraz potem zadzwoniłeś.

- Ach tak...

Blefowałem, ale tylko trochę. Wyciągnąłem zeszyt.

- Wszystko jest tu napisane. Wystarczy poczytać. (Otworzyłem zeszyt na chybił trafił.) Abdelkader. Wujek Nasera. Istna kopalnia, ten zeszyt. Posunę się nawet do przypuszczenia, że ów Abdelkader ma czarne bmw. W rodzaju tego, które widziano na osiedlu Bigotte wczoraj po południu. I pewnie jak w banku, że tam pojechali jego furą. Tego Abdelkadera. Jakby się wybierali na balet! Tylko że...

Pertin zaniósł się nerwowym śmiechem, potem wyrwał mi zeszyt z rąk. Przerzucił kartki. Były czyste. Zeszyt Serge'a ukryłem w samochodzie, a przed przyjściem tutaj kupiłem nowy. Nie żeby miał mi do czegoś posłużyć. Po prostu w charakterze wiśni na torcie.

- Ty skurwysynu!

- A tak! Przegrałeś. Loubet ma oryginał. (Rzucił zeszyt na biurko.) Powiem ci coś, Pertin. To naprawdę duży minus dla ciebie, że ty i twoi kołesie ściemniacie sprawę, kiedy te ścierwa manipulują biednymi dzieciakami, żeby Francja stanęła w ogniu i spłynęła krwią.

- Co ty mi tu jeszcze wyśpiewujesz?

- Ja tam nigdy nie miałem sympatii do Saddama Husajna. Wolę Arabów bez brody, a Marsylię bez was. Czołem, Dwugłowy. Zachowaj zeszyt, możesz w nim pisać pamiętniki.

Wychodząc, zerwałem ze ściany plakat i ulotkę Frontu Narodowego. Zwinąłem je w kulę i cisnąłem do kosza przy drzwiach wejściowych. Wpadła w sam środek.

Babar gwizdnął z podziwu.

Rozdział osiemnasty,  
w którym nie da się zmusić prawdy.  
żeby wyszła na jaw

Udało mi się namówić Loubeta, żebyśmy poszli do Oursin przy Starym Porcie. Jedno z najlepszych miejsc na owoce morza: ostrygi, jeże morskie, mięczaki. Zamówiłem je na wejściu. I butelkę cassisu. Białego, z Fontcreuse. Loubet był zły.

- W jakim chcesz porządku, ale opowiadaj - powiedział.  
- Możliwie najwięcej, zgoda? Lubię cię, Montale, ale naprawdę zaczynasz mnie wkurzać.

- Jedno pytanie. Mogę? (Uśmiechnął się.) Naprawdę sądziłeś, że stuknąłem Fabre'a?

- Nie. Ani ty, ani ona.

- Dlaczego w takim razie wyciąłeś ten numer?

- Żeby jej napędzić stracha. I żebyś ty się przestał wygłupiać.

- Śledztwo się posuwa?

- Powiedziałeś: „jedno pytanie”, a to jest trzecie. Więc słucham cię. Ale najpierw mi powiedz, coś robił u Pertina.

- Dobra, od tego zacznę. Tylko że to nie ma nic wspólnego z Guitou, Hosinem Drauim ani Fabre'em.

Zacząłem od początku. Od mojego przyjazdu na osiedle Bigotte, nie precyzując, jaki był cel mojej wizyty. Od za-

mordowania Serge'a do śmierci Saadny. Powiedziałem też o mojej rozmowie z Pertinem.

- Widzisz, Serge z pewnością był pedalem, może nawet pedofilem, czemu nie - dodałem. - Ale ja mam to gdzieś. Facet był w porządku. Niegwałtowny. Lubił ludzi. Z naiwnością tych, co mają wiarę. Prawdziwą wiarę. W człowieka, bo obywatel się bez Boga. Dzieciaki były dla niego wszystkim.

- Może je za bardzo lubił?

- I co z tego? Nawet jeśli to prawda. To nie z nim były najbardziej nieszczęśliwe, nie uważasz?

Miałem do Serge'a taki sam stosunek jak do ludzi, których kochałem. Ufałem im. Akceptowałem z ich strony uczynki, których nie rozumiałem. Jedyne, czego nie mogłem tolerować, to rasizm. W dzieciństwie widziałem, jak zadrećzał się ojciec, że go nie traktują jak istotę ludzką, tylko jak psa. Portowego psa. Bo był tylko Włochem! Muszę powiedzieć, że niewielu mi zostało przyjaciół.

Nie miałem ochoty gadać o Serge'u. Było mi z tym niezręcznie. Chciałem już postawić krzyżyk. Niech zostanie sam ból. Serge. Pawia. Arno. Jeszcze jedna stronica mojego życia do umieszczenia w długiej kolumnie strat.

Loubet przeglądał zeszyt Serge'a. Mogłem się po nim spodziewać, że wszystko, co zostało skrupulatnie zapisane, nie przepadnie w głębi szuflady. Przynajmniej to, co najważniejsze. A przede wszystkim, że Pertin nie wyjdzie z tej historii obronną ręką. Nie był bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć Serge'a. Ani za śmierć Pawii. Ale symbolizował dla mnie policję, od której chciało mi się rzygać. Tę, dla której poglądy polityczne czy osobiste ambicje liczą się bardziej niż wartości republikańskie. Sprawiedliwość. Równość. Takich Pertinów jest cała masa. Gotowych na wszystko. Jeżeli któregoś dnia na przedmieściach nastąpi wybuch, to stanie się tak z ich powodu. Z powodu ich

pogardy. Ksenofobii. Nienawiści. I wszystkich nędznych drobnych kalkulacji, by zostać „supergliną”.

Dobrze znałem Pertina. To nie był dla mnie anonimowy gliniarz. Miał twarz. Tłustą, czerwonawą. Ray-bany, żeby ukryć świńskie oczka. Arogancki uśmiezek. O tak, chciałem wykończyć Dwugłowego. Ale nie robiłem sobie złudzeń.

- Jest pewien sposób na to, żebym przejął śledztwo - powiedział Loubet z namysłem. - Połączyć je z tamtym.

- Przecież nie ma żadnego związku.

- Wiem. Chyba że zapiszemy śmierć Hosina Drauiego na konto FIS-u czy GIA. Ruszam na twojego Abdelkadera i potrząsam palmą. Zobaczymy, czy Pertin umie się mocno trzymać gałęzi.

- Trochę naciągane, nie uważasz?

- Coś ci powiem, Montale. Człowiek robi w tym, co jest. Nie da się zmusić prawdy, żeby wyszła na jaw. Nie zawsze. A ta prawda warta jest tyle co każda inna.

- A tamci? Prawdziwi zabójcy Drauiego i Guitou?

- Spokojna głowa. Znajdę ich. Wierz mi. Mam dość czasu. A może by jeszcze z tuzin ostryg i jeży?

- Chętnie.

- Spałeś z nią?

Komu innemu bym nie odpowiedział. Jemu może też nie w innych okolicznościach. Ale w tym momencie to była kwestia zaufania. Przyjaźni.

- Nie.

- Żałujesz?

- Jeszcze jak!

- Co cię powstrzymało?

Loubet był bezkonkurencyjny, jeśli chodzi o przesłuchania. Miał zawsze w pogotowiu pytanie, które otwierało delikwenta i następowały wyjaśnienia.

- Cûc jest z tych kobiet, co zaliczają facetów. Ponieważ nie mogła mieć jedynego mężczyzny, którego kochała, tego

pierwszego, wyjątkowego, ojca Mathiasa. Zginął. A widzisz. Loubet, jak się raz kogoś straci, to nawet jeśli się go straci zupełnie, nie przestaje się go tracić. Ja to dobrze wiem. Nigdy nie umiałem zatrzymać przy sobie kobiet, które kochałem.

- Dużo ich zaliczyłeś? - spytał z uśmiechem.

- Na pewno za dużo. Powiem ci sekret, a potem wrócimy do naszych spraw. Nie wiem do końca, czego szukam w kobietach. I jak długo nie będę wiedział, tak długo będę je ranił. Jedną po drugiej. Jesteś żonaty?

- Tak. I mam dwoje dzieci. Chłopaków.

- Jesteś szczęśliwy?

- Chyba tak. Rzadko mam czas się zastanowić. Albo wolę się nie zastanawiać. Może po prostu takie pytanie się nie nasuwa?

Dopiłem kieliszek, zapaliłem papierosa. Przyglądałem się Loubetowi. Spokojny, solidny mężczyzna. Pogodny, choć jego robota nie zawsze była przyjemna. Człowiek o niewzruszonych przekonaniach. Moje przeciwieństwo.

- Ty byś się z nią przespał?

- Nie - odpowiedział ze śmiechem. - Ale muszę przyznać, że trudno się jej oprzeć.

- Draui jej się nie oparł. Potrzebowała go. Tak jak potrzebowała Fabre'a. Cûc umie łowić mężczyzn.

- Ciebie też potrzebowała?

- Chciała, żeby Draui pomógł jej uratować Fabre'a - powiedziałem, nie odpowiadając na jego pytanie.

Bolałoby mnie, gdybym odpowiedział: „tak”. Owszem, próbowała ze mną grać, jak z Hosinem. Wolałem sądzić, że mnie pragnęła bez żadnej ukrytej myśli. Tak było lepiej dla mojej męskiej dumy. Nie na darmo jestem południowcem!

- Myślisz, że kochała męża? - powiedział, ignorując moją wymijającą odpowiedź.

- Nie jestem w stanie ci powiedzieć, czy go kochała, czy nie. Powiedziała mi, że nie. Ale zawdzięcza mu to, kim

dzisiaj jest. Dał jej nazwisko. Pomógł wychować Mathiasa. I zapewnił bardziej niż przyzwoite środki do życia. Nie wszyscy wietnamscy uchodźcy mieli taką szansę.

- Powiedziałaś, że chciała uratować Fabre'a. Przed czym?

- Czekaj. Cúc jest kobietą przedsiębiorczą, chce budować, zarabiać, odnosić sukcesy. O tym marzą wszyscy, którzy pewnego dnia wszystko stracili. Żydzi, Ormianie, Pieds-Noirs\*, wszyscy są tacy sami. To nie są imigranci, rozumiesz? Imigrant to ktoś, kto nic nie stracił, ponieważ niczego nie miał tam, gdzie mieszkał. Jedyna jego motywacja to żyć odrobinę lepiej.

Cúc marzyła o karierze w świecie mody. Fabre znalazł dla niej pieniądze. Dużo pieniędzy. Środki pozwalające bardzo szybko narzucić swoją markę we Francji i w Europie. Była wystarczająco utalentowana, żeby przekonać do siebie zleceniodawców tej operacji. Tyle że oni zainwestowaliby pieniądze w byle co. Chodziło o to, żeby znaleźć dla nich przeznaczenie. Niebudzące wątpliwości.

- Chcesz powiedzieć, że to brudne pieniądze?

- Przedsiębiorstwo Cúc to anonimowa spółka. Akcjonariuszami są banki szwajcarskie, panamskie, kostarykańskie. Ona jest dyrektorką i tyle. Nawet nie właścicielką swojej marki. Nie od razu zrozumiała, w czym rzecz. Zorientowała się w momencie, gdy przyszły poważne zamówienia, a mąż jej wytłumaczył, że wcale nie trzeba ich honorować. Wystarczy wystawić faktury, a sumę przekazać nie na bieżące konto spółki, tylko na inne, szwajcarskie, do którego ona nie ma upoważnienia. Kapujesz?

- Jeśli dobrze rozumiem, mówimy o mafii.

- To słowo budzi taki lęk, że we Francji właściwie się go nie wymawia. Co kręci światem, Loubet? Forsa. A kto ma najwięcej forsy? Mafia. Wiesz, na ile się wycenia obroty

\* Francuzi z Maghrebu.



handlu narkotykami na świecie? 1 650 miliardów franków rocznie. Więcej niż światowy rynek ropy naftowej! Prawie dwa razy tyle.

Moja przyjaciółka Babette kiedyś mi to wyjaśniła. Dużo wiedziała o mafii. Spędziła wiele miesięcy we Włoszech. Razem z rzymskim dziennikarzem pracowała nad książką na temat mafii we Francji. „To będzie bomba!” - powiedziała.

Jej zdaniem, było oczywiste, że za dwa lata Francja znajdzie się w podobnej sytuacji jak Włochy. Brudne pieniądze, te, których źródła z definicji nie trzeba deklarować, stały się towarem najbardziej pożądanym przez polityków. Do tego stopnia, że, jak powiedziała mi niedawno Babette przez telefon, niedostrzegalnie prześlizgnęliśmy się ze społeczeństwa politycznego typu mafijnego do systemu mafijnego.

- Fabre był związany z mafią?

- Kim był Fabre? Zająłeś się nim trochę, nie?

- Utalentowany architekt, raczej lewicowy, któremu udało się zrobić karierę.

- Któremu wszystko się udało, chcesz powiedzieć. Cúc mi wyznała, że gorąco polecano jego pracownię dla zagospodarowania portu Euromediterranee.

Euromediterranee miał być „nową kartą”, dzięki której Marsylia wróci na arenę międzynarodową. Wątpiłem w to. Projekt zrodzony w Brukseli, w głowie jakiegoś biurokraty, nie mógł mieć na celu troski o przyszłość Marsylii. Chodziło tylko o regulację działalności portowej. O nowe rozdanie kart na Morzu Śródziemnym, między Genuą a Barceloną. Ale dla Europy portami przyszłości są już Antwerpia i Rotterdam.

Chciano nas wykiwać jak zwykle. Jedyna przewidywana przyszłość dla Marsylii to uczynienie z niej najważniejszego portu handlu owocami w basenie Morza Śródziemnego. I miejsca postoju dla międzynarodowej turystyki morskiej. Aktualny projekt zmierzał głównie do tego. Sto dziesięć

hektarów wschodniego basenu portowego przemieni się w olbrzymi plac budowy. Powstanie tutaj centrum biznesu, ośrodek łączności międzynarodowej, teleport, uniwersytet turystyczny... Manna z nieba dla przedsiębiorstw budowlanych i robót publicznych.

- Kasa dla Fabre'a! Masz tutaj innego rodzaju gnojowisko niż Serge i brodacze.

- Wiele się nie różni. Tyle że dotyczy czego innego. Ale smród ten sam. Powiem ci, że w papierach Serge'a znalazłem dokumenty FAIS. Powiedziałaś, że Draui należał do tej organizacji. Ich zdaniem, Algieria pogrążyła się w tym samym systemie polityczno-mafijnym. Wojna, którą FIS wydał rządzącej ekipie, nie jest żadną świętą wojną. To po prostu walka o podział tortu. I dlatego Budiaf został zabity. Bo on jeden wyraźnie to powiedział.

- Masz - powiedział Loubet, nalewając mi wino. - Wypada się napić.

- Wiesz, w Rosji jest podobnie. Niczego dobrego nie można się spodziewać z tamtej strony. Zdechniemy od tego. Twoje zdrowie! - powiedziałem, wznosząc kieliszek.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, z kieliszkami w ręku. Zagubieni w myślach. Uwolniło nas od nich wjechanie na stół drugiego półmiska z owocami morza.

- Dziwny z ciebie facet, Montale. Mam wrażenie, że masz w sobie coś z zegara piaskowego. Kiedy cały piasek przesypie się na dół, zawsze pojawia się ktoś, żeby klepsydrę odwrócić. Cûc musiała na tobie zrobić piorunujące wrażenie!

Uśmiechnąłem się. Spodobał mi się ten obraz piaskowej klepsydry. Przesypującego się czasu, w którym człowiek żyje aż do chwili, gdy nie pojawi się już nikt, kto by odwrócił klepsydrę. Bo życie przestało smakować.

- To nie Cûc odwróciła klepsydrę. Tylko ci się tak wydaje. To śmierć. Bliskość śmierci. Wszędzie wokół nas. Ja jeszcze wierzę w życie.

Za daleko mnie zawiodła ta rozmowa. Tam, gdzie zwykle staram się nie zapędzać. Z biegiem lat coraz mniej znajduję powodów do życia. Więc wolę się trzymać rzeczy podstawowych. Jeść, pić. Chodzić na ryby.

- Wracając do Cúc - powiedziałem - ona tylko jakby nacisnęła starter przez to, że chciała, by Fabre zerwał ze swoimi mafijnymi znajomymi. Zaczęła grzebać w jego papierach. Kontrakty. Ludzie, których spotyka. Przestraszyła się, a przede wszystkim poczuła się zagrożona. Że nie wyjdzie jej to, czego zamierzała dokonać. Nie osiągnie celu, który postawiła przed sobą pewnej nocy w nędznym dwupokojowym mieszkanku w Hawrze. Że jej życie jest zagrożone, a jej życie to Mathias. Owoc utraconej miłości. Zgładzonej przez przemoc, nienawiść i wojnę.

Błagała Fabre'a, żeby z tym skończył. Żeby wyjechali do Wietnamu. We trójkę. Zacząć nowe życie. Ale Fabre miał związane ręce i nogi. Klasyczny scenariusz, był umocznony, jak wielu polityków. Raczą się tym chlebem, żeby zdobyć sobie miejsce pod słońcem. Myślą, że jak się znajdą na gorze, będą mieli dość władzy, żeby zrobić porządek. Skończyć ze złymi nawykami. Zerwać złe znajomości. Ale gdzie tam! To niemożliwe. Kiedy przyjmujesz pierwszą kopertę, już jesteś martwy. Nawet nie kopertę, krawat.

Fabre nie mógł tego wszystkiego przekreślić. Ciao, chłopaki. Dziękuję. Nie chciał utonąć ani iść do piachu, jak to się niejednemu przytrafiło. Zaczął wpadać w szal i popijać. Stawał się ohydny. Wieczorami coraz później wracał do domu. A czasem nie wracał. Cúc uwiodła Hosina tylko z tego powodu. Żeby upokorzyć męża. Żeby mu pokazać, że go nie kocha. Że od niego odejdzie. Rozpaczliwy szantaż. Krzyk miłości. Bo myślę, że w gruncie rzeczy ona go kochała.

Fabre nic z tego nie rozumiał. Albo nie chciał zrozumieć. W każdym razie nie zniósł tego. Cúc była dla niego wszystkim. Myślę, że ją strasznie kochał. Może wplątał się w tę kabałę tylko dla niej, nie wiem... Nigdy się nie dowie-

my. Za to pewne jest, że poczuł się zdradzony. Przez nią. I przez Hosina... Jakby nie było dość, że naukowe badania tamtego stały na przeszkodzie budowy parkingu przy Vieille-Charite... To pracownia Fabre'a wygrała przetarg na realizację tego projektu. Widziałem jego nazwisko na tablicy informacyjnej przy placu budowy.

- Wiem, wiem... Ale widzisz, Montale, wykopaliska przy Vieille-Charite to nic wyjątkowego. Sądzę, że Fabre o nich wiedział nie tylko od Hosina. Argumenty, którymi się posłużył wobec odpowiednich służb miejskich, broniąc projektu parkingu, są jasne i precyzyjne. Nie pozostawiał żadnej szansy archeologom. Zresztą sam Draui nie bardzo w taką szansę wierzył. Czytałem jego referat na sympozjum w 1990 roku. Najbardziej podniecające wykopaliska znajdują się na placu Jules-Verne. Pozwalają cofnąć się do VI wieku p.n.e. Może tam uda się kiedyś zrekonstruować nabrzeże portu Liguryjczyków. Miejsce, w którym Protis\* zszedł na ląd. Dam sobie głowę uciąć, że nie będzie w tym miejscu parkingu... Moim zdaniem, Fabre i Draui szanowali się nawzajem. Tak uważam. I dlatego Fabre, jak tylko się dowiedział o kłopotach Hosina, zaproponował mu, by u niego zamieszkał.

Ze wszystkiego, czego się dowiedziałem na jego temat, wynika, że Fabre był człowiekiem wykształconym. Kochał swoje miasto. Swoje kulturowe dziedzictwo. Morze Śródziemne. Jestem pewien, że mieli ze sobą wiele wspólnego. Od czasu pierwszego spotkania w 1990 roku stale ze sobą korespondowali. Przeczytałem kilka listów Hosina do Fabre^ . Pasjonujące. Na pewno by cię zainteresowały.

- Kretańska historia - powiedziałem, nie wiedząc, co dodać.

Domyśliłem się, do czego zmierza, i poczułem się w pułapce. Nie mogłem dłużej strugać wariata. Przemilczać to, co wiem.

\* Mityczny założyciel miasta.

- No tak, historia pięknej przyjaźni, która się źle skończyła - dorzucił Loubet lżejszym tonem. - Pełno takich historii w gazetach. Przyjaciel śpi z twoją żoną. Zdradzony mąż wymierza sprawiedliwość.

Zamyśliłem się.

- Ale to nie pasuje do Fabre'a, takiego, jakim go przedstawiasz. To masz na myśli?

- Zwłaszcza że zdradzony mąż ginie zaraz potem. Przecież nie ona go zabiła. Ani nie ty. Tylko zawodowi mordercy. Tak jak Hosina. I Guitou, który na swoje nieszczęście w nieodpowiednim czasie znalazł się w nieodpowiednim miejscu.

- Uważasz, że był inny powód?

- Tak. Śmierć Hosina nie ma związku z tym, że się przespał z Cûc. To poważniejsza sprawa.

- Na tyle poważna, że dwaj gangsterzy specjalnie przyjeżdżają z Tulonu, żeby zabić Hosina Drauiego.

A niech tam! Musiałem wreszcie puścić farbę.

Nawet nie mrugnął. Wpił się we mnie wzrokiem. Miałem dziwne uczucie, że już wiedział o tym, co mu wyznałem. Ilu ich było. Skąd przybyli. Ale jak się dowiedział?

- A skąd ty to wiesz? Że przyjechali z Tulonu?

- Przykleili się do mnie pierwszego dnia. Szukali małej. Dziewczyny, która była w łóżku z Guitou. Ma na imię Naima. Wiedziałem, kim ona jest, i...

- I dlatego pojechałeś do Bigotte.

- Tak, dlatego.

Spojrzał na mnie z gniewem. Nie widziałem go jeszcze takim. Wstał od stołu.

- Jeden koniak! - krzyknął do kelnera.

I poszedł do toalety.

- Dwa - uściśliłem. - I jeszcze jedną kawę.

Rozdział dziewiętnasty,  
w którym kiedy przychodzi śmierć,  
zawsze jest za późno

Loubet wrócił uspokojony. Wysikał się i oświadczył:

- Masz szczęście, że cię lubię, Montale. Bo chętnie rozkwaślibym ci gębę.

Wyłożyłem mu wszystko, co wiedziałem. O Guitou, Naimie, rodzinie Hamudi. A dalej wszystko, co mi opowiedziała Cûc w nocy i czego jeszcze mu nie przekazałem. Ze szczegółami. Jak dobry uczeń.

Naima pojechała do Aix do Mathiasa. W poniedziałek wieczór. Poprzedniego dnia powiedziała mu przez telefon to, co najważniejsze. Mathias zadzwonił do matki. Wystraszony i wściekły jednocześnie. Cûc naturalnie przyjechała do Aix. Naima zrelacjonowała im przebieg tamtej dramatycznej nocy.

Adrien Fabre był w domu. Nie widziała go. Słyszała tylko jego nazwisko. Po tym, jak zabili Guitou, jakiś typ wrzasnął: „Kurwa! Co tu robił ten gówniarz? Fabre, chodź tutaj!” Zapamiętała te słowa. Nigdy ich nie zapomni.

Schowwała się w łazience. Skulona pod prysznicem. Przerażona. Udało jej się nie wyć tylko dlatego, że z kranu kapła woda. Na jej kolano. Lewe. Na tym się skoncentrowała. Do ilu zdąży policzyć, nim spadnie następna kropla.

Przed drzwiami kawalerki mężczyźni rozmawiali ze sobą. Trzy głosy, w tym Fabre'a. „Zabiliście go! Zabiliście!” - krzyczał. Niemał płakał. Ten, który wydawał się szefem, kazał mu się zamknąć. Potem usłyszała suchy dźwięk, jakby uderzenie w policzek. I wtedy Fabre zaczął szlochać. Inny głos, z silnym akcentem korsykańskim, zapytał, co robić. Szef powiedział, że ma wytrzasnąć furgonetkę do przeprowadzek. Z dwoma lub trzema facetami. Żeby opróżnić dom z tego, co najważniejsze. A on zabierze „tamtego”, zanim wpadnie w ciężką depresję.

Naima nie wiedziała, ile czasu spędziła pod prysznicem, licząc krople wody. Jedyne, co zapamiętała, to że w pewnej chwili nastąpiła cisza. Żadnego dźwięku. Wyjąwszy jej płacz. Trzęsła się z zimna. Złodowaciała w środku. Nie z powodu kropli wody. Z powodu otaczającej ją grozy, którą sobie wyobrażała.

Zrozumiała, że jest uratowana, ale nie wychodziła z kabiny. Zamarła tam skulona, z zamkniętymi oczami. Nie ruszała się. Była niezdolna do jakiegokolwiek gestu. Płakała. Trzęsła się. Marzyła, by ten koszmar się skończył. Guitou pocałuje ją w usta. Ona otworzy oczy i powie mu cichutko: „Już dobrze. Wszystko się skończyło.” Ale cud się nie stał. Kolejna kropla wody spadła jej na kolano. Realna jak to, co dziewczyna przeżyła. Naima wyprostowała się z trudem. Ogarnęła ją rezygnacja. Ubrała się. Pomyślała, że najgorsze czeka za drzwiami. Będzie musiała przeskoczyć przez ciało Guitou. Szła przed siebie, odwróciwszy głowę w bok, żeby nie widzieć. Ale to było ponad siły, musiała spojrzeć. Przecież to jej Guitou. Kucnęła przy nim, żeby popatrzeć na niego ostatni raz. Żeby się z nim pożegnać. Przestała się trząść. Przestała się bać. Wstając, pomyślała, że teraz nic już nie jest ważne i...

- Gdzie teraz są, ona i Mathias?

Zrobiłem najbardziej niewinną minę, na jaką mnie stać.

- Sęk w tym, że nie wiadomo.

- Kpisz sobie ze mnie, czy co?

- Przysięgam.

Spojrzał na mnie spode łba.

- Wsadzę cię do pierdła, Montale. Na dwa, trzy dni.

- Nie wygłupiaj się!

- Dość narozrabiałeś. Nie wypuszczę cię z łap.

- Nawet jeśli zapłacę za obiad? - spytałem głupekowo.

Loubet roześmiał się serdecznie. Szczerym śmiechem mężczyzny, który potrafi stawić czoło całej nikczemności świata.

- Napędziłem ci strachu, co?

- No pewnie! Wszyscy przyszliby mnie oglądać. Jak do zoo. Nawet Pertin przyniósłby mi orzeszki.

- Za obiad płacimy po połowie - powiedział poważniejszym głosem. - Ogłoszę list gończy za Balduccim i tym drugim. Narnim. (Powoli wymówił to nazwisko. Potem zajął mi w oczy.) Jakżeś go zidentyfikował, Montale?

- Narni, Narni? - powtórzyłem. - Ale...

Otworzyły się drzwi na najgorsze i najbardziej niewyobrażalne draństwo. Poczułem skurcz żołądka. Niedobrze mi się zrobiło.

- Co ci jest? Chory jesteś?

Trzymaj się, powiedziałem sobie. Trzymaj się. Byle się nie wyrzygać na stół. Pohamuj się. Skoncentruj. Oddychaj. Równomiernie oddychaj. Powoli. Jakbyś chodził po górach. Oddychaj. No widzisz, już lepiej. Wdech, wydech. Już dobrze. No widzisz... Wszystko można przełknąć. Nawet najgorsze gówno.

Otarłem pot z czoła.

- Już dobrze, dobrze. Żołądek mnie rozboleł.

- Wyglądasz jak upiór.

Nie widziałem Loubeta. Przede mną stał ktoś inny. Piękny mężczyzna. Siwiejące skronie. Szpakowaty wąsik. Na prawej ręce piękny złoty sygnet. Aleksander. Aleksander Narni.



Znów mi się zrobiło niedobrze, ale najgorsze miałem za sobą. Jak to się stało, że Żelu wylądowała w łóżku mordercy? Dziesięć lat, Boże święty!

- To nic. Przejdzie. Może jeszcze po koniaku?

- Pewien jesteś, że wszystko okej?

Będzie okej.

- Nie wiem, kim jest Narni - powiedziałem żartobliwym tonem. - Po prostu przyszło mi do głowy to nazwisko. Budzenia Resaf, Narni... Blefowałem przed Pertinem. Żeby mu wmówić, że jesteśmy zorientowani, ty i ja.

- Ach tak?

Nie odrywał ode mnie oczu.

- Więc kto to jest ten Narni? - spytałem.

- To nazwisko nie przyszło ci do głowy ot tak, bez powodu. Musiałeś o nim słyszeć. Jeden z goryli Jeana-Louisa Fargette'a. (Uśmiechnął się ironicznie.) Nazwisko Fargette chyba ci jednak coś mówi, co? Mafia, te rzeczy...

- No tak, oczywiście.

- Ten twój Narni wślawił się przede wszystkim tym, że przez całe lata był szefem od wymuszania okupu na całym wybrzeżu. Znów zaczęto o nim mówić, kiedy Fargette został zastrzelony w San Remo. Może nawet on sam go sprzątnął. Zmiana przymierzy między rodzinami, wiesz, jak to się odbywa. Od tej pory głucha cisza na jego temat.

- A co robi teraz, po śmierci Fargette'a?

Loubet uśmiechnął się. Uśmiech kogoś, kto wie, że zaskoczy rozmówcę. Spodziewałem się najgorszego.

- Jest doradcą finansowym międzynarodowej spółki marketingu ekonomicznego. Tej, która rozporządza drugim kontem firmy Cûc. Która żyruje również drugie konto pracowni architektonicznej Fabre'a. I jeszcze wiele innych.... Nie zdążyłem przebadać całej listy. Stoi za tym neapolitańska camorra, dostałem właśnie potwierdzenie, tuż przed naszym spotkaniem. Jak widzisz, Fabre był paskudnie umoczony. Ale nie tak, jak sądzisz.

- Co znowu... - powiedziałem wymijająco.

Przestałem go słuchać. Znow skurcz żołądka. Wszystko mi się kotłowało w środku. W górę i w dół. Ostrygi, jeże, violets. Koniak ani trochę nie pomógł. Beczeć mi się chciało.

- Co znaczy dla tych facetów marketing ekonomiczny, twoim zdaniem?

Wiedziałem. Babette mi to wyjaśniła.

- Lichwa. Pożyczają pieniądze firmom w trudnej sytuacji. Brudne pieniądze, rzecz jasna. Na wariacki procent. Piętnaście, dwadzieścia. Dużo. Całe Włochy funkcjonują na tej zasadzie. Nawet niektóre banki!

Mafia zaatakowała rynek francuski. Pierwszym tego przykładem była niedawna afera Schneidera i jego belgijskich filii.

- No więc facet, który tym wszystkim steruje, nazywa się Antonio Sartanario. Narni pracuje dla niego. Zajmuje się w szczególności tymi, co mają kłopoty ze spłaceniem pożyczki. Albo próbują zmienić reguły gry.

- To przypadek Fabre'a?

- Zaczął pożyczać, żeby wylansować swoją pracownię architektoniczną. A potem - dużo - żeby pomóc Cûc rozkręcić firmę. Był regularnym klientem. Ale ostatnimi czasy zaczął się za bardzo stawiać. Sprawdziliśmy jego rachunki i odkryliśmy, że przekazywał masę pieniędzy na konto oszczędnościowe. Konto wystawione na nazwisko Mathiasa. Widzisz, Hosin Draui to było ostrzeżenie dla Fabre'a. Pierwsze ostrzeżenie. Dlatego zabili w jego domu, na jego oczach. I już w piątek Fabre wyciągnął z konta dużą sumę.

- A mimo to go załatwili.

- Śmierć małego musiała nim wstrząsnąć. Co chciał zrobić, żeby nie oddać forsy? Jaki miał pomysł? Beknąć? Szantażować, żeby mu dano spokój?... Ej, słuchasz mnie?

- Tak, tak.

- Sam widzisz, co to za szambo. Balducci, Narni. Z nimi nie ma żartów. Słyszysz, Montale? (Spojrzał na zegarek.) O cholera, spóźni się.

Wstał. Ja nie. Nie byłem pewien, czy utrzymam się na nogach. Loubet położył mi rękę na ramieniu, jak wtedy u Ange'a.

- Dam ci radę: jak się czegoś dowiesz o dzieciakach, nie zapomnij do mnie zadzwonić. Nie chcę, żeby im się coś przytrafiło. Ty chyba też nie, prawda?

Kiwnąłem głową.

- Lubię cię, Loubet - usłyszałem swój głos.

Nachylił się nade mną.

- Więc zrób mi przyjemność. Idź na ryby, Fabio. Zdrowe zajęcie. Dobrze ci zrobi na żołądek.

Zamówiłem trzeci koniak. Wypiłem go jednym haustem. Spłynął z siłą, jakiej oczekiwałem. Zdolny rozpetać burzę w moim brzuchu. Podniosłem się z trudem i ruszyłem w stronę toalety.

Na klęczkach, trzymając się obiema rękami muszli klozetowej, wyrzygałem wszystko. Do ostatniego małża. Niechby nic nie zostało z tego przeklętego obiadu. Żołądek skrecał mi się z bólu, pojękiwałem cichutko. No tak, wszystko zawsze się tak kończy. Bo nie ma równowagi. Musi się tak skończyć, bo tak się zaczęło. Człowiek chciałby, żeby na koniec wszystko się wyrównało. Ale nie, nigdy.

Nigdy.

Wstałem, spuściłem wodę. Jakbym pociągnął za alarm.

Na zewnątrz pogoda była cudowna. Zapomniałem, że jest słońce na świecie. Cours d'Estienne-d'Orves zalane blaskiem. Podałem się łagodnym, ciepłym promieniom. Z rękami w kieszeniach szedłem do place aux Huiles. W Starym Porcie.

Od morza bił silny zapach. Mieszanina oleju, smoły i słonej wody. Nie był to piękny aromat. Innego dnia powiedziałbym, że śmierdzi. Ale mi pomógł. Wdychałem go

z rozkoszą. Zapach szczęścia. Prawdziwy, ludzki. Jakby Marsylia wzięła mnie za gardło. Przypomniało mi się terkotanie motoru mojej łodzi. Ujrzałem się na morzu, łowiącego ryby. Uśmiechnąłem się. Wracalem do życia. Dzięki rzeczom najprostszym.

Do brzegu przybił prom. Postawiłem sobie najkrótszą i najpiękniejszą marsylską podróż. Przeprawę z quai de Port do quai de Rive-Neuve. Niewielu było ludzi o tej porze. Jacyś starszuszowie. Matka karmiąca niemowlę z butelki. Odkryłem ze zdumieniem, że nucę Chella Ha. Starą neapolitańską piosenkę Renato Carosonego. Wróciłem do swoich starych śladów. I wspomnień idących z nimi w parze. Ojciec posadził mnie na oknie promu i powiedział: „Patrz, Fabio, patrz. To jest wejście do portu. Widzisz? Tu jest fort Saint-Nicolas. Tu fort Saint-Jean. A tam Pharo, widzisz? Dalej jest morze. Pełne morze.” Czułem jego duże, silne ręce pod pachami. Ile mogłem mieć lat? Sześć, może siedem, nie więcej. Śniło mi się tamtej nocy, że jestem marynarzem.

Na place de la Mairie jedni starzy wysiedli, wsiedli inni. Matka niemowlęcia spojrzała na mnie, nim zeszła na brzeg. Uśmiechnąłem się do niej.

Wsiadła licealistka. Z gatunku tych, które w Marsylii rozkwitają bardziej niż gdzie indziej. Może miała ojca czy matkę z Antyli. Długie kręcone włosy. Sterczące piersi. Spódniczka ledwo skrywająca pupę. Podeszła poprosić mnie o ogień, ponieważ jej się przyglądałem. Rzuciła mi spojrzenie a la Lauren Bacall, bez uśmiechu. Po czym odeszła i stanęła po drugiej stronie kabiny. Nie zdążyłem jej powiedzieć „dziękuję”. Za przyjemność, jaką mi sprawiły jej oczy utkwione w moich.

Po powrocie na quai de Port poszedłem nabrzeżem na spotkanie z Żelą. Zadzwoiłem do niej przed wyjściem z restauracji. Czekala na mnie w hotelu New York. Nie

wiedziałem co zrobię, jeśli będzie tam Narni. Może go uduszę gołymi rękami. Ale Żelu była sama.

- Nie ma Aleksandra? - zapytałem, całując ją w policzek.

- Zjawi się za pół godziny. Chciałam się zobaczyć z tobą sam na sam. Tylko na chwilę. Co się dzieje, Fabio? Co z Guitou?

Oczy miała podkrążone. Twarz naznaczoną lękiem. Czekanie, zmęczenie, obawa. Ależ piękna ta moja kuzynka! Nadal piękna. Chciałem nasycić się jej twarzą, taką, jaka teraz była. Dlaczego życie się do Żelu nie uśmiechnęło? Może dlatego, że za wiele się po nim spodziewała? Za bardzo czekała? Ale czy wszyscy tacy nie jesteśmy? Od chwili, kiedy otwieramy oczy na ten świat? Czy są ludzie, którzy niczego od życia nie oczekują?

- Nie żyje - powiedziałem cicho.

Wzięłam ją za ręce. Były jeszcze ciepłe. Potem podniosłem na nią oczy. Włożyłem w spojrzenie całą miłość, jaką trzymałem w rezerwie na zimowe miesiące.

- Jak to? - wybełkotała.

Czułem, jak krew odpływa z jej rąk.

- Chodź - powiedziałem.

Zmusiłem ją, żeby wstała i wyszła z hotelu. Zanim się załamie. Objąłem ją ramieniem jak ukochaną. Ona objęła mnie w talii. Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, nie zważając na jadące samochody, klaksony, pisk hamujących opon. Wyzwiska, którymi nas obrzucano. Nic się nie liczyło poza nami. Narni dwojgiem. I naszym wspólnym bólem.

Szliśmy w milczeniu wzdłuż nadbrzeża. Przytuleni do siebie. Przelotnie pomyślałem o Narnim. Gdzie jest to ścierwo? Bo nie mógł być daleko. Śledzi nas. Zastanawia się, kiedy mi wpakować kulę w łeb. Na pewno o tym marzy. Ja też. Spluwa, którą od wczoraj wożę w samochodzie, do

tego posłuży. Mam nad Narnirn przewagę. Już wiem, jaki z niego łajdak.

Poczułem drgnienie ramienia Żelu. Zaraz się rozplącze. Stałem i obróciłem ją do siebie. Objąłem ją mocno. Całym ciałem przylgnęła do mnie. Można by pomyśleć, że z nas dwoje kochanków, oszalałych z pożądania. Za dzwonicą Accoules chowało się już słońce.

- Dlaczego? - spytała ze szlochem.

- Nie ma co pytać, Żelu. Ani co odpowiadać. Stało się. To wszystko.

Spojrzała na mnie. Zmizerowana twarz. Tusz do rzęs naturalnie puścił. Długie niebieskie smugi na policzkach, które wydawały się spękane, jak po trzęsieniu ziemi. Widziałem, że jej spojrzenie ucieka gdzieś do środka. Na zawsze. Żelu odchodzi. Gdzie indziej. Do krainy łez.

A jednak jej oczy i ręce nadal rozpaczliwie mnie się chwyciły. Żeby pozostać na świecie. Czepiały się wszystkiego, co nas łączyło od dzieciństwa. Lecz nie mogłem jej żadną miarą pomóc. Mój brzuch nie wypchnął dziecka na światło dzienne. Nie byłem matką. Nawet ojcem nie byłem. A wszystkie słowa, których mógłbym użyć, były wzięte ze słownika ludzkiej głupoty. Nie było nic do powiedzenia. Ja nie miałem nic do powiedzenia.

- Jestem z tobą - szepnąłem jej do ucha.

Ale było za późno.

Kiedy przychodzi śmierć, zawsze jest za późno.

- Fabio...

Umilkła. Oparła się czołem o moje ramię, żeby się uspokoić. Najgorsze dopiero ją czeka. Gładziłem delikatnie włosy Żelu, potem wziąłem ją za podbródek, żeby podniosła twarz ku mnie.

- Masz chusteczkę higieniczną?

Kiwnęła skwapliwie głową. Oderwała się ode mnie, otworzyła torebkę, wyjęła chusteczkę i lusterko. Wytrzeła ślady tuszu. Tylko tyle.

- Gdzie masz samochód?  
- Na parkingu za hotelem. Dlaczego?  
- Nie pytaj, Żelu. Na którym poziomie, pierwszym czy drugim?

- Pierwszym. Na prawo.

Znów objąłem ją za ramiona i poszliśmy w stronę hotelu New York. Słońce zniknęło za domami na wzgórzu Panier. Zostawiało za sobą piękne światło, oblewając różem budynki przy quai de Rive-Neuve. Co za uroda! Potrzebowałem tego. Uchwycić się tych przelotnych chwil piękna.

- Mów do mnie - powiedziała.

Staliśmy przed wejściem do metra przy stacji Vieux-Port. Wejścia są trzy: to, w dole Canebiere i jeszcze jedno na place Gabriel-Peri.

- Później. Teraz pójdziesz do samochodu. Wsiądziesz i zaczekasz na mnie. Zaraz przyjdę, nie dalej niż za dziesięć minut.

- Ale...

- Możesz to zrobić?

- Tak.

- Dobra. Tu cię zostawię. Masz iść tak, jakbyś wracała do hotelu. Przed wejściem zawahasz się na chwilę. Jakbyś się nad czymś zastanawiała. Jakbyś na przykład czegoś za pomniała. A potem, nie śpiesząc się, pójdziesz w stronę parkingu, zgoda?

- Tak - odpowiedziała mechanicznie.

Pocałowałem ją, jakbym się z nią żegnał. Przycisnąłem ją czule do siebie.

- Musisz zrobić dokładnie to, co mówię - powiedziałem łagodnie, lecz stanowczo. - Rozumiesz? (Wsunęła dłoń do mojej dłoni.) No idź już.

I poszła. Sztywna jak automat.

Śledziłem ją oczami, jak przechodziła na drugą stronę ulicy. Potem zjechałem ruchomymi schodami do metra. Nie śpiesząc się. Na dole rzuciłem się biegiem przed siebie.

Przebiegłem stację na całej długości, żeby dotrzeć do wyjścia na place Gabriel-Peri. Wbiegłem susami po schodach w górę i wyszedłem na plac. Skręciłem w prawo, by znaleźć się na Canebiere przed gmachem giełdy. Miałem parking przed sobą, po drugiej stronie ulicy. Jeżeli Narni albo ten drugi, Balducci, mnie śledził, to wyprzedziłem go o jedną długość. Tam, gdzieśmy się wybierali z Żelu, nie potrzebowaliśmy nikogo. Nie czekając na zielone światło, przebiegłem jezdnię i znalazłem się na parkingu.

Ktoś mi dał znak światłami i rozpoznałem saaba Żelu.

- Przesuń się - powiedziałem, otwierając drzwiczki. - Ja będę prowadził.

- Dokąd jedziemy, Fabio? Powiedz mi! - krzyknęła.

- Pojedziemy na spacer - odparłem łagodnie. - Musimy przecież porozmawiać, prawda?

Nie rozmawialiśmy, póki nie wyjechałem na autostradę północną. Kluczyłem po Marsylii, nie spuszczać oka z tylnego lusterka. Ale żaden samochód nas nie śledził. Uspokojony, opowiedziałem Żelu, co się wydarzyło. Powiedziałem jej, że komisarz, który prowadzi sprawę, to mój przyjaciel. Można mu ufać. Słuchała, nie zadając pytań. Powiedziała tylko:

- Teraz to i tak wszystko jedno.

Wyjechałem przy rozwidleniu Les Arnavaux i skręciłem na skos w uliczki biegnące w górę, do Sainte-Marthe.

- Skąd znasz Narniego?

- Co?

- Gdzie spotkałaś Aleksandra Narniego?

- W naszej restauracji. Tej, którą mieliśmy z Ginem. Był klientem. Dobrym klientem. Często przychodził. Czasem w towarzystwie, czasem sam. Lubił kuchnię Gina.

Ja też. Jeszcze pamiętam jego lingue di passero z truflami. Nigdzie nie jadłem równie dobrych. Nawet we Włoszech.



- Podrywał cię?
- Nie. To znaczy, prawil komplementy...
- Jakimi przystojny mężczyzna obdarza piękną kobietę.
- No tak... Ale odnosiłam się do niego tak samo jak do innych klientów. Ani lepiej, ani gorzej.

- Mhm.... A on?

- Co on? Fabio, co to za pytania? Czy to ma związek ze śmiercią Guitou?

Wzruszyłem ramionami.

- Muszę wiedzieć coś więcej o twoim życiu. Żeby zrozumieć.

- Co zrozumieć?

- W jaki sposób Żelu, moja kochana kuzynka, spotkała Aleksandra Narniego, zawodowego mordercę z mafii. I jak przez dziesięć lat mogła z nim spać i nawet się nie domyślić.

I szybko nacisnąłem na hamulec, żeby zatrzymać samochód. Zanim dostanę w twarz.

## Rozdział dwudziesty, w którym proponuje się ograniczoną wizję świata

Narni stał się jednym z najlepszych klientów restauracji już w kilka miesięcy od otwarcia. Zawsze przyprował ludzi znanych. Merów, deputowanych. Lokalne władze. Ministrów. Gwiazdy show-biznesu i kina.

Odnosiło się wrażenie, że mówi: „Oto moi przyjaciele. Macie szczęście, że lubię waszą kuchnię. I że jesteśmy ziomkami.” Narni, tak samo jak Gino, pochodził z Umbrii. W tym regionie Włoch je się najlepiej. Nawet lepiej niż w Toskanii. I rzeczywiście, wypada przyznać, że mieli szczęście. W restauracji zawsze było pełno. Niektórzy ludzie przychodzili tylko po to, żeby zobaczyć na własne oczy jakąś osobistość.

Ściany pokryły się oprawionymi zdjęciami wszystkich znakomitych gości. Żelu fotografowała się z nimi. Jak gwiazda filmowa. Gwiazda gwiazd w swojej restauracji. Pewnego dnia jakiś włoski reżyser, nie pamięta już, jak się nazywał, zaproponował jej nawet rolę w swoim następnym filmie. Bardzo się śmiała. Lubiła kino, ale nie wyobrażała sobie siebie przed kamerą. A poza tym Guitou właśnie się urodził, więc kino nie wchodziło w grę.

Pieniądze płynęły szeroką strugą. Szczęśliwe czasy. Nawet jeśli wieczorem kładli się do łóżka wykończeni. Zwłasz-

cza w weekend. Gino zatrudnił pomocnika do kuchni i dwie kelnerki. Żelu nie obsługiwała już gości na sali. Witała się z co znakomitszymi, piła z nimi aperitif, i tak to szło. Narni zapraszał ją na oficjalne przyjęcia i premiery. Również wiele razy na festiwal w Cannes.

- Sama tam pojechałaś? - spytałem.

- Tak, bez Gina. Przecież restauracji nie można było zamknąć. Zresztą światowe życie nie robiło na nim wrażenia, nie bardzo to lubił. Nie przepadał za forszą ani za honorami, tylko za mną - powiedziała ze smutnym uśmiechem. - Prawdziwy wieśniak, chodzący po ziemi. Za to go pokochałam. Dzięki niemu stałam się bardziej zrównoważona. Nauczył mnie odróżniać prawdę od fałszu. Od szpanu. Pamiętasz, jaka kiedyś byłam? Latałam za wszystkimi chłopakami, którzy zadawali szyku za pieniądze rodziców.

- Chciałaś nawet wyjść za syna fabrykanta butów z Marsylii. Piękna partia.

- Był brzydki. Gino...

Zatopiła się w myślach. Siedzieliśmy w samochodzie, na ulicy, gdzie zatrzymałem się tak gwałtownie. Żelu wcale nie dała mi w twarz. Nawet nie drgnęła. Jakby osłupiała. Potem wolno odwróciła się do mnie. Jej oczy błagały o ratunek. Nie miałem odwagi podnieść głowy.

- To tym się zajmowałeś przez ten czas? Rozpracowywałeś moje życie? - spytała.

- Nie, Żelu.

Wszystko jej opowiedziałem. To znaczy nie wszystko - tyle, ile się jej należało. Potem w milczeniu wypaliliśmy papierosa.

- Fabio - odezwała się w końcu.

- Tak.

- Co chcesz wiedzieć?

- Nie wiem. To tak, jakby brakowało jakiegoś kawałka w łamigłówce. Widać zarys obrazu, ale ten brakujący kawałek wszystko psuje. Rozumiesz?

Zapał zmierzch. Samochód by! pełen dymu. chociaż spuściliśmy szyby.

- Nie jestem tego pewna.

- Słuchaj, Żelu, facet z tobą żyje. Pomaga ci wychować synów. Patrice'a, Marka i Guitou. Guitou dorastał na jego oczach... Na pewno się z nim bawił. Obchodziliście urodziny. Święta...

- Jak mógł to zrobić, o to chodzi?

- Tak. Jak mógł? I jak... Załóżmy, że niczego byśmy się nie dowiedzieli. Nie przyjechałaś do mnie, co? Zjawia się Narni, zabija tego faceta, Hosina Drauiego. A potem Guitou, który na swoje nieszczęście tam się znalazł. Wymyka się gliniarzom, jak zwykle. Wraca do Gap... Jak mógłby... Widzisz, wkłada piżamę, czyściutką, wyprasowaną, kładzie się z tobą do łóżka i...

- Zakładając, że... Myślę, że po śmierci Guitou nie zniosłabym żadnego mężczyzny w łóżku. Ani Aleksandra, ani nikogo innego.

- Ach tak? - odpowiedziałem zbity z tropu.

- Potrzebowałam mężczyzny, żeby wychować dzieci, zwłaszcza małego Guitou. Potrzebowałam... ojca. Tak, ojca. (Żelu była coraz bardziej nerwowa.) Gubię się, Fabio. Kobieta oczekuje od mężczyzny czułości. Uprzejmości. Rozkoszy. Rozkosz się liczy, przecież wiesz. No i jest ta cała reszta. Która sprawia, że mężczyzna jest naprawdę mężczyzną. Stabilizacja. Poczucie bezpieczeństwa. Autorytet. Jest się na kim oprzeć... Samotna matka z trojgiem dzieci - no nie, nie miałam odwagi. Taka jest prawda. (Zapaliła kolejnego papierosa, mechanicznie. Zamyślona.) To nie takie proste.

- Wiem, Żelu. Powiedz, a on nigdy nie chciał mieć z tobą dziecka?

- Tak. On - tak. Ale ja nie. Troje to dość, nie uważasz?

- Byłaś szczęśliwa przez te ostatnie lata?

- Szczęśliwa? Tak, myślę, że tak. Wszystko szło dobrze. Widzisz, jaki mam samochód?

- Zauważyłem. No, ale samochód to jeszcze nie szczęście.

- Wiem. No, ale co chcesz, żebym ci odpowiedziała? Popatrz w telewizor... Jak człowiek widzi, co się dzieje u nas czy gdzie indziej... Nie mogę powiedzieć, że byłam nie-szczęśliwa.

- Co Gino myślał o Narnim?

- Nie bardzo go lubił. To znaczy na początku owszem, tak. Rozmawiali ze sobą o paese. Ale wiesz, Gino w ogóle się nie zaprzyjaźnia! z ludźmi. Dla niego liczyła się tylko rodzina.

- Był zazdrosny, co?

- Trochę. Jak każdy Włoch. Ale nigdy z tym nie było problemu. Nawet kiedy na urodziny dostawałam wspaniałe bukiet róż. Przypominał sobie wtedy, że on o moich urodzinach zapomniał. Ale to było bez znaczenia. Gino mnie kochał. Wiedziałam, że mnie kocha.

- Więc dlaczego go nie lubił?

- Nie wiem. Gino... Aleks czasami przychodził z dwoma dziwnymi facetami. Świetnie ubranymi i z obstawą... Jakby z gorylami, czy coś w tym rodzaju. Mowy nie było, żeby ci dwaj dali się sfotografować! Ginowi nie bardzo się to podobało. Nie chciał ich oglądać w swojej restauracji. Mówił, że to mafia. Że mają to wypisane na gębie. Prawdziwsi niż w kinie!

- Zwrócił uwagę Narniemu?

- No skąd, coś ty! Narni był stałym klientem. Jak masz restaurację, wstrzymujesz się od komentarzy. Podajesz do stołu i tyle.

- Gino zmienił do niego stosunek po tych wizytach?

Zgasła papierosa. Odległe sprawy. A przede wszystkim jeszcze niezamknięty rozdział w jej życiu. Nawet dziesięć

lat później. Ma na pewno w głowie fotografię Gina. w złotej ramce, z różą.

- Gino zrobił się w pewnym momencie nerwowy. Nie spokojny. Budził się w nocy. Mówił, że to dlatego, że za dużo pracujemy. Fakt, pracowaliśmy bez chwili wytchnienia. W restauracji zawsze był komplet gości, ale wcale nie tarzaliśmy się w złocie. Żyliśmy po prostu. Czasami miałam wrażenie, że zarabiamy mniej niż na początku. Gino mówił, że ta restauracja to wariacka spirala. Zaczął przebąkiwać, że może by ją sprzedać. Wyprowadzić się stąd. Mniej pracować. Że bylibyśmy tak samo szczęśliwi.

Gino i Żelu. Adrien Fabre i Cûc. Mafia odbierała jedną ręką to, co dawała drugą. Nie robiła prezentów. Nie sposób uniknąć płacenia okupu. Zwłaszcza jeśli ten, kto wymusza okup, nagonił klientelę. I to nie byle jaką. Wszędzie to tak funkcjonuje. W różnym stopniu. Nawet w najmniejszych dzielnicowych barach. Od Marsylii po Menton. Nic wielkiego, powiedzmy, jeden nie zadeklarowany flipper. Albo dwa.

Co więcej, Narni zakochał się w szefowej. W Żelu. Mojej kuzynce. Mojej Claudii Cardinale. Pamiętam, że dziesięć lat temu była jeszcze piękniejsza niż jako nastolatka. Dojrzała kobieta w rozkwicie. Taka, jakie lubię.

- Któregoś wieczoru trochę się posprzeczali - podjęła Żelu. - Teraz sobie przypominam. Nie wiem, z jakiego powodu. Gino nie chciał mi powiedzieć. Aleks przyszedł wtedy sam, jak to mu się czasem zdarzało. Gino usiadł przy jego stoliku, żeby napić się z nim wina i pogadać. Aleks zjadł kluski i wyszedł. Nic więcej nie zamówił. Ledwo się pożegnał. Ale popatrzył na mnie długo, długo. Zanim wyszedł.

- Kiedy to było?

- Miesiąc przed śmiercią Gina... Fabio! - krzyknęła. -

Nie powiesz mi, że...

Otóż to. Nic nie chciałem powiedzieć.

Od tego czasu Narni nie pojawił się w restauracji. Raz jeden zadzwonił do Żelu. Powiedział jej, że wyjeżdża służbowo, ale niebawem wróci. Przyszedł dwa dni po śmierci Gina. A dokładnie na pogrzeb. Przez cały ten czas nie odstępował Żelu, bardzo jej pomagał, radził, co robić.

Zwierzyła mu się wtedy, że chce sprzedać restaurację i wyjechać. Zaczął od nowa gdzie indziej. I w tym też jej pomógł. Zajął się sprzedażą restauracji, uzyskał bardzo dobrą cenę. Od jednego ze swoich krewnych. Żelu stopniowo zaczęła liczyć bardziej na niego niż na własną rodzinę. Prawda, że po tym nieszczęściu rodzina szybko wróciła do swoich spraw. Ja również.

- Mogłaś zadzwonić do mnie - przypomniałem.

- No tak. Gdybym była sama. Ale Aleks był obok i...

Nie musiałam się prosić.

Mniej więcej po roku Narni zaproponował jej, żeby pojechała z nim do Gap. Znalazł tam pewien interes, który się jej spodoba. A także willę na stokach przełęczu Bayard. Ze wspaniałym widokiem na dolinę. Dzieci będą tutaj szczęśliwe, powiedział. Zacznie się inne życie.

Obejrzelі dom jak młoda para, która szuka sobie gniazdka. Śmiejąc się. Robiąc plany w zawoalowanych słowach. Wieczorem, zamiast wrócić, zostali w Gap na kolację. Zrobiło się późno. Narni zaproponował, żeby zostać na noc. Przy restauracji był hotelik z dwoma wolnymi pokojami. Żelu, sama nie wiedząc jak, znalazła się w jego ramionach. Ale nie żałowała tego.

- Za długo byłam sama... Nie umiałam, nie mogłam żyć bez mężczyzny. Na początku wierzyłam, że to się uda, ale... Miałam trzydzieści osiem lat, Fabio - powiedziała, jakby się usprawiedliwiając. - Ludziom wokół mnie, zwłaszcza mojej rodzinie, to się nie podobało. Ale przecież człowiek nie żyje z rodziną. Rodziny nie ma przy tobie wieczorem, kiedy dzieci są w łóżkach, a ty siedzisz sama przed telewizorem.

No i obok był ten mężczyzna, którego znała od tak dawna, który umiał czekać. Mężczyzna elegancki, pewny siebie, bez kłopotów materialnych. Powiedział jej, że jest doradcą finansowym w Szwajcarii. Tak, Narni budził zaufanie. Zaczęła się rysować przed nią przyszłość. Nie taka, o jakiej marzyła, wychodząc za Gina. Ale nie gorsza niż to, czego mogła się spodziewać po jego śmierci.

- On bardzo często wyjeżdżał służbowo. We Francji i za granicę. I to też było dobre - powiedziała Żelu. - Byłam wolna. Mogłam robić, co chciałam. Być sama z dziećmi, cała dla nich. Aleks wracał akurat wtedy, kiedy jego nieobecność zaczynała mi ciążyć. Nie, Fabio, tych ostatnich dziesięciu lat nie mogę uznać za nieszczęśliwe.

Narni zdobył to, czego pragnął. Tej jednej rzeczy nie mogłam mu odmówić. Że kochał Żelu na tyle, by zaopiekować się dziećmi Gina. Czy dlatego go zabił? Z miłości? Czy też dlatego, że Gino postanowił, że nie da z siebie wydusić ani centyma? Wszystko jedno. Ten typ to morderca. Tak czy owak, zabiłby Gina. Bo Aleksander Narni był taki jak wszyscy ludzie z mafii. Brali to, co chcieli, prędzej czy później. Władze, pieniądze, kobiety. Żelu. Tym większą czułam nienawiść do Narniego. Że ośmielił się ją kochać. Że ją zbrukał wszystkimi swoimi zbrodniami. Śmiercią, którą nosił w głowie.

- Co teraz będzie? - spytała Żelu martwym głosem.

Była silną kobietą. Ale tego jednak było za dużo dla jednej samotnej kobiety, w ciągu jednego dnia. Musi odpocząć, zanim się całkiem załamie.

- Pojedziesz się położyć.

- Do hotelu?! - krzyknęła ze zgrozą.

- Nie. Nie wrócisz do hotelu. Narni krąży teraz jak wściekły pies. Na pewno wie, że ja wiem. Skoro nie wróciłaś, łatwo się domyśli, że wszystko ci opowiedziałem. Zdolny jest zabić każdego. Nawet ciebie.



Spojrzała na mnie. Nie widziałem jej. Tylko czasem jej twarz, oświetloną przez przejeżdżający samochód. Niewiele pozostało w oczach Żelu. Pustynia. Jak po przejściu tornada.

- Nie wierzę - powiedziała cichutko.

- W co nie wierzysz, Żelu?

- Nie wierzę, by mógł mnie zabić. (Wzięła głęboki oddech.) Którejś nocy kochaliśmy się. Przez długi czas go nie było. Wrócił bardzo zmęczony. Przygnębiony, wydawało mi się. Trochę smutny. Wziął mnie w ramiona, z czułością. On umiał być czuty. Lubiłam to. „Wolałbym stracić wszystko niż stracić ciebie”, wyszeptał. Miał łzy w oczach.

Kurwa mać! - powiedziałem sobie. Czego to się człowiek w życiu nie nasłucha. Jeszcze i to. Opowieść o czułym mordercy. Och, Żelu, Żelu, dlaczego puściłaś moją rękę wtedy w kinie?

- Powinniśmy się byli pobrać, ja i ty.

Co ja wygaduję?

Rozszlochała się i padła w moje ramiona. Łzy zmoczyły mi koszulę na piersi. Czuję je na skórze. Pozostawiają nieusuwalną plamę, wiedziałem o tym.

- Bzdury gadam, Żelu. Ale jestem z tobą. Kocham cię.

- Ja też cię kocham - powiedziała, pochlipując. - Ale nie zawsze byłeś ze mną.

- Narni to morderca. Niebezpieczny typ. Może lubił życie rodzinne. I na pewno cię kochał. Ale to nie zmienia postaci rzeczy. To zawodowy morderca. Gotów do wszystkiego. W tym zawodzie nie odkłada się po prostu klucza pod słomiankę. Zabijanie to jego fach. Musi się liczyć ze swoimi przełożonymi. Typami jeszcze bardziej niebezpiecznymi. Facetami, którzy nie zabijają ludzi jak on, spluwają, ale kontrolują polityków, przemysłowców, wojskowych. Typami, dla których życie ludzkie się nie liczy... Narni nie może sobie pozwolić na to, by zostawić po sobie rannych. Nie mógł darować życia Guitou.

Ciebie też nie oszczędzi. Ani mnie...

Moje słowa zawisły w powietrzu. Niczego już nie oczekiwałem od życia. Po prostu pewnego dnia zacząłem je doceniać samo w sobie. I w końcu je pokochałem. Bez poczucia winy, bez wyrzutów sumienia, bez lęku. Po prostu. Życie jest jak prawda. Bierze się to, co się znajduje. A często znajduje się to, co się samemu dało. To nie jest bardzo skomplikowane. Kobieta, z którą żyłem najdłużej, Rosa, powiedziała mi, zanim ode mnie odeszła, że mam ograniczoną wizję świata. To prawda. Ale żyję i niewiele mi potrzeba do szczęścia. Jak umrę, nie będzie inaczej.

Objąłem ją za ramiona.

- Mówię ci to dlatego, że cię kocham i chcę cię przed nim osłonić. Póki wszystko nie zostanie załatwione jak należy. Ale przedtem, Żelu, musisz go zabić w swojej głowie. Musisz zniszczyć w sobie najmniejszą cząstkę uczucia dla niego. Inaczej nie będę mógł ci pomóc.

- W ten sposób tracę dwóch mężczyzn, Fabio - powiedziała z rozpaczą.

Najgorsze pozostało do powiedzenia. Miałem nadzieję, że uda się tego uniknąć.

- Wyobraź sobie Guitou. Ma za sobą pierwszą miłosną noc, z fajną dziewczyną. I nagle słyszy jakieś dziwne odgłosy w domu. Może krzyk. Krzyk agonii. Przerażliwy dla każdego. Bez względu na wiek. Może spali? Może znów się kochali? Wyobraź sobie, jak się musieli wystraszyć.

Więc wstają. I Guitou, który jest teraz mężczyzną, robi to, na co nie każdy mężczyzna by się zdobył. Ale robi to. Bo Naima na niego patrzy. Bo Naima jest przerażona. Bo on się o nią boi. Otwiera drzwi. I co widzi? To ścierwo, Nar-niego. Gościa, który go poucza, co to są biali, czarni, Arabowie. Typa zdolnego pobić twego dzieciaka, gwałtownie i złośliwie, tak że siniaki nie schodzą tygodniami. Typa, który śpi z jego matką. Który robi z jego matką to, co on przed chwilą z Naimą. Wyobraź sobie oczy Guitou w tamtej

chwili. Nienawiść i strach. Bo wie, że nie ma żadnej szansy. Wyobraź też sobie oczy Narniego, gdy ujrzał tego dzieciaka przed sobą. Dzieciaka, który przez lata mu się stawał, który nim gardzi. Wyobraź sobie, Żelu! Chcę, żebyś miała w głowie te obrzydliwe obrazy. Twój dzieciak w samych gatkach! Na wół nagi. I Narni ze spluwą. Który strzela bez wahania. Tam, gdzie trzeba. Bez drżenia. Jedna kula, Żelu! Jedna, psiakrew!

- Przestań! - szlochała Żelu.

Jej palce gniotły mi koszulę. Była na skraju załamania nerwowego. Ale musiałem mówić dalej.

- Nie, Żelu, musisz mnie wysłuchać. Wyobraź sobie Guitou, który pada i rozbija sobie czoło na kamiennym schodku. Jego płynącą krew. Który z nich dwóch pomyślał w tym momencie o tobie, jak sądzisz? W tym ułamku sekundy, kiedy kula wyleciała, żeby utknąć w sercu Guitou? Chcę, żebyś to wszystko wbiła sobie do głowy raz na zawsze. Bo inaczej nigdy nie będziesz mogła zasnąć. Do końca życia. Musisz to zobaczyć, Żelu. Zobaczyć Guitou. I Narniego też, musisz zobaczyć, jak strzela. Zabiję go, Żelu.

- Nie! Nie ty! - zawyła, łkając.

- Ktoś to musi zrobić. Żeby to wszystko wymazać. Nie żeby zapomnieć, nie. Tego ci się nie uda zapomnieć. Ani mnie, ani tobie. To nie to, trzeba po prostu zetrzeć ten brud. Żeby się zrobiło czyściej wokół nas. W naszych głowach. I w sercach. Dopiero wtedy można będzie spróbować żyć dalej.

Żelu przyłgnęła do mnie. Siedzieliśmy jak w dzieciństwie, przytuleni do siebie w jednym łóżku, opowiadający sobie straszne historie. I te straszne historie nas dopadły. Jak najbardziej realne, nie urojone. Moglibyśmy oczywiście zasnąć przytuleni, jak wtedy. Żeby było cieplej i bezpieczniej. Ale wiedzieliśmy, że po przebudzeniu groza nie zniknie.

Groza miała imię i twarz. Narniego.

Zapaliłem motor. Już bez dodatkowych słów. Znalazłem się w punkcie, gdzie nie da się dłużej czekać. Jechałem szybko przed siebie wyludnionymi o tej porze uliczkami.

Miasto jeszcze tu nie dotarło: jak w starym miasteczku, wiekowe domy, niektóre jeszcze z czasów kolonialnych. Jeden mi się szczególnie podobał, w mauretańskim stylu. Z tych, jakie się widzi w El Biar, na wzgórzach Algieru. Dom był opuszczony, podobnie jak wiele innych. Jego okna nie otwierały się już, jak niegdyś, na rozległe obszary zieleni, parki i ogrody, tylko na betonowe blokowiska.

Wjeżdżaliśmy pod górę. Żelu się nie odzywała. Tam, gdzie ją zawiozę, będzie jej dobrze. Potem na zboczu wzgórze pojawił się ogromny złoty Budda. Oświetlony blaskiem księżyca. Majestatycznie i spokojnie górował nad miastem. W tej niedawno wybudowanej świątyni mieścił się również ośrodek studiów buddyjskich. Cúc tam na nas czekała. Z Naimą i Mathiasem.

Tam ich ukryła. To był jej tajemniczy ogród. Tam się chroniła, kiedy miała kłopoty. Tam przychodziła medytować i myśleć. Nabrać sił. Napić się u źródła. Tam było jej serce. Na zawsze. Wietnam.

Nie wierzę w żadnego Boga. Ale to było święte miejsce. Czyste. Nie jest źle poddychać od czasu do czasu czystym powietrzem, pomyślałem sobie. Żelu będzie tu dobrze. Z nimi. Wszyscy czworo ponieśli ciężkie straty. Cúc straciła męża. Mathias - przyjaciela. Naima - ukochanego. A Żelu - wszystko. Zaopiekują się nią. Zaopiekują się sobą. Wyleczą rany.

U bramy czekał na nas mnich. Żelu przytuliła się do mnie. Pocałowałem ją w czoło. Podniosła na mnie oczy. Wydawały się przesłonięte woalem, który się zaraz rozedrze.

- Muszę ci powiedzieć jeszcze jedną rzecz.

I usłyszałem tę rzecz, której wolałbym nigdy nie słyszeć.

Rozdział dwudziesty pierwszy,  
w którym pluje się w przepaść  
z obrzydzenia i ze znużenia

Wróciłem saabem Żelu. Włączyłem radio i trafiłem na audycję poświęconą tangu. Edmundo Riveiro śpiewał Garuffa. To mi najlepiej pasowało. Po tym, co wyznała Żelu, bandeon grał mi w sercu. Ale nie chciałem się nad tym zastanawiać. Wołałem odepchnąć jej słowa jak najdalej od siebie. Nawet zapomnieć o nich.

Wrażenie, że skaczę pilotem po cudzym życiu jak po programach. Że oglądam rozmaite odcinki seriali. Żelu i Gino. Guitou i Naima. Serge i Reduan. Cûc i Fabre. Pawia i Saadna. Zjawiałem się zawsze na końcu. Tam, gdzie się zabija. Tam, gdzie się umiera. Zawsze spóźniony o jedno życie. O jedno szczęście.

Pewnie dlatego się postarzałem. Że za bardzo się wahałem i nie potrafiłem go schwytać, kiedy mi przechodziło koło nosa. Nigdy tego nie umiałem. Tak jak nie umiałem podjąć decyzji. Wziąć na siebie odpowiedzialności. Niczego, co by mnie zobowiązywało na przyszłość. Ze strachu przed stratą. I traciłem. Byłem przegrany.

Spotkałem się z Magali w Caen. W hoteliku. Trzy dni przed moim wyjazdem do Dżibuti. Kochaliśmy się długo i powoli. Całą noc. Rano, zanim weszła pod prysznic, spytała:

- Wolałbyś, żebym kim dla ciebie była: nauczycielką czy modelką?

Nie odpowiedziałem. Wzruszyłem ramionami. Wróciła ubrana, gotowa do wyjścia.

- Zastanowiłeś się? - spytała.

- Bądź, kim chcesz. Podobasz mi się taka, jaka jesteś.

- Spryciarz z ciebie - powiedziała i pocałowała mnie lekko w usta. (Przygarnąłem ją do siebie. Nadal czułem požądanie.) Spóźnię się na zajęcia.

- Do wieczora.

Drzwi się zamknęły. Nie przyszła wieczorem. Nie znalazłem jej. Nie mogłem jej powiedzieć, że przede wszystkim chciałbym, aby była moją żoną. Zrobiłem unik wobec podstawowego pytania. Wobec wyboru. I nie wyciągnąłem z tego lekcji. Nie wiem, co by się z nami później stało. Ale jestem pewien, że Fonfon cieszyłby się z naszego szczęścia I nie byłby dzisiaj sam. Ja też nie.

Wyłączyłem radio, kiedy Carlos Gardel zaintonował Vol-ver. Tango, tęsknota - lepiej wyłączyć. Mógłbym się przy tym rozłożyć, a muszę mieć trzeźwą głowę. Żeby stawić czoło Narniemu. Nie rozumiałem do końca jego postępowania. Dlaczego pojawił się wczoraj, skoro mógł pozostać dalej w cieniu i ścigać Naimę? Może uważał, że łatwiej mnie dopadnie, kiedy odeśle Żelu do Gap? To już bez znaczenia, pomyślałem. To jego kalkulacje. Mnie są obce.

Wjechałem na nadmorską autostradę, biegnącą nad portem. Dla przyjemności widoku nabrzeża z góry, mijając dok za dokiem. Żeby podarować sobie luksus świateł statków przycumowanych u nabrzeża. Tutaj nadal trwały moje marzenia. Nienaruszone. W tych statkach gotowych podnieść kotwicę, żeby wyruszyć gdzie indziej. Może to właśnie powinienem zrobić. Dziś wieczór. Jutro. Odplynąć. Nareszcie. Rzucić wszystko. Pojechać do krajów, które zwiedził Ugo. Afryka, Azja, Ameryka Południowa. Aż do Puerto Escondido. Miał tam jeszcze dom. Rybacką chatę,

taką jak moja. w Goudes. I Łódź też miał. Powiedział o tym Loli, kiedy wrócił, żeby pomście Manu. Rozmawialiśmy z nią o tym. Pojechać tam. Do tego innego domku na końcu świata.

Ale znowu: za późno. Czy zabijając Narniego, pogodzę się wreszcie z życiem? Ale wyrównanie rachunków nie będzie odpowiedzią na wszystkie moje porażki. I skąd ta pewność, że uda mi się go zabić? Bo nie mam nic do stracenia. Ale on też nie ma nic do stracenia.

I jest ich dwóch.

Wjechałem w tunel pod Starym Portem, żeby wyjechać przy forcie Saint Nicolas. Potem wzdłuż quai Rive-Neuve. O tej porze Marsylia się ożywia. Ludzie zastanawiają się, w jakim sosie „zjeść” noc. Antylskim. Brazylijskim. Afrykańskim. Arabskim. Greckim. Ormiańskim. Malgaskim. Wietnamskim. Włoskim. Prowansalskim. W marsylskim kotle wszystko można znaleźć. Na każdy gust.

Na rue Francis-Davso zaparkowałem w drugiej linii przy moim samochodzie. Wrzuciłem do saaba kilka kaset i spluwę Reduana. Potem ruszyłem dalej przez rue Moliere biegnącą obok Opery, rue Saint-Saens, i na lewo, w rue Glandeves. Powrót do portu. Dwa kroki od hotelu Alize. Przywitało mnie wolne miejsce do zaparkowania. Jest się z czego cieszyć. Piesza uliczka i chodnik. To może sporo kosztować. Tak sporo, że nikt go nie zajął. Ale zatrzymam się tylko pięć minut, nie dłużej.

Wszedłem do kabiny telefonicznej, niemal na wprost hotelu. Zadzwoiłem do Narniego. I wtedy spostrzegłem safranę zaparkowaną w drugiej linii przed hotelem New York. Zapewne z Balduccim za kierownicą, zważywszy na wydobytą się przez okienko dymek z papierosa. Mam dziś fart, powiedziałem sobie. Wolałem ich widzieć tutaj, niż wyobrażać sobie, że stoją przed moim domem i czekają na mnie.

Narni natychmiast odpowiedział.

- Montale - przedstawiłem się. - Jeszcześmy się nie poznali. Ale możemy to zrobić teraz, prawda?

- Gdzie jest Żelu?

Piękny, głęboki, ciepły głos. Zaskoczył mnie.

- Za późno troszczyć się o jej zdrowie, stary. Nie sądzę, żebyś ją jeszcze w życiu oglądał.

- Wie?

- Wie. Wszyscy wiedzą. Nawet gliny. Nie mamy za wiele czasu, żeby to załatwić między nami.

- Gdzie jesteś?

- W domu - skłamałem. - Mogę przyjechać w ciągu trzech kwadransów. W hotelu New York, pasuje ci?

- Okej. Będę tam.

- Sam - zachciało mi się zażartować.

- Sam.

Odłożyłem słuchawkę i czekałem.

Potrzebował dziesięciu minut, żeby zejść na dół i wsiąść do safrane. Ja wsiadłem do saaba. W drogę, powiedziałem sobie.

Miałem pomysł. Wypadało wierzyć, że dobry.

Dzięki korkom - i na to liczyłem - mogłem śledzić safrane na quai de Rive-Neuve. Postanowili jechać przez Corniche. Dobra nasza. To mi odpowiada.

Trzymałem się daleko z tyłu za nimi. Wystarczy, jeśli ich dogonię przy Dawidzie. Na Rond-Point de la Plage. I zrobiłem to. Kiedy wjeżdżali na drogę do Pointe-Rouge, podjechałem z wolna z tyłu i dałem im sygnał światłami. Potem, nie zatrzymując się, okrążyłem posąg Dawida i wjechałem w avenue du Prado. Nie będą mogli zawrócić wcześniej niż przy avenue Bonneveine. To ich zdenerwuje. A mnie pozwoli zjechać do końca avenue du Prado. Bez ryzyka. Tam na nich zaczekam. Na poboczu przy rondzie Prado-Michelet. Tam zacznie się rodeo.

Wyciągnąłem spluwę z plastikowej torby, załadowałem, odbezpieczyłem i położyłem na siedzeniu obok. Rękojeścią



do siebie. A potem włączyłem taśmę ZZ Top. Potrzebowałem tego. Jedyny zespół rockowy, który lubię. Jedyny autentyczny. Zobaczyłem safrane. Pierwsze nuty Thunderbird. Ruszyłem z miejsca. Pewnie się zastanawiają, co jest grane. Bawiło mnie, że nie panują nad sytuacją. Ich nerwowość to mój atut. Cały mój plan polegał na błędzie z ich strony. Błądzie, który okaże się, mam nadzieję, fatalny.

Światła czerwone. Pomarańczowe. Zielone. Przejechałem cały boulevard Michelet, nie zatrzymując się ani razu. Potem z piskiem opon skrzyżowanie Mazaragues. Za Redon i Luminy droga departamentalna D 559 do Cassis. Przez przełęcz Gineste. Klasyczna trasa marsylskich cyklistów. Znałem ją na pamięć. Odchodzi stąd cały szereg ścieżek do calanques.

Kręta droga ta D 559. Wąska. Niebezpieczna.

ZZ Top zaintonowali Lang Distance Bougie. Co za żyła z tego Billy'ego Gibbonsa! Jechałem w górę z szybkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę, z safrane na ogonie. Saab wydawał mi się nieco powolny, ale posłuszny. Żelu pewnie nigdy mu nie zaaplikowała takiej jazdy.

Po pierwszym dużym zakręcie safrane wysunęła się na bok. Już mnie próbowali wyminąć. Śpieszyło im się. Widziałem czoło samochodu na wysokości mojej tylnej szyby. I wyciągniętą rękę Narniego. Ze spluwą. Wrzuciłem czwarty bieg. Blisko stowa na godzinę. Z największą trudnością wzięłem drugi wiraż. Oni też.

Odległość między nami lekko się zwiększyła.

Teraz, kiedy akcja się zaczęła, zwątpiłem w jej powodzenie. Wygląda na to, że Balducci to as kierownicy. No, nie wiem, czy ci się uda spróbować poutargue Honorine, powiedziałem sobie. Cholera! Głodny jestem! Co za idiota ze mnie! Trzeba było wcześniej coś zjeść! Zanim wszcząłem tę całą gonitwę. No tak, to do ciebie podobne. Rzucać się głową w dół, nie dając sobie czasu na oddech. Przecież

się nie paliło. Narni by na ciebie zaczekał. Albo by do ciebie przyjechał.

Na pewno by przyjechał.

Talerz spaghetti a la matricciana dobrze by ci zrobił. I do tego trochę wina. Czerwone tempier, na przykład. Z Bandol. Może będą to mieli na tamtym świecie. Co ty opowiadasz, kretynie! Potem nic nie ma.

Tak, potem nic nie ma. Czarna dziura. To wszystko. W dodatku nawet nie wiesz, że czarna. Bo nie żyjesz.

Safrane cały czas siedziała mi na ogniu. Ale nie mogła zrobić nic innego. Na razie. Za zakrętem spróbuj jeszcze raz mnie wyprzedzić.

No dobra, masz tylko jedno wyjście, Montale, wyjdź z tego cała. Okej? W ten sposób będziesz się mógł nażreć, czym tylko dusza zapagnie. No właśnie, ile to czasu nie jadłem fasolowej? O tak. z wielkimi grzankami, podlanej oliwą. Niezła rzecz. Jeszcze trochę przyspieszyłem. Albo taka pieczeń na dziko. Też niezła rzecz. Powinieneś być powiedzieć Honorine. Niechby ci zrobiła marinade. Czy tempier by do tego pasowało? No pewnie. Czułem smak wina na podniebieniu.

Jakiś samochód zjeżdżał w dół. Dał nam znak światłami. Facet się przeraził, że z taką szybkością wjeżdżamy pod górę. Mijając mnie, zatrąbił jak wściekły. No tak, pewnie ma pietra.

Potrząsnąłem głową, żeby odegnać kuchenne zapachy. Czułem, że żołądek zaraz wkroczy do akcji. Zawsze się zdąży zobaczyć, co dalej, no nie, Montale? Nie podniecaj się. Uspokój się.

Uspokoilem się.

Stową na tę przeklętą przełęcz, masz pojęcie?!

Pod nami Zatoka Marsylijska. Wspaniały widok na miasto. Jeden z najpiękniejszych. Trochę wyżej jest jeszcze lepsza panorama, tuż przed zjazdem do Cassis. No, ale nie byliśmy na wycieczce turystycznej.

Wrzuciłem piąty bieg. Żeby nabrać sił, zwolniłem do dziewięćdziesiątki. Safrane natychmiast mi siadła na ogonie. Wysunęła się, z lekka zbaczając. Chce mnie wyprzedzić, sukinsyn.

Sto metrów, potrzebuję jeszcze stu metrów. Wrzuciłem trzeci bieg. Samochód jakby skoczył do przodu. Wychodząc z zakrętu, przyspieszyłem do setki. Czwarty bieg. Przedemną prostą linią. Dziewięćset, tysiąc metrów. Nie dłużej. Potem skręt w prawo, a nie w lewo, jak do tej pory.

Przyspieszyłem. Safrane wciąż na ogonie.

Sto dziesięć.

Wysunęła się z boku. Podkreśliłem dźwięk na maksa. W uszach cała elektryczność gitar.

Safrane niemal się ze mną zrównała.

Przyspieszyłem.

Sto dwadzieścia.

Safrane przyspieszyła.

Ujrzałem spluwę Narniego przy mojej szybie.

- Na! - ryknąłem.

Na!

Na!

Teraz hamulec. Zdecydowanie.

Sto dziesięć. Sto. Dziewięćdziesiąt.

Chyba usłyszałem strzały. Safrane minęła mnie i poleciała przed siebie. Na betonową rampę. Przekoziółkowała i wyleciała w powietrze. Czterema kółkami do nieba.

Pięćset metrów niżej: skały i morze. Nikt z tych, którzy zrobili tu wielki skok, nie uszedł z życiem. Nastę Dogs And Funky Kings - wrzeszczeli ZZ Top.

Stopa na pedale dygotała. Zwolniłem jeszcze bardziej, a potem możliwie najspokojniej zatrzymałem się przy rampie. Teraz dygotałem na całym ciele. Strasznie mi się chciało pić. Poczułem lzy płynące po policzkach. Ze strachu. Z radości.

Śmiech mnie wziął. Wielki, nerwowy śmiech.

Za mną pojawiły się światła samochodu. Instynktownie włączyłem ostrzegawcze. Samochód minął mnie. R 21. Zwolnił i zatrzymał się pięćdziesiąt metrów dalej. Wsiadło z niego dwóch facetów. Wielkich jak szafa. W dzinsach i skórzanych kurtkach. Ruszyli w moją stronę.

Cholera.

Za późno, żeby sobie przypomnieć, jakie popełniłem głupstwo.

Położyłem dłoń na rękojeści spłuwki. Wciąż jeszcze dygotałem. Nie dam rady unieść tej broni, co dopiero wymierzyć w nich. A jeśli chodzi o strzelanie...

Stanęli. Jeden z facetów zapukał w szybę. Opuściłem ją powoli. I zobaczyłem jego twarz.

Ribero. Jeden z inspektorów Loubeta.

Odetchnąłem z ulgą.

- No to dali nura! Nieźle, co? Wszystko gra?

- O kurwa, aleście mnie przestraszyli! Roześmiali się. Rozpoznałem drugiego. Vernet. Wsiadłem z samochodu. Podszedłem kilka kroków do miejsca, gdzie Narni i Balducci dali nura. Chwiałem się na nogach.

- Tylko nie spadnij - powiedział Ribero.

Vernet zbliżył się do mnie i spojrzał w dół.

- Trzeba się będzie narobić, żeby to obejrzeć z bliska. Pewnie niewiele z nich zostało.

Nabijali się, kretyni.

- Od dawna mnie filujecie? - spytałem, wyjmując papierosa.

Ribero podał mi ogień. Za bardzo się trząsałem, żeby sam zapalić.

- Od ładnych paru godzin. Czekaliśmy na ciebie przed restauracją. Loubet nas wezwał.

Skurczybyk, wtedy jak poszedł do sracza.

- Lubi cię, ale nie żeby miał do ciebie zaufanie - wyjaśnił Vernet.

- Chwileczkę. Śledziliście mnie cały czas?  
- Prom. Spotkanie z kuzynką. Budda. No i tu, sam widzisz... Wystawiliśmy nawet dwóch facetów przed twoim domem, na wszelki wypadek.

Usiadłem na rampie, która wyszła cało z tej masakry.

- Ty! Uważaj! Tylko teraz nie spadnij! - Ribero się zaśmiał.

Nie miałem zamiaru. Co to, to nie.

Myślałem o Narnim. O ojcu, który zabił własnego syna. Ale nie wiedział, że Guitou jest jego synem. Żelu nigdy mu nie powiedziała. Ani jemu, ani nikomu. Tylko mnie. Dopiero co.

To się stało pewnej nocy w Cannes. W noc premiery. Wspaniałe, wystawne przyjęcie. Dla mnie jak w bajce, powiedziała. Bajce dla dziewczyny, która wyrosła na ulicach Panier. Obok niej, po prawej, siedział De Niro. po lewej Narni. Kto wokół - nie pamięta. Gwiazdy filmowe. A w środku ona. Narni położył dłoń na jej dłoni. Spytał, czy jest szczęśliwa. Przycisnął kolano do jej kolana. Poczwała bijące od niego ciepło. Udzieliło się jej.

Potem wszyscy poszli do lokalu. No i padła mu w ramiona. Tańczyła z nim do upadłego, jak jej się nie zdarzyło od lat. Zapomniała o tym wszystkim: tańcach, picciu, bawieniu się do rana. Jak kiedy miała dwadzieścia lat. Straciła głowę. Zapomniała o Ginie, dzieciach, restauracji.

To był luksusowy pałac, nie hotel. Olbrzymie łóżko. Narni ją rozebrał. Wziął ją z pasją. Wiele razy. Młodość jej wróciła. O tym też zapomniała. I o jeszcze jednym. W czym się zorientowała później. Że to akurat był jej okres płodny. Żelu należała do pokolenia, które nie brało pigułki. Nie znosiła spirali. Nic zresztą nie ryzykowała, bo od dawna nie robili z Ginem żadnych szaleństw późno w nocy, po zamknięciu restauracji.

Tę noc mogłaby zachować w pamięci na resztę życia. Jako cudowne wspomnienie. Jej sekret. Ale zaszła w ciążę.

Gino cieszył się na nowe dziecko. Była tym poruszona. Powoli obraz jednego mężczyzny nałożył się na obraz drugiego. Nie czuła się winna. I kiedy urodziła dziecko, a Gino był dla niej czuły jak nigdy, ofiarowała mu, mężczyźnie swego życia, tego trzeciego syna, Guitou.

Stała się na powrót matką i odzyskała równowagę ducha. Poświęciła się mężowi i chłopcom. Kiedy Narni przychodził do restauracji, jego widok nie robił na niej wrażenia. Należał do przeszłości. Do młodości. Aż nastąpił dramat. I Narni wyciągnął do niej rękę, gdy była bezradna i samotna.

- Dlaczego miałabym mu wyznać? Guitou należał do Gina. Do naszej miłości.

Ująłem jej twarz w dłoń.

- Żelu...

Nie chciałem, żeby zadała pytanie, które cisnęło jej się na usta.

- Myślisz, że wszystko byłoby inaczej, gdyby wiedział, że to jego syn?

Zjawił się mnich. Skinąłem na niego. Otoczył Żelu ramieniem i odszedłem, nie odwracając się. Jak Murad. Jak Cûc. Nie odpowiedział na jej pytanie.

Bo odpowiedzi nie było.

Splunąłem w przepaść. Tam, gdzie Narni i Balducci dali nura. Na zawsze. Strzyknąłem śliną przez zęby z obrzydzenia. I wielkiego znużenia.

Już prawie przestałem dygotać. Tyle że chciałem się napić. Dużą szklankę whisky. Mojego lagavulina. Nie szklankę, butelkę. Tego mi trzeba.

- Nie macie czegoś do picia?

- Nawet jednego piwa, stary. Ale możemy zatankować, jeśli chcesz. Wystarczy wrócić na ziemię - zażartował.

Zaczynali mnie wkurzać obaj.

Zapaliłem następnego papierosa, tym razem bez ich pomocy, odpalając od peta. Wciągnąłem głęboko dym i spojrzałem na nich.

- A dlaczego nie wkroczyliście wcześniej?

- Loubet powiedział, że to twoja sprawa. Rodzinna. Rozgrywasz ją po swojemu, my też. Czemu nie? Nie będziemy opłakiwać tych skurwieli.

- A... a gdybym to ja dał nura, nie oni?

- No to byśmy ich zgarnęli. Jak kwiaty. Na drugim końcu drogi czekają żandarmi. Nie przejechaliby. Chyba żeby przeszli na piechotę, górami. Ale nie sądzę, by to był ich ulubiony sport... Tak czy owak, byśmy ich dopadli.

- Dziękuję - powiedziałem.

- Nie ma za co. Jak tylko zobaczyliśmy, że jedziesz na Gineste, zrozumieliśmy, co jest grane. Może nie zauważyłeś, ale oczyściliśmy ci drogę, nie?

- I to też wasza robota!

- Jeden samochód się przecisnął. Nie wiem, skąd się pojawił. Jeżeli to para zakochanych wracała z randki na łonie natury, to musieli szybko ochłonać.

- Gdzie jest Loubet?

- Przesłuchuje dwóch chłopaków - powiedział Ribero.  
- Znasz ich zresztą. Nasera i Reduana. Przyskrzypił ich po południu. Szpanowali, kretyni, czarnym bmw. Pojechali do La Paternelle. Dołączył do nich Budżema Resaf. A my wystawiliśmy tam chłopaków w pobliżu jego domu. Spotkanie doszło do skutku. Między nimi. Między nami też. Nie masz pojęcia, cośmy zgarnęli. Ten dom modlitwy to prawdziwy arsenał. Szykowali się do przerzucenia towaru. Myślę, że to Resaf miał się tym zająć. Wyśłaniem artylerii do Algierii.

- Jutro robimy ekstraobławę. O świcie, jak zwykle. Polecą głowy. Loubet powiedział, że twój zeszytek jest prima.

Wszystko się zamyka. Jak zwykle. Ze swoją działką przegranych. A inni, ci wygrani, spokojnie śpią w swoich

łózkach. Cokolwiek by się działo. Tu czy gdzie indziej na ziemi.

Wstałem.

Z trudem. Bo zrobiło mi się słabo. Złapali mnie w momencie, gdy osuwałem się na ziemię zemdlony.



## Epilog

Noc jest taka sama, a na wodzie  
kładzie się cień człowieka zużytego

Poszliśmy w końcu na jednego. Ribero prowadził safrane aż do Dawida na Rond-Point de la Plage. Wystarczy szklaneczka whisky, a już człowiekowi lepiej. To była zwykła glenmorangie, muszę jednak przyznać, że niezła. Ribero i Vernet zamówili po szklance syropu miętowego z wodą.

Vernet dopił swoją, wstał i wyciągnął rękę w lewo.

- Widzisz, tam jest twój dom. Sam dojedziesz czy potrzebujesz aniołów stróżów?

- Dam sobie radę - powiedziałem.

- Bo to jeszcze nie koniec. Mamy dużo roboty przed sobą.

Uściskałem im ręce.

- A, właśnie! Idź na ryby! Loubet gorąco ci poleca. Mówi, że to najlepsze lekarstwo na twoją przypadłość.

Znowu się roześmiali.

Ledwie zaparkowałem wóz przed domem, gdy Honorine wyszła na próg. W szlafroku. Nigdy jej nie widziałem w szlafroku. Chyba że bardzo dawno, jak byłem całkiem mały.

- Chodź, Fabio, chodź! - zawołała mnie cicho.

Wszedłem za nią do domu.

W kuchni przy stole siedział Fonfon. Przed nimi leżały karty. Grali sobie w remika. O drugiej w nocy. Ładne rzeczy! Wystarczy, że się odwrócę, i co się wyprawia!

- Wszystko w porządku? - spytał i uściśkał mnie na powitanie.

- Jadł pan coś, Fabio? - zainteresowała się Honorine.

- Jeżeli ma pani pieczeń na dziko, to nie powiem nie.

- No proszę, co za wymagania! - zirytował się Fonfon.

- Pieczeni mu się zachciało. Jakbyśmy nie mieli nic innego do roboty, tylko się o to troszczyć.

Uwielbiałem tych dwoje za to, że są tacy, jacy są.

- Jeśli pan chce, zrobię panu szybko bruschettę.

- Niech pani sobie nie zawraca głowy, Honorine. Głównie potrzebuję się napić. Przyniosę z domu butelkę.

- Nie, nie. Niech pan tam nie idzie. Wszystkich pan po budzi. Dlatego specjalnie czekaliśmy tu na pana z Fonfonem.

- Co to znaczy wszystkich?

- No... W pana łóżku śpi Żelu, Naima i ta... Nie pamiętam, jak ma na imię, ta pani Wietnamka.

- Cûc.

- No właśnie. Na kanapie śpi Mathias. A w kącie, na materacu, który wzięłam z domu, brat Naimy, jak mu tam? Murad, zgadza się?

- Zgadza. A co oni u mnie robią?

- Nie wiem. Pewnie pomyśleli, że będzie im u pana lepiej niż gdzie indziej. Jak pan uważa, Fonfon?

- Na pewno dobrze zrobili. Chcesz spać u mnie?

- Dziękuję, miły jesteś. Ale chyba w ogóle nie chce mi się spać. Wypłynę łódką. Fajna noc.

Ucałowałem ich.

Wśliznąłem się do własnego domu jak złodziej. Porwałem z kuchni nową butelkę lagavulina, kurtkę i wzięłem

z szafy ciepły koc. Włożyłem na głowę starą rybacką czapkę i zszedłem po schodkach do łódki

Mojej wiernej przyjaciółki.

Ujrzałem na wodzie własny cień. Cień człowieka zużytego.

Wypłynąłem o wiosłach, żeby nie robić hałasu.

Wydawało mi się, że widzę na tarasie Honorine i Fonfona. Stali objęci.

I wtedy się poryczałem.

# Spis treści

Od autora

5

Prolog

Końcowa stacja, Marsylia,  
dworzec Saint Charles

9

Rozdział pierwszy,  
w którym szczęście to prosta rzecz,  
kiedy się patrzy na morze

15

Rozdział drugi,  
w którym, kiedy się gada,  
zawsze się mówi za dużo

25

Rozdział trzeci,  
w którym gdzie jest wściekłość,  
tam jest życie

35

Rozdział czwarty,  
w którym najważniejsze,  
to żeby ludzie się spotykali

47

Rozdział piąty,  
w którym nikomu nie zaszkodzi  
trochę prawdy  
58

Rozdział szósty,  
w którym życiowe wybory  
nie o wszystkim przesądzają  
71

Rozdział siódmy,  
w którym proponuje się oddzielić  
nić czarną od białej  
82

Rozdział ósmy,  
w którym historia nie jest jedyną  
formą przeznaczenia  
93

Rozdział dziewiąty,  
w którym kłamstwo nigdy nie jest  
niewinne  
105

Rozdział dziesiąty,  
w którym trudno uwierzyć  
w zbiegi okoliczności  
117

Rozdział jedenasty,  
w którym nie ma nic ładnego  
do oglądania  
128

Rozdział dwunasty,  
w którym w nocy mijają nas  
statki widma  
140

Rozdział trzynasty,  
w którym wszyscyśmy kiedyś ma-  
rzyli, że będziemy żyć jak księżęta  
153

Rozdział czternasty,  
w którym nie jest pewne,  
czy gdzie indziej bywa choć ciut  
lepiej  
163

Rozdział piętnasty,  
w którym można być szczęśliwym z  
żału  
175

Rozdział szesnasty,  
w którym następuje spotkanie  
ze zgłiszczami nieszczęścia  
186

Rozdział siedemnasty,  
w którym czasem im mniej się tłu-  
maczy,  
tym lepiej  
194

Rozdział osiemnasty,  
w którym nie da się zmusić prawdy,  
żeby wyszła na jaw  
203

Rozdział dziewiętnasty,  
w którym kiedy przychodzi śmierć,  
zawsze jest za późno  
213

Rozdział dwudziesty,  
w którym proponuje się  
ograniczoną wizję świata  
225

Rozdział dwudziesty pierwszy,  
w którym pluje się w przepaść  
z obrzydzenia i ze znużenia  
236

Epilog  
Noc jest taka sama, a na wodzie  
kładzie się cień człowieka zuży-  
tego  
248

Redakcja: Elżbieta Rawska  
Korekta: Izabela Gonciarz  
Redakcja techniczna: Urszula Ziętek

Projekt graficzny serii i fotografie na 1 stronie okładki:  
Marek Goebel  
Fotografia autora: © Sophie Bassouls/Syigma

Wydawnictwo W.A.B.  
02-502 Warszawa, ul. Łowicka 31  
tel./fax (022) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11  
[wab@wab.com.pl](mailto:wab@wab.com.pl)  
[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne  
Piaseczno, Żółkiewskiego 7  
Druk i oprawa: Opolgraf S.A.  
Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

ISBN 978-83-7414-202-1  
ISBN 83-7414-202-2